

Mark Twain

Przygody Tomka Sawyera



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

tłum. Jan Biliński

Wstęp

„Większość przygód, opowiedzianych w tej książce, zdarzyła się rzeczywiście; w jednej czy dwóch ja sam byłem bohaterem, w innych — moi szkolni koledzy. Huck Finn jest portretem z natury. Tak samo Tomek Sawyer, ale nie według jednego pierwowzoru: jest on połączeniem charakterów aż trzech chłopców, których znałem, może zatem uchodzić za pewną kombinację psychologiczną. Dziwne zabobony, o których w książce jest mowa, panowały powszechnie wśród dzieci i niewolników Zachodu w czasie naszej historii.”

Choć głównym celem mojej książki jest zabawienie młodzieży, męskiej i żeńskiej — spodziewam się jednak, że i dorośli nie będą od niej stronić, drugim bowiem moim zamiarem było w zabawnym stylu przypomnieć dorosłym, jakimi oni sami kiedyś byli, jak czuli, myśleli, mówili i jakie sami płatali figle.

Hartford, 1876

Autor

Rozdział I

— Tomek!

Cisza.

— Tomek!

Cisza.

— Gdzie go znowu poniosło? Tomek!!

Starsza pani zsunęła okulary na nos i rozejrzała się po pokoju ponad szklami; potem podniosła je na czoło i rozejrzała się ponownie. Dla takiego drobiazgu jak Tomek, patrzyła przez okulary rzadko — prawie nigdy. Były to przecież jej odświeżone okulary, świadectwo jej wytwornego stylu, w gruncie rzeczy zupełnie niepotrzebne. Tak samo dobrze mogłaby patrzeć przez parę żelaznych obrączek. Chwilę rozglądała się zdumiona, potem powiedziała bez gniewu, ale dość głośno, tak aby meble w pokoju mogły ją usłyszeć:

— No, czekaj, jak cię dorwę, to cię...

Nie dokończyła; schyliła się i zaczęła szturchać miotłą pod łóżkiem. Aż się zadyszała przy tym, ale na światło dzienne wylazł tylko kot.

— Co ja mam z tym chłopakiem. Nigdy nie wiem, gdzie on się podziewa!

Podeszła do otwartych drzwi, stanęła na progu i rozejrzała się po rachitycznych krzakach pomidorowych porośniętych dzikim zielskiem, to znaczy: rozejrzała się po ogrodzie. Tomka ani śladu. Zawołała głośno:

— Hop, hop! Tomek!!

Naraz usłyszała lekki szelest za swoimi plecami. Obróciła się w samą porę, aby chwycić przemykającego chłopca za kołnierz i uniemożliwić mu ucieczkę.

— A, mam cię! Że też od razu nie pomyślałam o spizarni! Coś tam robił?

— Nic.

— Nic! Popatrz na swoje ręce! I na buzię! Co się tak lepi?

— Nie wiem, ciociu.

— A ja wiem: konfitury! Sto razy ci mówiłam, że złożę ci skórę, jak mi tkniesz konfitury. Dawaj różgę!

— O rany, ciociu! Obejrzyj się! Prędko!

Ciotka Polly odwróciła się gwałtownie, zadzierając ze strachu spódnicę do góry. W tej samej chwili chłopiec dopadł już wysokiego parkanu i zniknął po drugiej stronie. Ciotka stała przez chwilę oszołomiona, a potem wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— A to urwis! Chyba już nigdy nie zmądrzeję! Tyle razy nabrał mnie przecież na ten kawał. Ale nie ma większego osła niż stary osioł. I jak można przewidzieć, co ten chłopak znowu wymyśli. Zwłaszcza że doskonale wie, na ile może sobie pozwolić i ile wytrzyma moja cierpliwość. Niech tylko na chwilę odwróci moją uwagę albo mnie rozśmieszy — to już koniec, złość mi mija i nawet nie mogę mu dać porządnego klapsa. Och, on o tym świetnie wie. Bóg mi świadkiem, że nie spełniam swoich obowiązków względem tego chłopca. „Rózcza dzieciom nigdy nie zawadzi” — mówi Pismo Święte. Grzech i męki piekielne ściągają na nas oboje — bo diabeł w nim siedzi. Ale, mój Boże, to przecież sierotka. Syn mojej świętej pamięci rodzonej siostry. Biedactwo! Ile razy mu daruję, mam wyrzuty sumienia, że zaniedbuję jego wychowanie, a jak mu złożę skórę — to mało mi serce potem nie pęknie z żalu. Tak, życie człowieka zrodzonego z niewiasty jest krótkie i pełne trosk, jak mówi Pismo Święte, i wielka to prawda. Dziś po południu na pewno pójdzie na wagary i za karę będę musiała kazać mu jutro pracować. Straszna to będzie rzecz dla niego — pracować w niedzielę, gdy inni chłopcy będą mogli bawić

się i robić co im się podoba. Zwłaszcza, że Tomek z całego serca nie cierpi pracy, ale muszę spełnić mój obowiązek, bo inaczej byłabym sprawczynią jego wiecznej zguby.

Tomek istotnie poszedł na wagary i świetnie się bawił. Wrócił do domu tuż przed kolacją i zabrał się do pomocy małemu Murzynkowi w rąbaniu drzewa na podpałkę. Pomoc polegała na tym, że Tomek opowiadał Jimowi swoje przygody, a Jim wykonywał trzy czwarte pracy. Sid, młodszy brat Tomka (a ściśle: brat przyrodni), skończył już przydzieloną mu pracę (zbierał drzazgi), bo był to chłopiec grzeczny, który nie miał w sobie awanturniczego i niespokojnego ducha.

Podczas kolacji Tomek kradł cukier, ilekroć tylko nadarzyła się sposobność, zaś ciotka Polly zadawała mu podstępne i zdradzieckie pytania, aby wyciągnąć z niego kompromitujące zeznania. Jak wszyscy ludzie prostoduszni, uważała się za mistrzynię dyplomatycznej przebiegłości i swoje najbardziej przejryste podstępny miała za cuda niezwyklej przenikliwości.

— Gorąco było dziś w szkole, Tomku? — pytała.

— Tak, ciociu.

— Strasznie gorąco, prawda, Tomku?

— Tak, ciociu.

— I nie miałeś ochoty pójść nad rzekę?

Tomek lekko się zaniepokoił, tknęło go niemile przeczucie. Spojrzał nieufnie na ciotkę Polly, ale nie wyczytał z jej twarzy nic podejrzanego. Odpowiedział więc:

— Nie, ciociu, nie bardzo.

Ciotka wyciągnęła rękę i dotknęła koszuli Tomka.

— Ale teraz nie jest ci już gorąco?

Była bardzo zadowolona z siebie, że w tak sprytny sposób sprawdziła, iż koszula jest sucha, a przy tym nikt się nie domyśla, do czego zmierza. Ale Tomek już odgadł, czego ma się spodziewać i uprzedził jej następne pytanie:

— Kilku chłopaków zmoczyło sobie głowy pod studnią... ja też... nawet mam jeszcze mokre włosy, widzisz?

Ciotka była zła, że przeoczyła ten oczywisty fakt i że podstęp się nie udał. Nagle olśniła ją nowa, natchniona myśl: — Żeby podstawić głowę pod studnię, nie trzeba było odpruwać kołnierzyka, który ci przyszyłam, prawda?

Niepokój zniknął z twarzy Tomka. Szybko odpiął bluzę i triumfalnie pokazał nie naruszony kołnierzyk.

— A niech cię! Mogłabym przysiąc, że byłeś na wagarach i kąpałeś się w rzece. Jesteś jednak lepszy niż mi się wydawało — na razie. Możesz już iść.

Była trochę zła, że zawiodła ją wrodzona przenikliwość, ale w gruncie rzeczy ucieszyła się, że Tomek przypadkiem zabłąkał się na drogę posłuszeństwa.

Nagle odezwał się Sid:

— Wiesz, ciociu, wydaje mi się, że przyszyłaś kołnierzyk białą nitką, a teraz jest przszyty czarną.

— Co? Jak? Rzeczywiście przyszyłam go białą nitką! Tomku!

Ale Tomek nie czekał na ciąg dalszy. Znalazłszy się za drzwiami, zawołał:

— Jeszcze za to oberwiesz, Sid!

Siedząc już w bezpiecznym schronieniu, Tomek zbadał dwie grube igły, wpięte pod klapę kurtki. Obie były owinięte nitkami, jedna czarną, druga białą.

— Gdyby nie Sid, nigdy by się nie połapała — mruknął. — Do licha! Raz szyje białą, a raz czarną nitką! Mogłaby się wreszcie zdecydować na jedną, bo nigdy nie pamiętam, na którą teraz jest kolej. Ale jedno jest pewne — spiorę Sida na kwaśne jabłko!

Tomek nie był chodzącym wzorem chłopców. Znał wprawdzie taki wzór, ale żywił do niego głęboki wstręt i pogardę.

Dwie minuty później Tomek zapomniał o wszystkich swoich zmartwieniach. Nie dlatego, że jego troski były mniej dokuczliwe niż te, które dręczą dorosłych, ale po prostu dlatego, że nowe, wspaniałe zainteresowanie przegnało je na jakiś czas z głowy.

To nowe zainteresowanie dotyczyło bardzo oryginalnej metody gwizdania, którą zdobył od pewnego Murzyna. Teraz pałał żądzą wypróbowania tej sztuki. Był to jakby osobliwy ptasi świergot, polegający na tym, że w króciutkich odstępach czasu należało lekko uderzać językiem o podniebienie. Dzięki pilności i wytrwałości Tomek opanował wkrótce tę metodę do mistrzostwa. Z ustami pełnymi melodii, a duszą pełną uniesienia szedł teraz ulicą i doznawał uczucia astronoma, który odkrył nową planetę — z tym, że radość chłopca była niewątpliwie większa.

W ten długi letni wieczór było jeszcze zupełnie jasno. Nagle Tomek przestał gwizdać. Stał przed nim ktoś obcy: chłopak odrobinę wyższy od niego. Pojawienie się nowego przybysza, nieważne jakiego wieku i płci, stanowiło w małej miejscinie St. Petersburg wstrząsające wydarzenie.

Chłopiec był porządnie ubrany, nawet zbyt porządnie jak na dzień powszedni. Zdumiewające! Czapkę miał niczym prosto z wystawy! Niebieska sukienna bluza, zapięta na wszystkie guziki, była nowa i elegancka, tak samo spodnie. Na nogach miał

buty, chociaż to był tylko piątek! Miał nawet kokardę z barwnej wstążki! Było w nim w ogóle coś wielkomiejskiego, co oburzyło Tomka aż do głębi. Im dłużej pożerał wzrokiem to wspaniałe zjawisko, im wyżej zadzierał nosa w pogardzie dla jego elegancji, tym nędzniejszy wydawał mu się jego własny wygląd. Obaj chłopcy milczeli. Gdy jeden się poruszył, poruszył się i drugi — ale tylko boki i w kółko. Cały czas mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Tomek powiedział:

- Chcesz oberwać?
- Tylko spróbuj!
- Zaraz mogę to zrobić.
- Nie dasz rady.
- Spokojna głowa.
- Nie wierzę!
- Przekonasz się!
- Nie!
- Tak!

Pełne napięcia milczenie. Potem Tomek zaczął na nowo:

- Jak się nazywasz?
- A co cię to obchodzi?
- Jak będę chciał, to będzie mnie obchodzić.
- To czemu nie chcesz?
- Jak będziesz dużo gadał, to zechcę.
- Dużo, dużo, dużo!... No i co?
- Myślisz, że jesteś taki wielki elegant, co? Mógłbym sobie jedną rękę przywiązać na plecach, a drugą cię sprać, gdybym tylko chciał.

- To czemu tego nie zrobisz? Ciągłe tylko gadasz, że możesz.
- Nie zaczynaj, bo ci dołożę.
- Phi! Takich jak ty widziałem już wielu.
- Też mi ważny elegancik! Hu, hu, co za prześliczny kapelusik!
- Jak ci się tak bardzo nie podoba, to mi go zdejmij. Ale nieprędko się potem wyliziesz.

- Kłamiesz!
- Ty sam kłamiesz!
- Tchórz! Chciałby się bić, a trzęsie portkami ze strachu!
- Zjeżdżaj stąd!

- Zamknij się, bo cię stuknę kamieniem w łeb!
- Czyżby?
- Zobaczysz!
- Więc czemu tego nie robisz? Ciągłe tylko gadasz! Po prostu się boisz!
- Wcale się nie boję!
- Trzęsiesz się ze strachu!
- Nie!
- Tak!

Znowu zamilkli. Znowu zaczęło się wzajemne okrażanie i mierzenie oczami. Wreszcie stanęli w pozycji bojowej.

- Wynoś się stąd! — krzyknął Tomek.
- Sam się wynoś!
- Nie chce mi się!
- Mnie też!

Stali tak naprzeciw siebie, wysunawszy po jednej nodze dla lepszej równowagi, i dysząc nienawiścią, z całej siły napierali na siebie. Żaden jednak nie mógł uzyskać przewagi. Wreszcie, czerwoni z wysiłku jak buraki, z zachowaniem wszelkich ostrożności odstepili od siebie.

— Ty szczeniaku! — rzucił Tomek. — Powiem o wszystkim mojemu starszemu bratu, on cię załatwi małym palcem.

— Gwiżdżę na twojego starszego brata! Mój brat jest większy od twojego. Przerzuci go przez ten parkan jedną ręką.

(Oczywiście bracia byli zmyśleni).

- Kłamiesz!
- Gadaj sobie dalej!

Tomek dużym palcem u nogi narysował na ziemi kreskę i powiedział:

- Spróbuj przekroczyć tę linię, a stukę cię na miazgę.

Nieznajomy natychmiast przekroczył kreskę, mówiąc:

- Zobaczymy, czy naprawdę to zrobisz.
- Nie zbliżaj się do mnie! Uważaj!
- No, miałeś coś zrobić! Na co czekasz?
- Do licha! Za marny grosz to zrobię!

Nieznajomy wyciągnął z kieszeni dwie drobne monety i szyderczo nadstawił je Tomkowi. Tomek uderzeniem strącił pieniądze na ziemię.

W okamgnieniu chłopcy rzucili się na siebie i szepieni jak dwa zaciekle koguty, zaczęli się tarzać po ziemi. Targali się za włosy, szarpali ubrania, okładali się pięściami, rozdrapywali nosy i okrywali kurzem i sławą. Wreszcie sytuacja poczęła się krystalizować. Wśród bitewnej kurzawy pojawił się Tomek, siedzący okrakiem na wrogu i młóćący go pięściami.

— Masz dosyć? — wysapał.

Chłopak usiłował wyrwać się z uścisku i ryczał wniebogłosy, głównie ze złości.

— Masz dosyć? — i Tomek zaczął młócić na nowo.

Wreszcie chłopak wykrztusił: „dosyć” i Tomek puścił go, mówiąc:

— Zapamiętaj to sobie! Na przyszłość dobrze uważaj, z kim zaczynasz!

Nieznajomy odszedł szybko, otrzepując ubranie, płacząc i pociągając nosem. Raz po raz oglądał się za siebie i wygrażał Tomkowi, co mu robi, gdy następnym razem dorwie go w swoje ręce. Tomek odpowiedział szyderczym śmiechem i z miną zwycięzcy ruszył do domu. Ledwie się jednak odwrócił, tamten rzucił w Tomka kamieniem i trafił go między łopatki. Potem pędem rzucił się do ucieczki. Tomek gonił zdrajcę aż do domu i przy okazji dowiedział się, gdzie mieszka. Jakiś czas patrolował przy bramie, wzywając nieprzyjaciela, by stanął z nim do walki. Ale nieprzyjaciel tylko stroił do niego miny przez okno. Wreszcie pojawiła się matka nieprzyjaciela, nazwała Tomka złym, wstrętnym, ordynarnym chłopakiem i kazała mu odejść. Odszedł więc, ale zapowiedział, że jeszcze go dostanie w swoje ręce.

Tego wieczora Tomek bardzo późno wrócił do domu. Kiedy ostrożnie wchodził przez okno, wpadł prosto na ciotkę, czyhającą na niego w zasadzce. Gdy zobaczyła, w jakim stanie znajduje się jego ubranie, z całą stanowczością postanowiła skazać go w niedzielę na ciężkie roboty.

Rozdział II

Nadszedł sobotni ranek. Słońce świeciło promiennie, cały świat dyszał radością lata i kipiał życiem. W każdym sercu dźwięczała muzyka, a jeśli serce było młode, pieśń sama cisnęła się na usta. Uśmiech był na każdej twarzy i wiosna w każdym ruchu. Akacje okryły się kwieciami, powietrze przepojone było zapachem kwiatów.

Niedalekie wzgórza, spoglądające ze swej wyniosłości na miasteczko, pełne były zieleni i kusiły obietnicą ciszy, szczęścia i beztroskich marzeń.

Na bocznej uliczce pojawił się Tomek z wiadrem rozrobionego wapna i pędzlem na długim trzonku. Spojrzał na parkan i wszelka radość zgasła na jego twarzy, a dusza pogrążyła się w głębokim smutku. Parkan miał trzydzieści metrów długości i ponad dwa metry wysokości! Świat wydał się Tomkowi otchłanią, a życie nieznośnym ciężarem. Z westchnieniem zanurzył pędzel i przejechał nim po najbliższej desce. Machnął pędzlem jeszcze dwa razy, porównał znikomą zamalowaną powierzchnię z ogromem, jaki pozostał jeszcze do pomalowania i usiadł pod płotem zupełnie załamany.

Z bramy, z wiadrem na wodę, wybiegł w podskokach Jim. Śpiewał piosenkę „Buffalo Bill”. Noszenie wody z miejskiej studni zawsze było w oczach Tomka czymś haniebnym, ale teraz zupełnie inaczej to ocenił. Przypomniawszy sobie, jakie wspaniałe towarzystwo zbiera się przy pompie. Chłopcy i dziewczęta — biali, Murzyni, Mulaci — czekają tam na swoją kolej, zamieniając się przy tym zabawkami, kłócąc, bijąc, baraszkując, czyli jak najlepiej uprzyjemniając sobie czas. Przypomniawszy też sobie, że chociaż do studni było niecałe dwieście kroków, Jim nigdy nie wracał z wodą przed upływem godziny — a najczęściej trzeba go było dopiero stamtąd sprowadzać.

— Słuchaj, Jim — powiedział — ja pójdę po wodę, a ty tu trochę pomaluj za mnie.

Jim pokręcił głową i odpowiedział:

— Nie móc, paniczu. Pani kazać mi iść po wodę i nigdzie się nie zatrzymywać. Ona powiedzieć, że panicz Tomek będzie chcieć, żeby Jim malować za niego, ale ona kazać mi pilnować swojej roboty. Ona sama chcieć uważać na panicza malowanie.

— Oj, Jim, nie przejmuj się tym, co ona mówi. Zawsze tak gada. Daj mi wiaderko, wrócę za minutę. Ciotka nawet nie zauważy.

— Nie móc, paniczu. Pani mi głowę urwać, ona na pewno tak zrobić.

— Ona? Przecież ona nie ma pojęcia o biciu! Najwyżej postuka naparstkiem po głowie. Kto by się tym przejmował! Ciotka tylko dużo gada, ale gadanie nie boli, chyba że zacznie lamentować. Słuchaj, Jim, dam ci moją szklaną kulkę, wiesz, tę białą.

Jim zaczął się wahać.

— Biała kulka, Jim, to coś wspaniałego.

— Ach! Ona być taka śliczna! Ale paniczu, Jim strasznie się bać pani!

Jim był tylko człowiekiem. Pokusa była za wielka. Odstawił wiadro i stał się właścicielem białej kulki. W chwilę potem uciekał, aż się za nim kurzyło z wiadrem i obolałym grzbietem; Tomek malował z zapalem, a ciotka Polly wracała z pola bitwy z pantoflem w ręce i triumfem w oczach.

Energia Tomka wkrótce osłabła. Oczyma duszy widział przedsięwzięcia, które planował na dzisiaj i zrobiło mu się strasznie smutno. Niedługo zaczął wtedy przebiegać inni chłopcy, wolni, pędzący na różne wspaniałe wyprawy i będą z niego kpić, że musi pracować — sama myśl o tym paliła go żywym ogniem. Wydobył cały swój majątek i poddał go dokładnym oględzinom: szczątki zabawek, szklane kulki do gry i bezimienne rupiecie. Wystarczyłoby tego do opłacenia krótkiego zastępstwa w robocie, ale na pewno nie wystarczyłoby do kupienia choćby pół godziny wolności. Włożył więc z powrotem do kieszeni swoje ubogie skarby i pożegnał się z myślą o przekupieniu chłopców. Nagle, w tej najczarniejszej rozpacz, spłynęło na niego natchnienie. Potężne, olśniewające natchnienie.

Wziął pędzel do ręki i z całym spokojem zabrał się do roboty. Właśnie Ben Rogers pojawił się na horyzoncie, ten sam Ben, którego złośliwości Tomek obawiał się najbardziej. Ben nadchodził w podskokach, co dowodziło, że było mu lekko na sercu i że zamierzenia jego były wielkie. Zajadał jabłko, a w wolnych chwilach wydawał z siebie przeciągle głębokie tony, po których następowały basowe pohukiwania: bom — bom — bom — gdyż był właśnie parowcem.

Kiedy znalazł się blisko Tomka, zwolnił biegu, zajął środek ulicy, przechylił się na prawo i zaczął majestatycznie dobijać do brzegu, bo przedstawiał w tej chwili okręt „Wielka Missouri” i miał dziewięć stóp zanurzenia. Był równocześnie statkiem, kapitanem, dzwonkiem okrętowym i stał w wyobraźni na własnym mostku kapitańskim, wydając rozkazy i bezzwłocznie je wykonując.

— Stop, kapitanie! Dzyń-dzyń-dzyń!

Droga się kończyła, więc zaczął powoli skręcać na boczną ścieżkę.

— Cała wstecz! Dzyń-dzyń-dzyń!

Opuścił ręce i trzymał je sztywno wyprężone przy sobie.

— Prawa wstecz! Dzyń-dzyń! Uuuuu! — Prawa ręka zataczała teraz wielkie łuki, bo była właśnie kołem sterowym, mającym 30 metrów obwodu.

— Lewa wstecz! Dzyń-dzyń! Uuuuu! Prawa stop! Wolno naprzód! Dzyń-dzyń-dzyń! Uuuuu! Hej, chłopcy, rzucić kotwicę! Gdzie cuma? Dzyń-dzyń-dzyń! Kotwica rzucona, kapitanie! Szszy! Szszszy! (próbowanie wentyli).

Tomek malował, nie zwracając najmniejszej uwagi na wspaniałą parowiec.

Ben zdziwił się ogromnie, a po chwili odezwał się:

— He, he, he! Ale cię wrobili!

Jedyną odpowiedzią było milczenie. Tomek okiem artysty ocenił ostatnie pociągnięcie pędzla na parkanie, poprawił delikatnie i ponownie w skupieniu ocenił wynik. Ben podszedł do niego. Tomkowi ciężko było ukryć swoją ochotę na jabłko, ale nie odrywał się od pracy. Ben zapytał ironicznie:

— Co, stary, musisz dzisiaj pracować?

— Ach! To ty, Ben? Wcale cię nie zauważyłem.

— Wiesz, idę się kąpać, a ty? Aha, zapomniałem, że ty wolisz pracować...

Tomek obejrzał kolegę od stóp do głowy i zapytał zdziwiony:

— Co nazywasz pracą?

— Jak to, czy malowanie nie jest pracą?

Tomek znów zabrał się do malowania i odpowiedział niedbale:

— Może to jest praca, a może i nie. Wiem tylko, że tak się podoba Tomkowi Sawyerowi.

— Nie gadaj, że lubisz malować parkany.

Pędzel nie ustawał w pracy.

— Czy lubię? Głupie pytanie. Nie codziennie trafia się człowiekowi taka gratka, żeby malować parkan.

To zupełnie zmieniało postać rzeczy i całą sprawę ukazało w nowym oświeceniu. Ben przestał jeść jabłko. Tomek z najwyższą uwagą malował pędzlem po deskach, cofał się, oceniał swoje dzieło, tu i ówdzie poprawiał; sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego tymi czynnościami. Ben śledził każdy jego ruch. Coraz bardziej go to interesowało. Nagle powiedział:

— Słuchaj, Tomek, daj mi trochę pomalować!

Tomek zastanowił się przez chwilę. Już miał się zgodzić, ale zmienił zamiar.

— Nie, Ben, to niemożliwe. Wiesz, ciotce Polly strasznie zależy na tym parkanie, zwłaszcza tutaj, od strony ulicy, sam rozumiesz... Gdyby to było gdzieś za domem, to ostatecznie mógłbyś spróbować, ale w tym miejscu raczej nie... Ciotka jest niemożliwie wymagająca. To musi być zrobione bardzo dokładnie. Nie wiem, czy na tysiąc, a nawet na dwa tysiące chłopaków, znajdzie się choć jeden, który umiałby to zrobić naprawdę porządnie.

— Co ty mówisz? Słuchaj, daj mi spróbować! Tylko mały kawałeczek! Ja bym ci pozwolił, gdybym był na twoim miejscu.

— Ben, zrozum, ja bym ci też pozwolił, ale ciotka Polly! Wiesz, Jim chciał malować — nie pozwoliłem, nawet Sid chciał — też nie pozwoliłem. Zrozum moje położenie. Gdybyś zaczął malować i coś ci nie wyszło...

— Tomku, proszę cię, będę bardzo uważał! Dam ci kawałek mojego jabłka!

— No dobrze... albo nie... nie mogę...

— Dam ci całe jabłko!

Tomek oddał wreszcie pędzel, z niechęcią na twarzy, a wielką radością w sercu. I podczas gdy niedawny parowiec „Wielka Missouri” pracował w pocie czoła, niedoszły artysta siedział sobie opodal na beczce, machał nogami, zjadał jabłko i upatrywał w myślach nowe niewinne ofiary.

Materiału nie brakło. Co chwila zjawiali się kolejni chłopcy. Każdy przychodził z zamiarem pośmiania się z Tomka i każdy zostawał, żeby malować. Kiedy Ben się zmęczył, z łaski Tomka przyszła kolej na Billego w zamian za niezupełnie jeszcze podarty latawiec; a gdy i Bill miał już dosyć, prawo bielenia parkanu nabył Johnny za zdechłego szczura i kawałek sznurka, na którym można nim było wywijać. I tak dalej, i tak dalej, godzina za godziną. A kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Tomek, który rano był jeszcze nędzarzem, teraz stał się bezkonkurencyjnym bogaczem. Oprócz wcześniej wymienionych przedmiotów miał dwanaście szklanych kulek, połamane organki, kawałek niebieskiego szkła od butelki, przez które można było patrzeć, szpulkę do nici, klucz, który niczego nie otwierał, kawałek kredy, szklany korek od karafki, ołowianego żołnierzyka, dwie kijanki, sześć kapiszonów, kota z jednym okiem, mosiężną kołatkę do drzwi, psią obrożę, rękojeść noża, cztery skórki z pomarańczy i starą rozbitą ramę okienną. Przy tym czas spędził bardzo przyjemnie w błogim nieróbstwie, cały dzień miał towarzystwo, a parkan pokryty został trzema warstwami wapna. Na szczęście dla chłopców zabrakło bielidła, bo byłby ich wszystkich doprowadził do bankructwa.

Tomek uznał, że świat mimo wszystko nie jest taki zły. Sam o tym nie wiedząc, odkrył wielkie prawo ludzkich działań, a mianowicie: — jeśli chcemy obudzić w dorosłym lub dziecku pragnienie jakiejś rzeczy, musimy ją przedstawić jako bardzo trudną do osiągnięcia. Gdyby był wielkim filozofem (takim jak autor tej książki), to pojąłby, że pracą jest to, co musimy robić, a przyjemnością — to czego robić nie musimy. Zrozumiałby wówczas, że wyrabianie sztucznych kwiatów lub chodzenie w kieracie jest ciężką pracą, natomiast granie w kręgle albo wspinanie się na Mount Blanc jest tylko przyjemnością. Wielu bogatych panów w Anglii tłucze się powozem,

zaprzężonym w czwórkę koni, dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów w upale — bo ta przyjemność kosztuje ich dużo pieniędzy, ale niechby im ktoś kazał robić to samo za wynagrodzenie, zaczęliby to uważać za pracę i woleliby z niej zrezygnować.

Rozdział III

Tomek stanął przed ciotką Polly. Siedziała przy otwartym oknie przytulnego, zaciszego pokoju, który był jednocześnie sypialnią, jadalnią, bawialnią i czytelnią. Balsamiczny zapach lata, niczym niezmacona cisza, woń kwiatów, usypiające brzęczenie pszczół — rozmarzyły starszą panią. Kiwała się sennie nad robótką, a jedyny towarzysz ciotki, kot, drzemał na jej kolanach. Okulary przezornie odsunęła na siwe włosy. Była przekonana, że Tomek już dawno zdezerterował, więc zdziwiła się niepomniernie, gdy ujrzała go wkraczającego bez obawy w zasięg jej rąk.

— Czy mogę teraz iść się bawić, ciociu? — zapytał grzecznie.

— A ile zrobiłeś?

— Wszystko, ciociu.

— Nie kłam, Tomku. Wiesz, że tego nie znoszę.

— Nie kłamię, ciociu, zrobiłem wszystko.

Ciotka nie bardzo wierzyła słowom Tomka, wyszła więc, aby osobiście obejrzyć wynik jego pracy. Byłaby zadowolona, gdyby oświadczenie siostrzeńca sprawdziło się choć w jednej piątej części. Toteż zdumienie jej nie miało granic, kiedy zobaczyła cały parkan kilkakrotnie starannie pokryty białą farbą i to z taką gorliwością, że nawet na ziemi ciągnął się wzdłuż parkanu biały pas.

— Coś podobnego! No, no! Trzeba przyznać, że potrafisz pracować, jeśli ci się tylko chce — powiedziała w przypływie szczerego podziwu i natychmiast osłabiła komplement komentarzem: — Niestety, muszę stwierdzić, że bardzo rzadko ci się chce. No, idź się bawić, ale proszę cię, żebyś wrócił do domu jeszcze w tym tygodniu, bo inaczej dostaniesz lanie.

Była tak oszołomiona i olśniona blaskiem czynu Tomka, że zaprowadziła go do spiżarni, wybrała najładniejsze jabłko i wręczyła mu je, wygłaszając przy tym wzruszające kazanie o podwójnej słodczy nagrody, którą zdobyło się uczciwą pracą. Właśnie gdy kończyła swoją mowę zręcznie dobraną sentencją z Pisma Świętego, Tomek za jej plecami świsnął kawałek placka.

Wybiegając z domu, ujrzał Sida wchodzącego na piętro po zewnętrznych schodach. Glina była pod ręką... W powietrzu zaroilo się od kul. Świstały wokół uszu Sida, niczym grad; zanim ciotka Polly zdążyła się zorientować i nadbiec z odsieczą, kilka kulek weszło już w bezpośredni kontakt z ciałem brata, a Tomek w ekspresowym tempie przeskoczył parkan i zniknął. Była tam wprawdzie furtka, ale nigdy nie miał czasu, żeby z niej skorzystać. Teraz dopiero doznał prawdziwej ulgi: rachunek z Sidem za zwrócenie ciotce uwagi na czarną nitkę był wyrównany.

Tomek okrążył szereg domów i wyszedł na tyły stajni ciotki. Poczul się teraz bezpieczny przed karzącą ręką sprawiedliwości, pośpieszył więc w stronę rynku, gdzie zgodnie z umową spotykały się dwie nieprzyjacielskie armie chłopców, by stoczyć zażartą bitwę. Tomek był generałem jednej z nich, a jego serdeczny przyjaciel, Joe Harper — generałem drugiej. Obaj wielcy wodzowie nie zniżali się do osobistego udziału w walce — od tego byli zwykli żołnierze — siedzieli sobie razem na pagórku i kierowali operacjami wojennymi, wysyłając rozkazy przez adiutantów.

Po długiej i zaciętej walce armia Tomka odniosła wspaniałe zwycięstwo. Potem nastąpiło podsumowanie starć wojennych, określenie liczby zabitych, wymiana jeńców, uzgodnienie przyczyn następnego konfliktu zbrojnego i ustalenie daty nieuniknionej bitwy. Wreszcie obie armie zgodnie odmaszerowały, a Tomek sam ruszył w drogę powrotną.

Przechodząc koło domu, w którym mieszkał Jeff Thatcher, ujrzał w ogrodzie nieznaną dziewczynkę. Słodką błękitnooką istotkę, o jasnych włosach splecionych w dwa długie warkocze, ubraną w białą letnią sukienkę i haftowane spodenki. Świeżo ukoronowany zwycięstwem bohater poległ od razu bez jednego wystrzału. Pewna Amy Lawrence w okamgnieniu zniknęła z jego serca, nie zostawiając po sobie nawet najmniejszego wspomnienia. Dotąd zdawało się Tomkowi, że kocha ją do szaleństwa, że ją ubóstwia, teraz przekonał się, że było to tylko przelotne, nic nie znaczące uczucie. Przez kilka długich miesięcy zabiegał o jej względy, a ona zaledwie przed tygodniem wyznała mu swoją miłość. Przez siedem dni był najszczęśliwszym i najdumniejszym chłopcem pod słońcem, ale w tej jednej chwili Amy ulotniła się z jego serca jak przypadkowy gość, którego czas wizyty już minął.

Rzucał teraz nowemu aniołowi ukradkowe i rozmodlone spojrzenia, aż wreszcie spostrzegł, że i ona go zauważyła. Wówczas udał, że nic nie wie o jej obecności i zaczął na wszystkie, właściwe chłopcom, głupkowate sposoby „popisywać się”, aby wprowadzić ją w podziw. Trwało to jakiś czas. Gdy wreszcie, wśród karkołomnych produkcji

gimnastycznych, zerknął ukradkiem w jej stronę, stwierdził z bólem serca, że anioł zamierza iść do domu. Podeszedł więc do parkanu i oparł się o niego pogrążony w melancholijnym smutku. Miał słabą nadzieję, że dziewczynka zatrzyma się może choć na chwilę. I rzeczywiście, zanim zniknęła w drzwiach, przystanęła na schodkach. Tomek westchnął boleściwie, gdy noga jej stanęła na progu, ale natychmiast twarz zajaśniała mu radością: tuż przed wejściem do domu dziewczynka przerzuciła mu stokrotkę przez parkan.

Podbiegł do kwiatka, lecz o dwa kroki przed nim zatrzymał się gwałtownie, przysłonił oczy ręką i zaczął patrzeć w głąb ulicy, jakby nagle zauważył tam coś niezwykle ciekawego. Potem podniósł z ziemi słomkę i odchylając głowę w tył, w skupieniu balansował nią na nosie. W trakcie tych czynności nieznacznie przysuwał się do stokrotki. Wreszcie nakrył ją bosą stopą, zręcznie podniósł palcami nogi i — pognął ze swoim skarbem, znikając za zakrętem ulicy. Zniknął jednak tylko na małą chwilkę, jakiej potrzeba było do przypięcia kwiatka pod bluzą, aby znalazł się w bezpośredniej bliskości serca, a może żołądka — Tomek nie był za dobry w anatomii.

Wrócił pod parkan i popisywał się pod nim aż do nocy. Ale dziewczynka już się nie pokazała, choć Tomek pocieszał się, że może stała gdzieś za firanką i widziała dowody jego gwałtownej miłości. Z głową pełną cudownych marzeń powłókł się wreszcie do domu, chociaż serce ciągnęło go w drugą stronę.

Podczas kolacji był w tak podniosłym nastroju, że ciotka zastanawiała się, co znowu w niego „wstąpiło”. Dostał porządną burę za obrzucenie Sida gliną, ale ani trochę go to nie wzruszyło. Pod samym nosem ciotki próbował kraść cukier i w końcu dostał za to po łapach.

— Ciociu, czemu nie bijesz Sida, kiedy robi to samo? — zapytał.

— Bo Sid nie dręczy człowieka tak jak ty. Gdybym tylko spuściła cię z oczu, zaraz wlaźbyś cały do cukierniczki.

Po chwili ciotka wyszła do kuchni. Sid, pewny swojej nietykalności, a zarazem chcąc dokuczyć Tomkowi, sięgnął beczelnie po cukierniczkę. Tego było stanowczo za wiele. Wtem cukierniczka wyslizgnęła się Sidowi z ręki, spadła na podłogę i stłukła się. Tomek był wniebowzięty. Przygryzł język i nie powiedział ani słowa. Postanowił sobie w duchu, że będzie milczał nawet wtedy, gdy przyjdzie ciotka. Będzie milczał jak grób, aż ciotka sama zapyta, kto to zrobił. Wówczas dopiero powie i cóż to będzie za wspaniałe przedstawienie widzieć, jak ta chodząca doskonałość oberwie lanie! Serce jego było tak

przepojone szczęściem, że ledwie mógł usiedzieć, gdy ciotka wróciła z kuchni i stojąc nad stłuczoną cukierniczką, ciskała sponad okularów pioruny gniewu.

„Zaraz się zacznie” — pomyślał — i w tej samej chwili leżał jak długi na ziemi. Groźna ręka podniosła się, by ponowić uderzenie, gdy Tomek zawołał:

— Za co mnie bijesz, ciociu? To Sid stłukł cukierniczkę!

Ciotka Polly zamarła. Jakby piorun w nią strzelił. Tomek z satysfakcją oczekiwał teraz gorącego współczucia. Tymczasem ciotka, odzyskawszy mowę, powiedziała tylko:

— No, na darmo i tak nie dostałeś. Jestem pewna, że masz na sumieniu jakąś inną psotę ukrytą przede mną.

Czuła straszliwe wyrzuty sumienia i z serca wyrwały jej się na usta jakieś ciepłe, pełne miłości słowa, ale zostałyby one odebrane jako przyznanie się do winy, a na to nie pozwalały względy wychowawcze. Nie powiedziała więc nic i ze zgryzotą w sercu poszła do swoich zajęć.

Nadąsany Tomek siedział w kącie i rozczulał się nad sobą. Wiedział, że ciotka w głębi duszy błaga go na kolanach o przebaczenie i świadomość tego dawała mu mściwe zadowolenie. Ale postanowił być twardy: nie przebaczy ciotce i będzie udawał, że nie widzi jej chęci do pojednania. Z zamglonych łzami oczu ciotki co chwilę padało w jego stronę tęskne, pełne bólu spojrzenie, lecz zawział się, aby nie rozumieć, co ono znaczy. Oczyma duszy widział już, jak leży na łóżku umierający; ciotka pochyla się nad nim, błagając go o jedno słowo przebaczenia, ale on odwraca się do ściany i umiera w milczeniu. Ach, co się wtedy będzie działo w jej duszy! Potem wyobraził sobie, jak go przynoszą do domu, wyciągniętego z rzeki, nieżywego. Włosy mokre i zlepione, ręce zimne, lecz biedne udręczone serce nareszcie znalazło ukojenie. Ciotka rzuca się na niego, szlocha i rozpacza, błaga Boga, aby jej oddał ukochanego chłopca. Będzie wtedy przysięgać, że już przenigdy nie skrzywdzi go ani nie obrazi! Ale on leży bez ruchu, zimny i śmiertelnie blady — biedny mały męczennik, którego cierpienia nareszcie się skończyły.

Tak się przejął swoimi wymyślonymi nieszczęściami, że zaczął chlipać z żalu nad sobą. Niemal dusił się własnymi łzami, które nieprzerwanym potokiem płynęły mu z oczu i kapały z końca nosa. To roztkliwianie się nad swoją niedolą sprawiało mu taką przyjemność, że za nic w świecie nie dopuściłby, żeby jakakolwiek ziemską radość zmąciła tę błogą boleść. Jego tragiczne przeżycia były na to zbyt święte. Wszelkie pocieszenie byłoby w tej chwili niemiłym zgrzytem. Toteż gdy do pokoju wbiegła tanecznym krokiem kuzynka Mary, szczęśliwa, że po spędzeniu jednego tygodnia na

wsi, znowu jest w domu, Tomek wstał i okryty czarną chmurą smutku wyszedł jednymi drzwiami, gdy ona drugimi wniosła śpiew i słońce.

Z daleka omijał miejsca, gdzie bywali jego koledzy, szukał samotnych i ponurych zakątków, które odpowiadały jego nastrojowi. Skusiła go tratwa na rzece. Usiadł na jej krawędzi i wpatrywał się w posępną wodę. Gdyby tak można było utonąć za jednym zamachem, bez bólu, z pominięciem wszystkich niewygód, jakie natura wyznaczyła kandydatom na topielców.

Nagle przypomniał sobie o kwiatku. Wyjął go. Był pognieciony i zwiędły, co napoiło Tomka jeszcze rozkoszniejszą boleścią. Zadawał sobie pytanie, czy ona żałowałaby go, gdyby o wszystkim wiedziała? Czy płakałaby? Czy chciałaby objąć go za szyję i pocieszyć? Czy też może odwróciłaby się od niego obojętnie, jak ten cały obłudny świat?

Te obrazy tak wyolbrzymiały jego rozkoszne cierpienia, że wciąż do nich powracał i oglądał ze wszystkich stron, aż od tego ciągłego oglądania zbladły i spowszedniały. Podniósł się więc z ciężkim westchnieniem i poszedł w mrok.

Około godziny dziesiątej wieczorem przechodził pustą ulicą obok domu, gdzie mieszkało jego nieznajome bóstwo. Przystanął na chwilę. Nadstawił uszu, ale nic nie usłyszał. Na piętrze padał na firankę słaby blask świecy. Czy ten pokój był uświęcony jej obecnością? Przeskoczył przez parkan, przekradł się pomiędzy klombami i stanął pod oknem. Długo spoglądał na nie z uczuciem. Potem położył się na plecach i skrzyżował ręce na piersiach, trzymając w nich zwiędły kwiatek. Tak pragnął umrzeć, samotny, wygnany w daleki zimny świat, bezdomny, pozbawiony jednej przyjaznej ręki, która starłaby mu z czoła śmiertelny pot, i kochającej twarzy, która pochyliłaby się nad nim ze współczuciem, kiedy nadejdzie wielka chwila konania. Tak też powinna go zobaczyć ona, gdy wyjdzie, aby popatrzeć na piękny poranek. Czy spadłaby wówczas z jej oczu choć jedna łza na jego biedne, martwe zwłoki? Czy westchnęłaby choć na widok tego młodego, kwitnącego życia, tak przedwcześnie i brutalnie ściętego nielitościwą kosą śmierci?

Okno na piętrze otworzyło się nagle i skrzekliwy głos służącej sprofanował świętą ciszę, a strumień zimnej wody oblał leżące na dole śmiertelne szczątki niedoszonego męczennika.

Bohater zerwał się, krztusząc i otrząsając. Równocześnie z cichym przekleństwem rozległ się świst kamienia w powietrzu, potem słychać było brzęk tłuczonej szyby; jakaś mała, niewyraźna postać błyskawicznie przeskoczyła przez parkan i zniknęła w ciemności.

Parę chwil później, kiedy Tomek rozebrany do spania, oglądał w świetle łojówki przemoczone ubranie, obudził się Sid. Miał straszną ochotę skomentować wygląd brata, ale ugryzł się w język — Tomkowi niedobrze patrzyło z oczu.

Tomek wlaźł do łóżka, nie zadając sobie trudu zmówienia pacierza, a Sid skrupulatnie zanotował sobie ten grzech w pamięci.

Rozdział IV

Słońce weszło nad spokojną ziemią i słało swe ciepłe promienie cichemu miasteczku. Po śniadaniu ciotka Polly odprawiła domowe nabożeństwo. Rozpoczęło się ono modlitwą, która była niby budowla wzniesiona z kolejnych, potężnych warstw cytatów z Pisma Świętego, zaś zaprawę murarską stanowiła odrobina samodzielnych pomysłów ciotki. Ze szczytu tej budowli, niczym z góry Synaj, ciotka rzuciła groźny rozdział z Pięcioksięgu Mojżesza.

Następnie Tomek „przepasał swe lędźwie” (mówiąc językiem cytatów) i zaczął wkuwać wersety z Biblii. Sid nauczył się tego już kilka dni wcześniej. Tomek skupił wszystkie siły, by wyuczyć się na pamięć pięciu wersetów. Wybrał je z kazania na górze, bo w całej Biblii nie mógł znaleźć krótszych. Po upływie pół godziny miał już mgliste pojęcie o ich treści, ale nic ponadto, gdyż umysł jego wędrował w tym czasie po rozległych obszarach myśli ludzkiej, a ręce zajęte były czynnościami raczej nie sprzyjającymi skupieniu uwagi. Mary wzięła książkę, by go przesłuchać, a Tomek zaczął z trudem przebijać się przez gęstą mgłę:

- Błogosławieni... e... e...
- Ubodzy...
- Tak, ubodzy. Błogosławieni ubodzy... e... e...
- Duchem...
- Duchem. Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem... albowiem... oni...
- Ich...
- Albowiem ich... Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie... Błogosławieni, którzy cierpią, albowiem... albowiem...
- Oni...
- Albowiem oni... oni...
- Bę...
- Albowiem oni bę... Nie wiem, jak dalej.

— Będą!

— Aha, będą! Albowiem będą... albowiem oni będą... e... e... będą cierpieć... e... e... błogosławieni, którzy będą... albowiem oni... e... e... oni będą cierpieć... albowiem będą... e... Ale co będą? Czemu mi nie podpowiadasz, Mary? Jesteś niedobra!

— Ej, głuptasie! Nie mam zamiaru ci dokuczać, ale musisz się jeszcze trochę pouczyć. Tylko śmiało, głowa do góry. Jestem pewna, że ci się uda. A wtedy... podaruję ci coś pięknego. Na pewno będzie ci się to podobało. No, a teraz do roboty.

— No, dobrze. Ale co to takiego? Powiedz, Mary!

— Cierpliwości. Wszystko w swoim czasie, ale jest to coś naprawdę wspaniałego.

— Dajesz słowo, Mary? W porządku, wkuwam od nowa.

I rzeczywiście zaczął kuć, a pod podwójnym naciskiem ciekawości i spodziewanej nagrody czynił to z takim zapalem, że osiągnął wspaniały sukces.

Mary podarowała mu wówczas nowiutki scyzoryk marki „Barlow”, wartości dwunastu i pół centa, a radość, jakiej Tomek doznał, wstrząsnęła podstawami jego jestestwa. Co prawda, ostrzem nic nie można było przekroić, ale był to przecież „oryginalny” „Barlow”, a to oznaczało coś wspaniałego. Jeżeli chłopcy z Zachodu twierdzili czasem, że wśród wyrobów marki „Barlow” znajduje się dużo podróbek, to mówili tak tylko po to, żeby zniesławić taki scyzoryk i pozostanie to oszczerstwem na zawsze. Tomek od razu zdążył naciąć nim szafę i już zabierał się do biurka, kiedy zawołano go, aby przygotował się do pójścia do kościoła.

Mary nalala wody do blaszanej miednicy i dała mu kawałek mydła. Tomek wyszedł przed dom i postawił miednicę na małej ławeczce. Następnie zanurzył mydło w wodzie i odłożył je na bok, potem podkasał rękawy, wylał po cichutku wodę na ziemię, wrócił do kuchni i zaczął starannie wycierać twarz ręcznikiem, wiszącym za drzwiami. Ale Mary odebrała mu ręcznik.

— Jak ci nie wstyd, Tomku? — powiedziała. — Taki brudas! Przecież woda cię nie ugryzie!

Tomek zawstydział się nieco. Mary znowu nalala wody do miednicy. Stał nad nią jakiś czas, zbierając się na odwagę. Wreszcie westchnął ciężko i — zaczął się myć naprawdę. Kiedy wrócił do kuchni i z zamkniętymi oczyma, po omacku, szukał ręcznika, woda i mydliny ściekające mu z twarzy, dawały chlubne świadectwo jego odwadze. Lecz kiedy wynurzył się z ręcznika, nie wyglądał jeszcze zadowolająco, bo miejsce wolne od brudu urywało się nagle tuż przy brodzie i koło uszu, tworząc rodzaj maski. Poza tą linią, od czoła aż po szyję, rozciągały się olbrzymie przestrzenie czarnej, nie nawodnionej gleby.

Mary wzięła go zatem sama w obroty, a gdy skończyła, Tomek wyglądał jak człowiek i chrześcijanin o jednolitym kolorze skóry. Mokre włosy Tomka starannie uczesano szczotką, a krótkie kędziorki ułożono symetrycznie i wytwornie. (Gdy nikt nie widział, Tomek usiłował z wielkim trudem, lecz znikomym rezultatem, wyprostować je i przylepić do głowy; loki te były w ogóle jego ciężkim zmartwieniem, gdyż uważał je za coś stanowczo niemęskiego). Potem Mary wyjęła z szafy ubranie, które Tomek od dwóch lat mógł nosić tylko w niedziele — nazywało się ono po prostu „drugim ubraniem”, co pozwala określić stopień zamożności jego garderoby. Gdy się ubrał, Mary doprowadziła do porządku jego toaletę: zapięła mu bluzę, obciągnęła i wygładziła na plecach wielki kołnierz marynarski, oczyściła Tomka szczotką z wszelkich pyłków i włożyła mu na głowę słomkowy kapelusz w kropki. Wyglądał teraz bardzo cywilizowanie, ale czuł się nieszczególnie. Zawsze, gdy był umyty i porządnie ubrany, dostawał gęsiej skórki. Miał nadzieję, że Mary zapomni przynajmniej o bucikach — ale gdzie tam! I to zawiodło. Przyniosła je, wysmarowawszy poprzednio jak zwykle łojem. Tomek stracił cierpliwość i oświadczył, że ciągle zmusza się go do robienia tego, czego nie lubi. Mary musiała przemówić mu do sumienia:

— Ależ, Tomku, czy tak postępuje grzeczny chłopiec?

Mrucząc coś pod nosem, włożył buciki. Mary ubrała się szybko i cała trójka udała się do kościoła, miejsca, którego Tomek nie cierpiał z całej duszy. Co innego Mary i Sid — dla nich była to sama rozkosz.

Szkółka niedzielna trwała od dziewiątej do wpół do jedenastej, dalej następowało nabożeństwo. Dwoje z tej trójki zostawało potem z własnej woli na kazaniu, trzeci też zostawał — ale z innych, ważniejszych powodów.

Twarde ławki kościelne z wysokim oparciem, mogły pomieścić około trzystu osób. Budynek był mały i skromny. Wznosiło się nad nim coś jakby pudło zbite z sosnowych desek, wyobrażające dzwonnice. Przy drzwiach Tomek zwolnił kroku i zaczepił kolegę, również odświętnie ubranego:

— Słuchaj, Bill, masz żółtą kartkę?

— Tak.

— Co chcesz za nią?

— A co dasz?

— Cukierek i haczyk do wędki.

— Pokaż.

Tomek pokazał. Towar był dobry i chłopcy dobili targu. Potem Tomek zamienił dwie białe szklane kulki na trzy czerwone kartki i inne drobiazgi za dwie niebieskie. Czatował na chłopców wchodzących do kościoła i przez kwadrans skupował w ten sposób kartki w różnych kolorach. Wreszcie wkroczył do kościoła z gromadą schludnie wyglądających, ale wrzaskliwych chłopców i dziewcząt. Usiadł w ławce i od razu zaczął awanturę z pierwszym chłopcem, który nawinął mu się pod rękę. Nauczyciel, poważny pan w starszym wieku, musiał ich uspokoić, ale ledwie się odwrócił, Tomek pociągnął za włosy chłopca, siedzącego przed nim. Chłopiec obejrzał się, lecz Tomek siedział już niewinnie zatopiony w swojej książce. Potem, chcąc usłyszeć głośne „au!”, ukłuł innego chłopca szpilką i dostał drugie upomnienie od nauczyciela. W ogóle cała klasa Tomka była wzorowa: hałaśliwa, oporna i niezdolna. Gdy przyszło do wygłaszania wersetów z Biblii, żaden nie umiał ich dokładnie i wszystkim trzeba było podpowiadać. Wreszcie każdy jakoś wyjąkał swoje i dostał w nagrodę małą niebieską karteczkę z cytatem z Pisma Świętego. Była to zapłata za wyrecytowanie dwóch wersetów. Dziesięć niebieskich kartek stanowiło równowartość jednej czerwonej i mogło być na nią wymienione; dziesięć czerwonych równało się jednej żółtej, a za dziesięć żółtych dostawało się od dyrektora skromnie oprawioną Biblię (która w owych dawnych, dobrych czasach kosztowała czternaście centów). Ilu z moich czytelników zdobyłoby się na tyle pilności i poświęcenia, żeby wyuczyć się na pamięć dwóch tysięcy wierszy, gdyby nawet mieli za to dostać Biblię z ilustracjami Dorègo? A jednak Mary zdobyła tą drogą dwie Biblie, owoc wytrwałej pracy dwóch lat, a pewien chłopak z niemieckiej rodziny zagarnął ich aż cztery czy pięć. Raz wyrecytował on jednym tchem, bez zająknięcia, trzy tysiące wersetów. Ale niestety, mózg jego nie wytrzymał takiego obciążenia i od tego dnia prawie zupełnie zidiociał. Ciężki to był cios dla niedzielnej szkółki, bo dyrektor bardzo lubił popisywać się tym chłopcem wobec ważnych gości — taka była przynajmniej opinia Tomka. Tylko ustatkowani chłopcy zdobywali się na przechowywanie karteczek i wytrwale wbijali sobie w głowę wersety tak długo, póki nie zasłużyli na Biblię. Nic więc dziwnego, że wręczenie takiej nagrody było rzadkim i pamiętnym wydarzeniem. Zwycięzca stawał się bohaterem dnia i wówczas w sercach wszystkich chłopców zapalał się święty ogień ambicji, który nieraz gasł dopiero po kilku tygodniach. Jest rzeczą prawie pewną, że Tomek nigdy nie pragnął samej nagrody, ale nie ulega wątpliwości, że jego serce rwało się do sławy i blasku nagrodzonego szczęśliwca.

Dyrektor stanął przed amboną z zamkniętym psalterzem w ręce. Odpowiednie kartki założył palcem wskazującym. Wezwał dzieci do uwagi. Kiedy dyrektor szkółki niedzielnej wygłasza swoją zwykłą, krótką naukę, psalterz jest w jego ręku tak niezbędny, jak nuty w ręku śpiewaka, który występuje solo na estradzie. Dlaczego tak jest, pozostaje wieczną tajemnicą, bo obaj ci męczennicy nigdy nie zaglądają ani do psalterza, ani do nut.

Dyrektor był szczupłym, trzydziestoparoletnim mężczyzną, z ryżą kozią bródką i krótkimi rudymi włosami. Nosił sztywny, stojący kołnierzyk, którego brzeg sięgał mu aż do uszu, a ostre, wygięte końce niemal wbijały się w kąciaki ust. Był to rodzaj parkanu, który zawsze zmuszał go do patrzenia tylko prosto przed siebie i do obracania się całym ciałem, gdy chciał spojrzeć w bok. Brodę podpierał rozłożysty krawat, dorównujący swoją wielkością średnich rozmiarów serwecie, z frędzlami na końcu. Noski jego butów były — według ówczesnej mody — wygięte w górę, na kształt nart. (Młodzi eleganci, aby dojść to takich wyników, z samozaparciem całymi godzinami przyciskali końce butów do ściany). Pan Walters był człowiekiem dobrodusznym i szczerym, choć zawsze miał niezwykle poważną minę. Do spraw i miejsc świętych odnosił się z takim szacunkiem i tak dalece oddzielał je od życia powszedniego, że w niedzielę mimo woli głos jego przybierał zupełnie odświętną intonację. Zaczął w te słowa:

— A teraz, moje dzieci, usiądźcie sobie prościutko i grzecznie, i posłuchajcie mnie spokojnie przez chwilę. Tak, doskonale. Tak powinni zawsze zachowywać się grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki. Ale tam jedna dziewczynka wygląda przez okno. Pewnie jej się wydaje, że widzi mnie gdzieś za oknem — siedzę sobie na drzewie i wygłaszam kazanie dla ptaszków. (Pełen uznania śmiech dzieci). Chcę wam powiedzieć, że bardzo się cieszę, widząc tyle czystych i niewinnych twarzyczek, które zebrały się w tym świętym miejscu, aby uczyć się czynić dobrze i żyć cnotliwie.

I tak dalej, i tak dalej. Nie trzeba tu powtarzać dalszego ciągu kazania. Było bowiem w stylu, który nigdy się nie zmienia — znamy go więc bardzo dobrze.

Ostatnia część przemówienia została zakłócona przez kilku niegrzecznych chłopców, którzy wznowili przeciwko innym kroki nieprzyjacielskie oraz przez ogólne szepty i wiercenie się publiczności. Atmosferze rozprężenia uległy nawet takie niewzruszone skały, jak Sid i Mary. Ale gdy głos pana Waltersa zaczął tracić na sile, ucichły nagle wszelkie szmery i koniec kazania został przyjęty z niemą wdzięcznością.

Znaczną część szeptów wywołało dość niezwykle zdarzenie. Weszli goście: adwokat Thatcher pojawił się w towarzystwie jakiegoś mizernego staruszka oraz przystojnego i

postawnego mężczyzny w średnim wieku, o włosach lekko przyprószonych siwizną, a także okazałej matrony, która była niewątpliwie żoną tego ostatniego. Dama ta prowadziła za rękę dziewczynkę.

Tomek aż do tej chwili był niespokojny, dręczyła go rozterka wewnętrzna i gryzły wyrzuty sumienia. Nie mógł spojrzeć w oczy Amy Lawrence, nie mógł znieść jej rozkochanych spojrzeń. Ale gdy zobaczył nowo przybyłą dziewczynkę, dusza jego od razu zapłonęła szczęściem. Natychmiast zaczął swoje popisy: poszturchiwał chłopców, targał ich za włosy, wykrzywił się — jednym słowem, używał wszystkich sposobów, które wydały mu się odpowiednie, aby oczarować jasnowłosą boginkę i zdobyć jej uznanie. Jedno tylko ziarenko goryczy zatruwało mu radość: wspomnienie haniebnego poniżenia w ogrodzie swojego anioła. Ale fale szczęścia szybko zmyły to ziarenko.

Gości posadzono na honorowych miejscach, a pan Walters zaraz po zakończeniu przemówienia przedstawił ich dzieciom. Mężczyzna w średnim wieku okazał się niezwykłą osobistością. Był ni mniej ni więcej, tylko sędzią okręgowym — a więc najdostojniejszą istotą, jaką dzieci oglądały w swym życiu. Zastanawiały się, jaki on jest. Były ciekawe, czy potrafi ryczeć strasznym głosem, to znów bały się, że naprawdę zacznie ryczeć. Przybył z Nowego Konstantynopola, oddalonego o dwanaście kilometrów od miasteczka, wiele więc podróżował i znał świat. Oczy jego widziały budynek sądu okręgowego, o którym chodziły słuchy, że ma dach kryty blachą! Podziw i szacunek, jakie budziły te myśli, znalazły wyraz w milczeniu i spojrzeniach wlepionych w sędziego. A więc to był wielki sędzia Thatcher, brat miejscowego adwokata! Jeff Thatcher wystąpił naprzód, aby pokazać wszystkim w jakiej zażyłości pozostaje z wielkim mężem i — by stać się przedmiotem zazdrości całej klasy. Muzyką dla jego duszy były szeptki kolegów:

— Patrz, Jim! Idzie do niego! Patrz, podaje mu rękę, naprawdę się z nim wita! Na rany kota! Chciałbym być teraz na miejscu Jeffa!

Pan Walters zaczął się „popisywać”. Krzątał się jak mrówka, z przesadną ważnością wykonywał różne niby urzędowe czynności, wydawał polecenia, krytykował — usiłował być wszędzie naraz. Kościelny też się „popisywał” — biegał tam i z powrotem z pełnym naręczem książek, trząsał nimi i hałasował. Młode nauczycielki „popisywały się”, pochylając się ze słodkim uśmiechem nad swoimi wychowankami, których jeszcze niedawno targały za uszy. Z wdziękiem podnosiły wskazujący palec do góry, by pogrozić niegrzecznym chłopczykom, a z rozculeniem głaszały grzeczne dzieci. Młodzi nauczyciele „popisywali się”, udzielając delikatnych upomnień i składając inne dowody

powagi i skrupulatnej troski o dyscyplinę. Większość zaś nauczycieli obojga płci krzątała się koło szaf z książkami tuż przy ambonie; ciągle tam było coś do zrobienia i poprawienia — ku widocznemu ich utrapieniu. Dziewczynki „popisywały się”, jak która umiała, a chłopcy „popisywali się” z takim zapalem, że w kościele aż pociemniało od latających papierowych kul i kurzu, jaki wzbił się nad walczącymi. A ponad tym wszystkim siedział wielki mąż, rozjaśniał cały kościół swym majestatycznym sędziowskim uśmiechem i grzał się w słońcu własnej wielkości — bo i on „popisywał się” również.

Jednego tylko brakowało, by uczynić pana Waltersa bezgranicznie szczęśliwym: możliwości wręczenia Biblii i okazania światu i gościom cudownego dziecka. Wprawdzie wielu uczniów miało po kilka żółtych karteczek, ale żaden nie posiadał ich tyle, ile trzeba. Posyłał pytające spojrzenia w stronę prymusów i byłby teraz oddał nie wiadomo co, byle mieć pod ręką owego chłopca, Niemca — ale ze zdrową głową.

I właśnie w chwili, gdy już wszelka nadzieja umarła, wystąpił Tomek Sawyer ze swoimi kartkami: dziewięć żółtych, dziewięć czerwonych i dziesięć niebieskich... i zażądał Biblii!! Był to piorun z jasnego nieba. Na zgłoszenie się Tomka pan Walters nie liczył nawet w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Ale nie można było zamknąć oczu na oczywisty fakt — oto leżały przed nim kartki, które sam wydawał, i ilość punktów zgadzała się co do joty. Tomek został dopuszczony do honorowego miejsca pana sędziego okręgowego i innych wybrańców losu, a wielką nowinę podano do wiadomości publicznej. Było to stanowczo najbardziej zdumiewające wydarzenie ostatnich piętnastu lat. Wrażenie było tak potężne, że w oczach publiczności nowy bohater wzniósł się na wyżyny sędziowskie, i szkoła podziwiała teraz, nie jedno, ale dwa bóstwa. Zazdrość pożerała chłopców, jednak najstraszniejsze męczarnie cierpieli w tej chwili ci, którzy za późno zrozumieli, że sami przyczynili się do zdobycia przez Tomka dzisiejszej sławy. Przehandlowali swoje kartki za drobiazgi, które zdobył, sprzedając za nie prawo do bielenia parkanu. Czuli pogardę dla samych siebie, widząc jak padli ofiarą tego podstępного oszusta i chytrego węża.

Wręczenie nagrody Tomkowi odbyło się z taką wylewną czułością, na jaką tylko dyrektor mógł się w takich warunkach zdobyć. Serdecznościom brakowało jednak właściwej siły, bo instynkt mówił dyrektorowi, że w tym wszystkim tkwi jakaś mroczna tajemnica. Było coś wprost przeciwnego zdrowemu rozsądkowi, by ten właśnie chłopiec mógł nagromadzić w swym spichrzu duchowym dwa tysiące ziaren biblijnej mądrości — bo już tuzin zaledwie byłby niewątpliwie nadwerżył jego rozum.

Amy Lawrence była dumna i szczęśliwa. Chciała to dać Tomkowi do zrozumienia już samym wyrazem twarzy, ale on na nią nie patrzył. Najpierw lekko się zdziwiła, potem zaniepokoiła, w końcu przyszło mgliste podejrzenie, zniknęło i znowu powróciło. Zaczęła pilnie obserwować zachowanie Tomka — jedno ukradkowe spojrzenie powiedziało jej wszystko i wówczas serce jej pękło. Ogarnęła ją zazdrość i gniew, z oczu popłynęły łzy; poczuła nienawiść do całego świata, a przede wszystkim, jak jej się zdawało, do Tomka.

Tomek został przedstawiony panu sędziemu, ale język stanął mu kołkiem. Brakowało mu oddechu, a serce trzęsło się w piersi jak galareta — trochę z powodu przerażającej wielkości tego męża, przede wszystkim jednak dlatego, że to był jej ojciec. Gdyby było ciemno, najchętniej upadłby przed nim na kolana i zaczął się modlić do niego. Sędzia położył rękę na głowie Tomka, nazwał go dzielny chłopakiem i zapytał, jak się nazywa. Chłopiec zająknął się, nie mógł złapać oddechu, wreszcie wykrztusił:

— Tomek.

— Ależ nie, nie Tomek, tylko...

— Tomasz.

— No widzisz. Ale zdaje mi się, że jeszcze czegoś brakuje. Tomasz to bardzo ładnie, ale myślę, że masz jeszcze nazwisko, powiedz mi je.

— Powiedz panu swoje nazwisko, Tomasz — wtrącił pan Walters — i mów: panie sędzio. Nie należy zapominać o dobrym wychowaniu.

— Tomasz Sawyer, panie sędzio.

— No właśnie! Grzeczny, dzielny chłopiec. Wspaniały chłopiec! Dwa tysiące wierszy to dużo, bardzo dużo. Mój chłopcze, nigdy nie pożałujesz trudu poświęconego nauczeniu się ich, bo wiedza ma wartość większą od wszystkiego innego na świecie. To ona czyni ludzi wielkimi i dobrymi. Ty, Tomasz, też zostaniesz kiedyś wielkim i dobrym człowiekiem, a wówczas powiesz sobie: „To wszystko zawdzięczam temu, że w dzieciństwie miałem wielkie szczęście uczyć się w szkółce niedzielnej. To wszystko zawdzięczam moim wspaniałym nauczycielom, którzy nauczyli mnie pracować, to wszystko zawdzięczam drogiemu panu dyrektorowi, który dodawał mi otuchy, czuwał nade mną i dał mi tę piękną Biblię, aby mi towarzyszyła przez całe życie. To wszystko zawdzięczam dobremu wychowaniu”. Tak będziesz kiedyś mówił, Tomasz, i za żadne skarby nie będziesz chciał oddać tych dwóch tysięcy wierszy. A może teraz powiesz mi i tej pani coś z tych pięknych rzeczy, których się nauczyłeś? Prawda? Bo my jesteśmy

dumni z chłopców, którzy się dobrze uczą. Na pewno znasz imiona dwunastu apostołów. Może wymienisz nam tych dwóch, którzy najpierw zostali wybrani?

Tomek kręcił guzik u bluzy i patrzył baranim wzrokiem. Zacerwienił się i spuścił oczy. Panu Waltersowi zrobiło się słabo. Mówił sobie, że to jest przecież niemożliwe, aby ten chłopiec mógł odpowiedzieć choćby na najprostsze pytanie. Że też sędziemu musiała teraz przyjść ochota na przepytywanie z Biblii. Czuł się jednak w obowiązku coś powiedzieć.

— Odpowiedz panu sędziemu, Tomaszu — powiedział. — Nie bój się!

Tomek milczał uparcie.

— Ale mnie na pewno powiesz — odezwała się pani. — Pierwszymi apostołami byli, no...

— Dawid i Goliat!

Spuśćmy zasłonę miłosierdzia na koniec tej sceny.

Rozdział V

Około wpół do jedenastej zadzwonił pęknięty dzwon kościelny i niebawem ludzie zaczęli schodzić się na przedpołudniowe kazanie. Dzieci ze szkoły niedzielnej rozproszyły się po całym kościele i zajęły miejsca w ławkach obok rodziców, by być pod nadzorem. Przyszła też ciotka Polly. Tomek, Sid i Mary usiedli przy niej. Tomka posadzono po stronie nawy, aby w miarę możliwości był jak najdalej od otwartego okna i wszystkich rozpraszających widoków za oknem.

Tłum wypełnił wnętrze kościoła: sędziwy i mizerny poczmistrz, który pamiętał lepsze czasy; burmistrz z żoną — bo miasto posiadało, obok innych niepotrzebnych rzeczy, także i burmistrza; sędzia pokoju; wdowa Douglas, przystojna, elegancka, szczupła, szczerza, dobra i zamożna osoba (do niej należała jedyna willa w mieście) — bardzo gościnna i znana z najwystawniejszych przyjęć, jakimi St. Petersburg mógł się poszczycić; pochylony wiekiem, otoczony powszechnym szacunkiem major Ward z żoną; adwokat Riverson — świeżo przybyła ze świata znakomitość; potem jakaś miejscowa piękność, za którą tłoczyła się cała gromada młodych, wystrojonych pogromców serc; następnie weszli wszyscy młodzi urzędnicy miejscy, którzy tak długo stali w przedsionku, tworząc zbite półkole wypomadowanych i wzdychających wielbicieli, dopóki ostatnia, wchodząca do kościoła dziewczyna, nie przeszła przez ogień ich spojrzeń; na koniec zjawił się wzór chłopców, Willie Mufferson, który

prował matkę pod rękę z taką przesadną troskliwością, jakby była ze szkła. Zawsze prował matkę do kościoła i był przedmiotem podziwu wszystkich starszych pań. Chłopcy nie cierpieli go właśnie dlatego, że ciągle stawiano im go za wzór. Biała chusteczka do nosa zwisała mu, według niedzielnej mody, z tylnej kieszeni — niby to przypadkiem. Tomek nie miał chusteczki do nosa i chłopców, którzy jej używali uważał za maminsynków.

Kiedy zebrali się już wszyscy wierni, dzwon odezwał się jeszcze raz, aby przynaglić do pośpiechu ostatnich spóźnialskich, po czym w kościele zapanowała uroczysta cisza, którą mąciły tylko chichoty i szepty na chórze. Chór zawsze szeptał i chichotał przez cały czas nabożeństwa.

Pastor zapowiedział hymn, a następnie odczytał go z uczuciem, nadając swemu głosowi osobliwą intonację, podziwianą w całej okolicy. Zaczynał dość cicho, potem podnosił głos coraz bardziej, aż osiągnąwszy punkt kulminacyjny, potężnie akcentował ostatnie słowo i dawał nura w dół jak z trampoliny.

*Czy możesz wynieść mnie do siebie,
wśród kwiatów wieczny Panie ,
Gdy trzeba zdobyć chwałę w niebie
wśród walk, w krwi oceanie?*

Uchodził za świetnego lektora. Na wszystkich zebraniach kościelnych proszono go o czytanie wierszy. Za każdym razem, gdy skończył, panie podnosiły ręce do góry i opuszczały je bezwładnie na kolana, przewracały oczami i potrząsały głowami, co miało znaczyć: „To było tak piękne, że nie da się tego wyrazić słowami”.

Po odśpiewaniu hymnu wielbny pastor Sprague zamieniał się w żywą tablicę ogłoszeń i czytał tak przeraźliwie długą listę komunikatów o zebraniach, posiedzeniach i innych sprawach, że miało się wrażenie, iż się przed Sądem Ostatecznym nie skończy. Potem pastor przystąpił do modlitwy. Była to piękna, szlachetna modlitwa i bardzo szczegółowa. Wznoszono modły za Kościół i dzieci Kościoła, za inne Kościoły w miasteczku, za samo miasteczko, za cały okręg, za Stany Zjednoczone, za urzędników stanu, za Kongres, za prezydenta, za ministrów, za żeglarzy na morzu, za ludzi na Wschodzie, za pogan na dalekich wyspach wśród oceanów — a kończono błaganiami, by słowa, które pastor wypowie, zostały wysłuchane, by stały się ziarnem, które padło na urodzajny grunt i przyniosło bogaty plon wszelakiego dobra. Amen.

Zaszeleściły suknie i wszyscy usiedli.

Chłopiec, którego przygody opisuje ta książka, nie przejmował się modlitwą, zaledwie ją znosił, a i tak jeszcze buntował się przeciwko słuchaniu. Jakież fragmenty modlitwy docierały jednak do niego, mimo że nie uważał. Od dawna znał całą powtarzającą się treść, więc ilekroć pastor pozwolił sobie na dodanie do modlitwy choćby jednego nowego słowa, ucho Tomka natychmiast wychwytywało tę nieprawidłowość i wszystko w chłopcu burzyło się przeciwko takiemu skandalowi. Wszelkie nadprogramowe dodatki uważał po prostu za bezczelne oszustwo.

W połowie kazania mucha usiadła na oparciu ławki przed Tomkiem i zaczęła się z nim drażnić. Tarła jedną nóżkę o drugą, obejmowała głowę łapkami i tarła tak gwałtownie, jakby chciała oderwać ją od tułowia. Potem tylnymi nóżkami wycierała skrzydelka i przyciskała je do siebie niczym płaszcz. Całą tę toaletę wykonywała tak spokojnie, jakby wiedziała, że jest całkowicie bezpieczna. I istotnie była, bo choć Tomka strasznie korciło, żeby ją schwytać, nie śmiał jednak tego uczynić w trakcie modlitwy; był pewny, że za taki zuchwały czyn jego dusza zostałaby potępiona na wieki. Ale już pod koniec dłoń jego zaczęła skradać się w stronę oparcia; przy słowie „Amen” mucha padła łupem wojennym. Ciotka odkryła jednak ten występki i kazała wypuścić ją na wolność.

Pastor zapowiedział temat kazania i zaczął głądzić w sposób tak beznadziejnie nudny, że głowy słuchaczy jedna po drugiej poczęły się kiwać. Jego wywody z taką hojnością szafowały wiecznym ogniem i siarką, że liczbę kandydatów do nieba zredukowały do maleńkiej garstki — szkoda było nawet zachodu koło ich zbawienia.

Tomek liczył strony kazania. Po nabożeństwie zawsze wiedział ile było kartek kazania, ale o jego treści nie miał zielonego pojęcia. Dzisiaj jednak naprawdę zainteresował się na chwilę. Otóż pastor nakreślił majestatyczny i wzruszający obraz zastępów ludzi całego świata zebranych wspólnie na łonie królestwa bożego na ziemi, kiedy to lew i jagnię będą leżały obok siebie w pokoju, a małe dziecko będzie nimi rządzić. Moralna i pouczająca wzniosłość tego widowiska nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Natomiast poruszyła go świetność roli głównego bohatera — dziecka — na którego miały z podziwem patrzeć wszystkie narody. To wyobrażenie rozpromieniło Tomkowi twarz i obudziło w nim życzenie, by być owym dzieckiem, oczywiście pod warunkiem, że lew będzie naprawdę oswojony.

Potem znowu zaczęła się męka, gdyż pastor powrócił do nudnych tematów. Nagle Tomek przypomniał sobie o skarbie, który miał w kieszeni i wyjął go. Był to duży czarny

chrząszcz z potężnymi szczypcami, ochrzczony przez niego „szczypawką”. Za mieszkanie służyło mu pudełko od zapalek. Zaraz na początku chrząszcz ugryzł Tomka w palec. Chłopak trzepnął ręką i chrząszcz upadł na podłogę, na środek kościoła, brzuchem do góry. Owad leżał, przebierając rozpaczliwie nóżkami, nie mogąc się obrócić. Tomek widział go doskonale i próbował dosięgnąć ręką, ale na szczęście dla chrząszcza, był za daleko. Dla innych wiernych chrześcijan, tak samo zainteresowanych kazaniem jak Tomek, chrząszcz był bardzo pożądaną rozrywką.

Wtem do kościoła wszedł zabłąkany znudzony pudel. Rozleniwiony ciszą i spokojem letniego dnia, uszczęśliwiony swobodą, szukał przygód. Wytropił chrząszcza, podniósł ogon do góry i zaczął nim merdać. Przyjrzał się zdobyczy, okrążył ją, obwąchał z bezpiecznej odległości, okrążył raz jeszcze, zebrał się na odwagę, obwąchał z bliska, wreszcie wyszczerzył zęby, zamierzył się ostrożnie i kłapnął paszczą. Chybił. Ponownie spróbował schwytać chrząszcza i — naraz zaczęło go to bawić. Położył się na brzuchu, wziął owada między łapy i dalej z nim eksperymentował. Wreszcie znudził się, zubożył, uleciał duchem gdzie indziej. Głowa zaczęła mu się sennie kiwać, morda zniżać coraz bardziej, aż w końcu dotknęła wroga, który chwycił ją kurczowo swoimi szczypcami. Rozległ się krótki skowyt, pudel otrząsnął się energicznie, chrząszcz odleciał na kilka kroków i znowu upadł na grzbiet. Najbliżsi widzowie trzęśli się od tłumionego śmiechu, niejedna twarz ukryła się za wachlarzem lub chustką do nosa, a Tomek był w siódmym niebie. Pies miał bardzo niemądrą minę — na pewno czuł się głupio. Obudziła się w nim mściwość i zapragnął odwetu. Podkraść się do chrząszcza i ostrożnie zaatakował. Daskakiwał ze wszystkich stron, padał przed nim na przednie łapy, kłapał zębami coraz bliżej, potrząsał głową, aż mu uszy latały. Lecz po jakimś czasie zabawa znowu mu się znudziła. Spróbował zapolować na muchę, jednak nie przyniosło mu to zadowolenia. Puścił się w pogoń za mrówką, z nosem tuż przy podłodze, ale i to go prędko zniechęciło. Ziewnął, westchnął, zupełnie zapomniał o chrząszczu i... usiadł na nim. Przeraźliwy jęk bólu — i pudel zaczął szaleńczo galopować po kościele. Ze skowitem przeleciał przed ołtarzem, wpadł w boczną nawę i gnał dalej w poszukiwaniu wyjścia. Gomitwa potęgowała jeszcze jego rozpacz. Raz po raz mijał drzwi, gnając przed siebie na oślep. Wykonawszy w szalonym pędzie kilka okrążeń wokół kościoła, nieszczęsny męczennik w ostatecznej rozpaczach skoczył na kolana swemu panu, który wyrzucił go przez okno. Odgłosy psiej niedoli były coraz słabsze, aż wreszcie ucichły gdzieś w oddali.

Przez cały ten czas wszyscy w kościele mieli czerwone twarze i krztusili się od śmiechu, kazanie zaś ugrzęzło w martwym punkcie. Teraz zostało podjęte na nowo, lecz wyraźnie kulało — słuchacze nie byli już zdolni do głębszych wzruszeń, a najbardziej nawet wzniosłe słowa pastora spotykały się ciągle z tłumionymi wybuchami bezbożnej wesołości i chowaniem się pod ławki, jakby biedny pastor opowiadał jakieś doskonałe dowcipy.

Tomek Sawyer wracał do domu w świetnym humorze. Uważał, że nabożeństwo może dać człowiekowi sporo zadowolenia, gdy się je nieco urozmaici. Jedno go tylko martwiło: nie miał nic przeciwko temu, żeby pies pobawił się jego „szczypawką”, ale nie było to z jego strony w porządku, że mu ją zabrał.

Rozdział VI

W poniedziałek rano Tomek był w kiepskim nastroju. Zawsze tak było, kiedy rozpoczynał się nowy, przeraźliwie długi tydzień szkolnej udręki. Tomek wzdychał, że byłoby lepiej, gdyby niedzieli nie było w ogóle, bo wtedy łatwiej można by się przyzwyczaić do niewoli.

Leżał w łóżku i rozmyślał. Nagle przyszło mu do głowy, żeby udać chorego i nie pójść do szkoły. Zaświtała mu słaba nadzieja. Podał swój organizm gruntownym oględzinom. Nie odkrył jednak żadnych dolegliwości, wobec czego zbadał się jeszcze raz. Przez chwilę wydawało mu się, że odkrył objawy kolki i dodało mu to znacznej otuchy. Niestety objawy szybko osłabły i w końcu zupełnie przepadły. Szukał dalej. Nagle coś odkrył. Jeden z górnych przednich zębów wyraźnie się chwia! Wspaniale! Już miał zacząć jęczeć, gdy przyszło mu na myśl, że jeżeli stanie z tym argumentem przed trybunałem domowym, ciotka zaraz wyrwie mu ząb, a to będzie bolało. Postanowił więc trzymać sprawę zęba w rezerwie i szukać dalej. Przez jakiś czas nic nie przychodziło mu do głowy; naraz przypomniał sobie, jak lekarz opowiadał o pewnej chorobie, przez którą ktoś musiał dwa czy trzy tygodnie leżeć w łóżku i o mało co palca nie stracił. Czym prędzej wysunął spod kołdry skaleczony palec u nogi i obejrzał go dokładnie. Nie miał wprowadzić pojęcia, jakie powinny być objawy tej choroby, ale w każdym razie warto było spróbować. Zabrał się więc z zapalem do jęczenia.

Sid spał jak zabity.

Tomek jęczał coraz głośniej i zdawało mu się, że palec naprawdę zaczyna go boleć.

Sid ani drgnął.

Tomek aż się zasapał z wysiłku. Odpoczął więc trochę, a potem wciągnął w płuca potężny haust powietrza i wydał całą gamę cudownych jęków.

Sid dalej chrapał w najlepsze.

Tomka ogarnął gniew. Zawołał: — Sid! Sid! — i potrząsnął nim mocno. Ten sposób okazał się skuteczniejszy. Tomek natychmiast wydał nową serię rozpaczliwych jęków. Sid ziewnął, przeciągnął się, chrapnął jeszcze raz, po czym podniósł się na łokciu i wybałuszył oczy na Tomka. Ten jęczał dalej.

— Tomek! Tomek! — zawołał Sid.

Nie ma odpowiedzi.

— Tomek, co ci jest? Tomek!

Sid potrząsnął bratem i z przerażeniem patrzył mu w twarz.

— Och, Sid, przestań, nie szarp mnie... — jęknął wreszcie Tomek.

— Co ci się stało? Trzeba zawołać ciocię!

— Nie, daj spokój. Może samo przejdzie... Nie wołaj nikogo...

— Muszę zawołać! Nie jęcz tak, Tomku, to straszne. Długo tak się męczysz?

— Kilka godzin. Au! Nie ruszaj mnie, Sid. Umieram...

— Dlaczego wcześniej mnie nie obudziłeś? Tomek, proszę cię, przestań, bo aż mi skóra cierpie. Powiedz, co ci jest?

— Sid, przebaczam ci wszystko. (Jęk). Wszystko, co zrobiłeś mi złego. (Jęk). Gdy mnie już nie będzie...

— Tomek, nie umieraj! Błagam cię, nie umieraj! Może...

— Wszystkim przebaczam. (Jęk). Powiedz im to, Sid. A moją ramę okienną i kota z jednym okiem daj tej dziewczynce, która niedawno przyjechała do naszego miasta, i powiedz jej...

Ale Sid porwał już ubranie i wypadł z pokoju. Tomek cierpiał teraz naprawdę, bo jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Jęki dźwięczały szczerym bólem.

Sid pędził po schodach na dół i wrzeszczał:

— Ciociu! Ciociu!! Tomek umiera!!!

— Umiera?

— Tak! Chodź prędko!

— Bzdura! Nie wierzę...

Ale mimo to pobiegła na górę, a Sid i Mary za nią. Twarz jej zbladła, usta drżały. Przypadłszy do łóżka, wyszeptała niemal bez tchu:

— Tomku, na miłość Boską, co ci jest?

— Ach, ciociu, jestem...

— Dziecko, co z tobą?!

— Ach, ciociu, mój skaleczony palec... zmartwiał zupełnie!

Ciotka padła na krzesło, najpierw zaczęła się śmiać, potem zaczęła płakać, a potem śmiała się i płakała jednocześnie. W końcu przyszła nieco do siebie.

— Oj, Tomku, ale mi stracha napędziłeś! Ale teraz dosyć tych głupstw. Wylaż z łóżka! Jęki Tomka od razu ustały, a i palec przestał boleć. Było mu trochę głupio.

— Ciociu — powiedział — on naprawdę tak dziwnie mi zmartwiał i tak mnie bolał, że nawet zapomniałem o zębie...

— O zębie? O jakim zębie?

— Jeden mi się rusza i boli okropnie.

— No, no, tylko nie zacznij znowu jęczeć. Otwórz buzię. Tak, ząb rzeczywiście się chwieje, ale od tego nie umrzesz. Mary, daj mi kawałek jedwabnej nitki i przynieś zapalone polano z pieca w kuchni.

— Wiesz, ciociu, już mnie wcale nie boli! Słowo daję! Nie trzeba go wyrywać. Ciociu, błagam!... Chcę iść do szkoły!!

— Naprawdę? Co ty mówisz? Więc po to była ta cała komedia, bo chciałeś wykręcić się od szkoły i iść na ryby? Ach, Tomku, Tomku, ja cię tak kocham, a ty do grobu chcesz mnie wpędzić swoimi wybrykami.

Tymczasem pojawiły się instrumenty dentystyczne. Ciotka Polly mocno obwiązała chory ząb nitką, a jej drugi, wolny koniec przymocowała do łóżka. Potem chwyciła płonące polano i nagle zamachnęła się nim tuż przed nosem Tomka. Tomek szarpnął głową do tyłu, a ząb zawisł u krawędzi łóżka.

Powiedziane jest, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdy Tomek po śniadaniu szedł do szkoły, był przedmiotem zazdrości każdego chłopca, którego spotkał, bo szczerba w górnym rzędzie zębów umożliwiała mu spluwanie w nowy, niezwykle i podziwu godny sposób. Szedł za nim cały orszak chłopców, mocno zainteresowanych jego wynalazkiem. Pewien chłopak, który miał ucięty palec i do tego momentu olśniewał wszystkich, będąc otoczony powszechnymi hołdami, stracił nagle zwolenników i aureolę sławy. Mocno przygnębiony takim obrotem sprawy, oświadczył z udaną pogardą, że to całe spluwanie Tomka to żadna sztuka. Ale inny chłopak powiedział mu na to: „Spróbuj sam, mądralo!” i bohater, strącony z piedestału, odszedł jak niepyszny.

Chwilę później Tomek spotkał młodego włóczęgę Huckleberry'ego Finna, syna miejscowego pijaka. Wszystkie matki serdecznie go nie cierpiały i bały się jak ognia, gdyż był to próżniak, ulicznik i ordynus oraz dlatego, że był przedmiotem uwielbienia ich własnych dzieci, które znajdowały niezwykłą przyjemność w jego towarzystwie i z całej duszy pragnęły go naśladować. Podobnie jak inni synowie porządných rodziców, Tomek także zazdrościł Huckowi jego wspaniałego, barwnego życia włóczęgi i miał surowy zakaz bawienia się z nim. Bawił się więc z nim, ilekroć tylko nadarzyła się sposobność.

Huck ubierał się w stare ubrania ludzi dorosłych, które zaplamione i postrzępione, wisiały na nim w artystycznym nieładzie. Kapelusz Hucka był bezkształtną ruiną, a naderwany kawałek ronda zwisał jak półksiężyc. Marynarka — jeżeli w ogóle miał ją na sobie — sięgała mu do pięt, a wybrzuszone na siedzeniu spodnie z wystrzępionymi ubłoconymi nogawkami, trzymały się na jednej szelce. Była to więc bardzo malownicza postać. Huck chodził, gdzie chciał i kiedy chciał. Sypiał na schodach, gdy było ładnie, a w pustych beczkach, kiedy było brzydko. Nie musiał chodzić do szkoły ani do kościoła, do nikogo nie musiał mówić „proszę pana” i nikogo nie słuchał. Mógł chodzić na ryby i kąpać się, kiedy tylko miał na to ochotę; siedział nad rzeką, jak długo chciał. Nikt nie zabraniał mu się bić i nikt nie kazał mu chodzić wcześniej spać. Na wiosnę zawsze pierwszy chodził boso, a jesienią ostatni zakładał buty. Mógł się w ogóle nie myć i nie nosić czystej bielizny. I umiał cudownie kłąć. Jednym słowem, chłopak ten miał wszystko, co może uczynić życie pięknym. Tak przynajmniej uważali wszyscy udręczeni synowie przyzwoitych rodziców w miasteczku St. Petersburg.

Tomek przywitał się z tym romantycznym włóczęgą:

— Serwus, Huckleberry!

— Serwus, co słychać?

— Co tam masz?

— Zdechłego kota.

— Pokaż! O rany, zdechły jak nic! Skąd go masz?

— Kupiłem od jednego chłopca.

— Co dałeś za niego?

— Niebieską kartkę i pęcherz z rzeźni.

— A skąd wziąłeś kartkę?

— Dwa tygodnie temu kupiłem ją od Bena Rogersa. Dałem mu za nią kijek do kółka.

— Słuchaj, Huck, a do czego ci potrzebny zdechły kot?

— Do czego? Do usuwania brodawek.

— Serio? Ja znam lepszy sposób.

— Niemożliwe. A jaki to sposób?

— Woda ze zgniłego drzewa.

— Woda ze zgniłego drzewa? To do niczego!

— Nie gadaj. Próbowaleś kiedyś?

— Ja nie, ale Bob Tanner próbował.

— Kto ci to powiedział?

— On mówił to Jeffowi Thatcherowi, a Jeff Thatcher Johnny'emu Bakerowi, a Johnny Jimowi Hollisowi, a Jim Benowi Rogersowi, a Ben pewnemu Murzynowi, a Murzyn powiedział to mnie. A widzisz!

— No i co z tego? Oni wszyscy kłamią. Może z wyjątkiem Murzyna. Nie znam go. Zresztą nieważne. Ale powiedz mi, jak Bob Tanner to zrobił?

— No wiesz, wsadził rękę w otwór spróchniałego pnia, w którym zbiera się deszczówka.

— W dzień?

— Jasne, że w dzień.

— Z twarzą do drzewa?

— Tak, chyba tak.

— Co mówił przy tym?

— Pewnie nic nie mówił. Zresztą nie wiem.

— No właśnie! I taki osioł będzie coś gadał o usuwaniu brodawek zgniłą wodą! To do niczego! Trzeba pójść samemu w głąb lasu, odszukać zgniły pień, w którym po deszczu zbiera się woda, o północy odwrócić się plecami do drzewa, wetknąć rękę w otwór i powiedzieć:

*„Na ropuchę i purchawki,
zgniła wodo, zjedz brodawki!”*

Potem trzeba szybko pójść z zamkniętymi oczami jedenaście kroków przed siebie, potem trzy razy się obrócić i pójść do domu. Ale po drodze nie wolno z nikim rozmawiać, bo gdy się powie choć słowo, czary stracą moc.

— Hm, to wygląda na dobry sposób. Ale Bob Tanner tak nie robił.

— Na pewno nie. On ma najwięcej brodawek z nas wszystkich, a przecież nie miałby ani jednej, gdyby wiedział, jak należy stosować zgniłą wodę. Ja tym sposobem pozbyłem się już tysiąca brodawek. Ciągłe bawię się żabami i dlatego wciąż robią mi się nowe. Czasami także usuwam je bobem.

— Tak. Bób jest dobry. Też go stosowałem.

— Tak? A w jaki sposób?

— Trzeba wziąć ziarenko bobu, rozłupać je, naciąć brodawkę do krwi, potem posmarować obie połówki bobu krwią i jedną zakopać o północy na rozstajach dróg, wtedy gdy nie ma księżyca, a drugą połówkę spalić. Połówka nasmarowana krwią ciągnie i ciągnie, żeby przyciągnąć do siebie drugą połówkę i w końcu brodawka odpada.

— Zgadza się. A jeśli zakopując bób, powiesz: „Idź bobie pod ziemię — precz brodawko ode mnie” — to jeszcze lepiej. Tak właśnie robi Joe Harper, a on już był blisko Coonville i w ogóle dużo widział. A jak się usuwa brodawki zdechłym kotem?

— To jest tak: bierzesz kota i idziesz z nim na cmentarz nocą w dniu, kiedy pochowano jakiegoś bezbożnika. O północy przyjdzie diabeł albo nawet dwa i trzy, ale widzieć ich nie można, najwyżej usłyszysz się coś jakby wiatr, a czasem nawet ich rozmowę. A kiedy zabierają duszę tego nieboszczyka, trzeba rzucić za nimi kotem i powiedzieć:

*Tak jak diabeł znika z trupem,
Tak jak kot ucieka z łupem,
Niech brodawki mi znikają,
Czystą skórę zostawiają!*

Ten sposób usuwa każdą brodawkę.

— To może być niezłe. Próbowaleś już tego, Huck?

— Nie, ale mama Hopkins mi opowiadała.

— W takim razie to musi być prawda, bo wszyscy mówią, że ona jest czarownicą.

— Mówią? Ja wiem, że nią jest! Rzuciła przecież czary na mojego ojca. Sam to mówi. Idzie raz ojciec drogą i widzi, że ona chce na niego rzucić urok, chwycił więc kamień i gdyby się nie schyliła, trafiłby ją porządnie. I co na to powiesz, że tej samej nocy spadł z szopy, na której spał pijany, i złamał sobie rękę?

— Rany! To straszne. A skąd twój ojciec wiedział, że ona chce na niego rzucić czary?

— Mój Boże, ojciec świetnie zna się na tym. Mówi, że gdy ona wlepi tak w kogoś oczy, to czaruje. Zwłaszcza jeżeli coś przy tym mruczy pod nosem. Bo wtedy odmawia Ojcie nasz na wspak.

— A kiedy pójdziesz wypróbować kota, Huck?

— Dzisiaj w nocy. Myślę, że tej nocy diabli przyjdą zabrać starego Hossa Williamsa.

— Przecież pochowali go jeszcze w sobotę, Huck. Czy diabli nie zabrali go już w sobotę?

— Coś ty! Przecież przed północą diabelska moc nie działa, a potem była niedziela. W niedzielę diabły się nie pokazują.

— Prawda, nie pomyślałem o tym. Weźmiesz mnie ze sobą?

— Jasne, jeśli tylko się nie boisz.

— Boję się? Żartujesz! Przyjdź po mnie i zamiaucz.

— W porządku, ty też odpowiedz miauczeniem, jeżeli będziesz mógł. Ostatnim razem miauczałem tak długo, aż stary Hays rzucił we mnie kamieniem i krzyknął: „Przekłête kocisko!”. Wtedy ja wrzuciłem mu cegłę przez okno. Ale nie mów o tym nikomu.

— To się rozumie. Wtedy naprawdę nie mogłem miauczeć, bo ciotka cały czas mnie pilnowała. Ale dzisiaj się postaram. Hej, co tam masz?

— Nic, kleszcza.

— Skąd go masz?

— Z lasu.

— Co chcesz za niego?

— Nie wiem. Nie chcę go sprzedawać.

— Jak uważasz. Mały jest ten kleszcz.

— Każdy może tak mówić, dopóki go nie ma. Mnie on wystarcza. Jestem z niego zupełnie zadowolony.

— Phi, jest ich cała masa. Mógłbym mieć tysiące, gdybym chciał.

— To czemu nie chcesz? Bo dobrze wiesz, że nie możesz. To wspaniały wczesny okaz, pierwszy, jakiego widziałem w tym roku.

— Słuchaj, Huck, dam ci za niego mój ząb.

— Pokaż.

Tomek wyjął papierowe zawiniątko i ostrożnie wydobył z niego ząb.

Huck oglądał go chciwie. Pokusa była wielka. Wreszcie powiedział:

— Na pewno prawdziwy?

Tomek otworzył usta i pokazał szczerbę.

— Załatwione! — powiedział Huck.

Tomek schował kleszcza do pudełka po zapalkach, które jeszcze niedawno było mieszkaniem „szczypawki”, i chłopcy rozstali się, każdy przekonany, że jest bogatszy niż był przedtem.

Gdy Tomek dotarł wreszcie do małego, drewnianego, położonego na uboczu budynku szkolnego, wszedł do klasy szybkim krokiem, z miną człowieka, który bardzo się spieszył. Powiesił kapelusz na kołku i ruszył na swoje miejsce z pilnością wzorowego ucznia. Nauczyciel siedział na wyżynach swego tronu, w wielkim wyplatany fotelu i drzemał, ukołyszany sennym szmerem uczących się dzieci. Obudziło go wejście Tomka.

— Tomasz Sawyer!

Tomek wiedział, że nazwanie go pełnym imieniem i nazwiskiem nie oznacza nic dobrego.

— Jestem!

— Chodź no tu. Cóż to, przyjacielu, znowu się spóźniłeś?

Tomek właśnie zamierzał wykręcić się jakimś niewinnym kłamstwem, gdy spostrzegł nagle dwa jasne warkocze, opadające na plecy i poznał je natychmiast, dzięki owej tajemniczej sile miłości. Zorientował się też od razu, że obok dziewczynki było jedyne wolne miejsce w całej klasie. Oświadczył więc prosto z mostu:

— Zatrzymałem się, żeby porozmawiać z Huckiem Finnem!

Nauczycielowi krew zastygła w żyłach. Bezradnie powiódł wzrokiem po klasie, jakby tam szukał ratunku. Zrobiło się cicho. Wszyscy byli przekonani, że Tomek zwariował. Nauczyciel zapytał:

— Co... co zrobiłeś?

— Zatrzymałem się, żeby porozmawiać z Huckiem Finnem.

Jaśniej nie można było powiedzieć.

— Tomasz Sawyer! To jest najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem. Odpowiedzią na to może być tylko kij. Ściągaj bluzę!

Ramię pedagoga pracowało aż do zmęczenia, potem zasoby nauczycielskiej energii zaczęły się wyczerpywać. Wreszcie padł rozkaz:

— A teraz marsz na stronę dziewcząt! I niech to będzie dla ciebie przestrogą na przyszłość.

Wydawało się, że śmiech, który przeleciał po klasie, zawstydził Tomka. W rzeczywistości jednak przyczyną jego zmieszania było pełne onieśmienia uwielbienie

dla tego nieznanego bóstwa i bezgraniczne szczęście, że udało mu się usiąść obok niej. Usiadł na skraju sosnowej ławki, a dziewczynka odsunęła się od niego, ostentacyjnie odwracając głowę. Po klasie szły szturchańce, porozumiewawcze znaki i szepty, ale Tomek siedział spokojnie, z rękami na długim niskim pulpicie i nosem w książce.

Powoli klasa przestała zwracać na niego uwagę i powróciła zwykła senna atmosfera. Tomek zaczął rzucać na dziewczynkę ukradkowe spojrzenia. Zauważyła to, skrzywiła się z niesmakiem i przez minutę pozwoliła mu oglądać tylko tył swojej głowy. Gdy się ostrożnie odwróciła, leżała przed nią brzoskwinia. Odtrąciła ją gwałtownie, Tomek łagodnie podsunął ją znowu. Odtrąciła ją ponownie, ale już z mniejszą niechęcią, Tomek cierpliwie podsunął ją znowu. Zostawiła ją tam, gdzie leżała. Tomek nagryzmoilił na tabliczce: „Proszę cię, weź, mam więcej”. Dziewczynka zerknęła na tabliczkę, ale nie odpowiedziała. Wtedy Tomek zaczął coś rysować na tabliczce, lewą ręką zasłaniając przed nią swe dzieło. Przez chwilę udawała, że nic ją to nie obchodzi, ale wkrótce zwykła ludzka ciekawość wzięła górę. Chłopiec pracował dalej. Dziewczynka nieśmiało zerknęła na tabliczkę, ale on udawał, że nic nie zauważył. Wreszcie uległa i szepnęła niepewnym głosem:

— Pokaż...

Tomek odsłonił nieudolną karykaturę domu z dwoma szczytami dachu i wychodzącym z komina dymem w kształcie korkociągu. To wspaniałe dzieło zainteresowało dziewczynkę i zapomniała o wszystkim. Gdy skończył, przyjrzała się rysunkowi i szepnęła:

— Śliczne. Teraz narysuj człowieka.

Artysta dorysował człowieka, olbrzymiego potwora, który spokojnie mógłby przejść ponad domem. Ale dziewczynka nie była pedantką. Potwór zupełnie ją zadowalał. Szepnęła:

— Pysznie! Zrób jeszcze mnie, jak przychodzę.

Tomek namalował coś podobnego do klepsydry z głową jak księżyc w pełni i słomkami zamiast rąk i nóg. Rozcapierzone palce uzbroił w potężny wachlarz.

— Ach, jakie to śliczne! — powiedziała dziewczynka. — Chciałabym tak umieć rysować!

— To zupełnie łatwe — odszepnął Tomek. — Jak chcesz, mogę cię nauczyć.

— Naprawdę? Kiedy?

— W południe. Czy idziesz do domu na obiad?

— Zostanę, jeśli chcesz.

— Wspaniale. Jak się nazywasz?

— Becky Thatcher. A ty? Ach, prawda, wiem: Tomasz Sawyer.

— Tak się nazywam, gdy dostaję lanie. Kiedy jestem grzeczny, nazywam się Tomek.

Ty będziesz do mnie mówiła Tomek, prawda?

— Tak.

Zaczął znowu coś gryzmolić na tabliczce. Ale ona już się nie odwracała. Chciała widzieć. Odpowiedział:

— O, to nic takiego!

— Nie wierzę. Tam coś jest.

— Ależ nic. Zresztą nie będziesz chciała na to patrzeć.

— Przeciwnie, bardzo, bardzo chcę. Proszę cię, pokaż!

— A nie powiesz nikomu?

— Nigdy! Słowo!

— Naprawdę? Nigdy w życiu?

— Nikomu nie powiem aż do śmierci. A teraz pokaż!

— Lepiej nie. I tak nie będziesz chciała na to patrzeć.

— Im dłużej tak mówisz, tym bardziej chcę, Tomku — i położyła swoją rączkę na jego ręce. Nastąpiła maleńka utarczka. Tomek udawał, że naprawdę się opiera, ale pomału odsuwał rękę, odsłaniając w końcu napis: Kocham cię.

— Ach, ty wstręciuchu! — dała mu lekkiego klapsa, ale zarumieniła się i wyglądała na zadowoloną.

Właśnie w tej chwili chłopiec poczuł, że jakieś żelazne kleszcze zaciskają się powoli wokół jego ucha i coś ciągnie go do góry. W ten sposób, ku niewysłowionej uciechu uczniów, został przeprowadzony przez całą klasę i usadzony na swoim zwykłym miejscu. Nauczyciel stał nad nim przez kilka strasznych chwil, aż wreszcie bez słowa wlaź na swój tron. Choć ucho Tomka piekło, serce jego śpiewało hymn radości.

Gdy w klasie zapanował spokój, Tomek usiłował rzetelnie wziąć się do nauki, ale był zbyt wzburzony, aby się skupić. Gdy przyszła na niego kolej czytania, robił same błędy. Pytany z geografii zamieniał jeziora w góry, góry w rzeki, rzeki w lądy stałe tak, że na ziemi zapanował chaos niczym przed stworzeniem świata. W dyktandzie strzelał byki w najprostszych słowach, toteż gdy wreszcie wstał z ławki, to tylko po to, by oddać blaszany medal, który w nagrodę za dobrą pisownię nosił z dumą przez kilka miesięcy.

Rozdział VII

Im sumienniej starał się Tomek przykuć uwagę do książki, tym bardziej uciekały mu myśli. Wreszcie westchnął, ziewnął i dał spokój tym usiłowaniom. Miał wrażenie, że południowa przerwa nigdy nie nadejdzie. Powietrze wprost zamarło, nie wiał nawet najłżejszy wiaterek. Ze wszystkich sennych dni ten był najbardziej senny. Monotonne mruczenie dwudziestu pięciu uczących się dzieci usypiało jak brzęczenie pszczoł. Daleko, poprzez migotliwe rozgrzane powietrze, majaczyła delikatna zieleń wzgórz Cardiff, skąpanego w blasku słońca. Wysoko szybowało leniwie kilka ptaków. Poza tym nie było widać żadnej żywej istoty oprócz kilku krów — a i te spały.

Dusza Tomka wyrывała się na wolność i gorączkowo poszukiwała jakiejś rozrywki, która pozwoliłaby przetrwać te straszne chwile. Sięgnął ręką do kieszeni i nagle błysk radości rozjaśnił mu twarz — była to prawdziwa modlitwa dziękczynna. Ukradkiem wyjął pudełko po zapalniczkach. Wypuścił kleszcza na wolność i posadził go na płaskim pulpicie. Zwierzątko prawdopodobnie również zapłonęło gorącą wdzięcznością, ale była ona przedwczesna, bo gdy chciało pełne radosnych uczuć wybrać się w podróż, Tomek zawrócił je szpilką i zmusił do obrania innego kierunku.

Obok Tomka siedział jego serdeczny przyjaciel, który cierpiał tak samo jak on i teraz z głęboką wdzięcznością przyłączył się do zabawy. Przyjaciel nazywał się Joe Harper. Przez cały tydzień chłopcy byli serdecznymi przyjaciółmi, ale w niedzielę zamieniali się w zaciętych wrogów i toczyli ze sobą wojny. Joe wyjął szpilkę z kłapy swojej bluzy i przyłączył się do musztrowania jeńca. Zabawa stawała się coraz bardziej interesująca. Wkrótce jednak Tomek oświadczył, że sobie nawzajem przeszkadzają i żaden z nich nie ma z kleszcza korzyści. Położył więc tabliczkę Joego na pulpicie i narysował na jej środku pionową linię.

— Teraz — powiedział — jak długo kleszcz jest na twojej stronie, możesz go poganiać, ile chcesz, ale gdy ucieknie na moją stronę, musisz go zostawić w spokoju, dopóki mi znowu nie ucieknie do ciebie.

— Świetnie! No to puszczaj go!

Kleszcz szybko uciekł Tomkowi i przekroczył granicę. Joe męczył go jakiś czas, aż zwierzątko znowu wyrwało się na drugą stronę. Sytuacja powtarzała się kilkakrotnie. Gdy jeden z pełnym poświęceniem znęcał się nad kleszczem, drugi przyglądał się z nie mniejszym zainteresowaniem. Obaj chłopcy zapomnieli o bożym świecie. Wreszcie szczęście bardziej zaczęło sprzyjać Joemu. Kleszcz miotał się na prawo i lewo, próbował

tej i innej drogi, i był tak samo zdenerwowany i podniecony jak chłopcy. Za każdym razem, gdy Tomkowi zdawało się, że już już zdobycz przekracza jego granicę, a ręce rwały się do działania, szpilka Joego zgrabnie zawracała zwierzątko z powrotem. Wreszcie Tomek nie wytrzymał. Pokusa była za silna. Wyciągnął rękę i dopomógł troszkę swoją szpilką. Joe wpadł w gniew.

- Co robisz, Tomek! Zostaw go!
- Chciałem go tylko trochę popchnąć...
- No nie, mój drogi, to nieuczciwe.
- Przecież wolno mi go trochę popchnąć.
- Puść go w tej chwili!
- Nie puszczę!
- Musisz, przecież jest po mojej stronie.
- Słuchaj, Joe, czyj to kleszcz?
- Nieważne, jest po mojej stronie i masz go puścić!
- Coś takiego! To jest mój kleszcz i zrobię z nim, co mi się będzie podobało!

Potężny cios spadł na plecy Tomka i drugi taki sam na plecy Joego. Przez dwie minuty z dwóch bluz leciał kurz i przez dwie minuty klasa miała niezłe widowisko. Chłopcy byli tak zajęci sobą, że nie zauważyli ciszy, jaka zapanowała w klasie, gdy nauczyciel zaczął skradać się na palcach w stronę ich ławki i stanął nagle nad nimi. Przyglądał się dość długo ich wyczynom, zanim zdecydował się urozmaicić im zabawę swym osobistym udziałem.

Gdy wreszcie nadeszła przerwa południowa, Tomek podbiegł do Becky Thatcher i szepnął jej do ucha:

— Włóż kapelusz i udawaj, że idziesz do domu, a gdy dojdiesz do rogu, wróć tutaj boczną uliczką. Ja pójdę inną drogą i wrócę tak samo.

Tak też się stało. Tomek poszedł z grupą kolegów, a Becky z koleżankami. Po chwili spotkali się u wylotu małej uliczki i wrócili do szkoły, którą mieli teraz na swój wyłączny użytek. Usiedli obok siebie i położyli na ławce tabliczkę; Tomek podał dziewczynce rysik i trzymając jej rękę w swojej, tworzył nowy nadzwyczajny dom. Gdy zainteresowanie sztuką osłabło, zaczęli rozmawiać. Tomek był wniebowzięty.

- Lubisz szczury? — zapytał.
- Pfuj, nienawidzę!
- No tak, żywe. Ale ja mówię o zdechłych, którymi można kręcić na sznurku wokoło głowy.

— Nie, nie cierpię szczurów, ani żywych, ani zdechłych. Wiesz, co lubię? Gumę do żucia.

— Aha... Szkoda, że nie mam.

— Ale ja mam. Chcesz? Pożuj chwilę, ale potem musisz mi oddać.

To było wspaniałe. Żuli na zmianę i majtali nogami z nadmiaru szczęścia.

— Byłaś kiedyś w cyrku?

— Tak, i tatuś jeszcze mnie tam zabierze, jak będę grzeczna.

— Ja byłem w cyrku trzy, cztery, no, w ogóle dużo razy. Kościół nie umywa się do cyrku. W cyrku przez cały czas są jakieś nowe hece. Gdy dorosnę, zostanę kłownem w cyrku.

— Ojej, naprawdę? To cudowne! Klowni mają zawsze takie kolorowe stroje.

— No właśnie. A wiesz ile zarabiają pieniędzy? Całą masę! Co najmniej dolara dziennie. Ben Rogers mi to mówił. Słuchaj, Becky, czy byłaś już kiedyś zaręczona?

— A co to jest?

— No, zaręczona, żeby potem wyjść za mąż.

— Nie.

— A chciałabyś?

— Chyba tak. Zresztą nie wiem. A jak to jest?

— Jak? To żadna sztuka. Musisz tylko powiedzieć chłopcu, że nigdy nie chcesz kochać nikogo innego, tylko jego, na zawsze, a potem pocałować go i rzecz załatwiona. Każdy to potrafi.

— Pocałować? Po co?

— Widzisz, to jest takie... no, ładne, i tak się zawsze robi.

— Zawsze?

— Tak robią wszyscy, którzy się kochają. Pamiętasz, co ci napisałem na tabliczce?

— Ta-ak.

— Więc co to było?

— Nie powiem.

— Mam ci sam powiedzieć?

— Ta-a-ak, ale kiedy indziej.

— Nie, teraz!

— Nie, nie teraz... Jutro!

— O nie, Becky, proszę cię. Ja tylko szepnę, bardzo cichutko.

Becky zawahała się. Tomek uznał milczenie za zgodę. Objął ją ręką wpół i wyszeptał wyznanie cichutko, z ustami tuż przy jej uchu.

Potem dodał:

— Teraz ty mi szepnij... to samo.

Becky opierała się chwilę, a potem powiedziała:

— Musisz się odwrócić i nie patrzeć na mnie, wtedy powiem. Ale nie powtórzysz tego nikomu, pamiętaj, Tomku! Więc nie powiesz nikomu?

— Nie, nigdy w życiu! A teraz Becky...

Odwrócił się. Ona nachyliła się nieśmiało, aż oddech jej musnął jego włosy i wyszeptła:

— Kocham cię.

Potem odskoczyła i zaczęła uciekać między ławkami, a Tomek gonił ją po klasie. Wreszcie schroniła się w kącie, zasłaniając sobie twarz białym fartuszkem. Tomek objął ją za szyję i prosił:

— Becky, proszę cię, już po wszystkim. Jeszcze tylko pocałunek. Nie bój się, to nic takiego. Becky, proszę cię!

Ciągnął ją za fartuszek i próbował odjąć jej dłonie od twarzy. Becky ustąpiła w końcu i opuściła ręce. Spoza fartuszka ukazała się zaczerwieniona od szamotania twarzyczka. Dziewczynka poddała się. Tomek pocałował czerwone usteczka i powiedział:

— Już po wszystkim, Becky. Pamiętaj, że od tej chwili nie wolno ci kochać nikogo innego, oprócz mnie i nie wolno ci wyjść za mąż za żadnego innego chłopaka, tylko za mnie. Przyszekasz?

— Tak, nigdy nie będę kochała nikogo innego, tylko ciebie, Tomku i tylko za ciebie wyjdę za mąż. A ty nie ożenisz się z nikim innym, tylko ze mną.

— Naturalnie, ma się rozumieć. Zawsze idąc do szkoły albo wracając do domu, musisz iść ze mną, gdy nikt nie będzie widział. We wszystkich grach i zabawach będziesz wybierać mnie, a ja ciebie — tak robią narzeczeni.

— Ach, to cudowne! Nigdy przedtem o tym nie słyszałam.

— To jest bardzo fajne. Gdy ja i Amy Lawrence...

Wielkie oczy Becky powiedziały mu, że palnął głupstwo. Urwał zmieszany.

— Och, Tomku! Więc ja nie jestem pierwszą? Miałeś już narzeczoną!

Zaczęła płakać.

— Nie płacz, Becky — uspokajał ją Tomek. — Ona mnie już nic a nic nie obchodzi.

— Nie, nie, ty sam najlepiej wiesz, że tak nie jest!

Tomek chciał objąć dziewczynkę za szyję, ale odepchnęła go, odwróciła się do ściany i płakała dalej. Tomek przysunął się do niej i ze wszystkich sił starał się ją pocieszyć, ale ponownie został odepchnięty. Wtedy obudziła się w nim duma, odwrócił się i wyszedł. Przez chwilę stał przed szkołą niezdecydowany, ciągle spoglądając ku drzwiom. Miał nadzieję, że Becky pożałuje swojej szorstkości i wyjdzie go szukać. Ale nie przychodziła. Zrobiło mu się bardzo przykro, bo czuł, że wina leży po jego stronie. Stoczył ze sobą ciężką walkę, aby jeszcze raz wrócić do niej. Wszedł do klasy. Becky stała ciągle w kącie twarzą do ściany i pochlipywała. Tomkowi serce omal nie pękło. Podeszedł do niej i stał chwilę, nie wiedząc co robić, wreszcie powiedział nieśmiało:

— Becky, naprawdę zależy mi tylko na tobie. Poza tobą nikt mnie nie obchodzi.

Brak odpowiedzi — słychać tylko płacz.

— Becky! — błagał — Becky! Odezwij się do mnie.

Znowu płacz.

Tomek wydobył swój największy skarb, mosięzną gałkę od jakiegoś mebla, podsunął jej pod oczy, żeby zobaczyła, i powiedział:

— Becky, proszę, weź to!

Becky strąciła gałkę na ziemię. Wówczas Tomek opuścił klasę i poszedł, gdzie go oczy poniosły, by tego dnia już do szkoły nie wrócić.

Becky tknęło złe przeczucie. Wybiegła, ale nigdzie nie było go widać. Zajrzała na dziedziniec szkolny. Tomka nie było. Zaczęła wołać:

— Tomku, wróć! Tomku!

Nasłuchiwała z napięciem, ale nikt nie odpowiedział. Otaczała ją cisza i pustka. Usiadła, zanosząc się od płaczu i czyniąc sobie gorzkie wyrzuty. Dzieci znów zaczęły schodzić się do szkoły, więc musiała kryć się ze swoim bólem i złamanym sercem. Czekало ją samotne dźwiganie brzemia długiego, posępnego popołudnia. Nie miała wśród obcych dzieci żadnej siostrzanej duszy, z którą mogłaby podzielić się swoim cierpieniem.

Rozdział VIII

Tomek kluczył zaułkami, aż znalazł się w przyzwyczajonej odległości od drogi, którą zwykle wracają uczniowie do szkoły. Z ciężkim sercem ruszył przed siebie. Dwa czy trzy razy przeszedł strumień, gdyż według rozpowszechnionego wśród chłopców przesądu,

przejście w bród wody zabezpiecza przed pościgiem. W pół godziny później zniknął za willą pani Douglas na szczycie wzgórza Cardiff. Budynek szkolny, leżący głęboko w dolinie, ledwo można było stamtąd rozpoznać. Wszedł w gęsty las i usiadł na mchu pod rozłożystym dębem. Najbliższy powiew nie poruszał liśćmi, upał południa uciszył nawet ptaki. Przyrodę ogarnęło nieme odrętwienie. Dusza chłopca pogrążyła się w smutku. Długo siedział w zadumie z łokciami na kolanach, oparłszy podbródek o dłonie. Myślał, że życie jest jednym pasmem udręk i prawie zazdrościł Jimowi Hodgesowi, który kilka dni temu wyzwolił się od niego. Wyobrażał sobie, jak dobrze i słodko jest tak leżeć i śnić wiecznie, kiedy wiatr szepce w liściach drzew, pieści trawy i kwiaty na grobie, a człowiek już na zawsze wolny jest od wszelkich smutków i trosk. Gdyby tylko miał dobre świadectwo ze szkoły niedzielnej, chętnie odszedłby z tego świata. A teraz jeszcze ta dziewczyna. Co on jej zrobił? Nic. Miał przecież najuczciwsze w świecie zamiary, a ona postąpiła z nim jak z psem, jak z ostatnim kundlem. Kiedyś jeszcze tego pożałuje, ale wtedy będzie już za późno. Ach, gdyby tak można było umrzeć na jakiś czas!

Ale żywotne młode serce nie umie się długo smucić. Tomek zaczął powoli wracać myślą do zwykłych spraw. Co by było, gdyby w tajemniczy sposób zniknął z miasteczka? Gdyby tak pojechał daleko, daleko, w nieznane kraje i już nigdy nie wrócił? Co ona by wówczas czuła? Przypomniawszy sobie pomysł, żeby zostać kłownem, ale myśl ta napełniła go niesmakiem. Tanie żarty i kolorowe ubrania były wręcz zniewagą dla jego melancholijnie rozmarzonej duszy. Nie, zostanie żołnierzem i wróci po wielu latach okryty ranami i sławą. Albo jeszcze lepiej: pójdzie do Indian, będzie z nimi polował na bizona, kroczył po ścieżkach wojennych, wśród dzikich gór i po bezdrożach olbrzymich prerii Dzikiego Zachodu, aż kiedyś, w dalekiej przyszłości wróci jako wielki wódz z orlimi piórami na głowie i twarzą pomalowaną w straszliwe barwy wojenne. Któregoś ranka zjawi się w szkole, a kolegom aż oczy wyjdą na wierzch z zazdrości. Albo nie; jest jeszcze coś wspanialszego. Zostanie piratem! Właśnie! Teraz jasno widział swoją przyszłość, promienną i chwalebną. Jego imię będzie znał cały świat i wszyscy będą drżeć przed nim. W aureoli sławy, pruć będzie wzburzone morze na swoim długim, wąskim, czarnym żaglowcu „Duch Burzy”, a na jego maszcie powiewać będzie straszliwa korsarska bandera! A gdy już osiągnie szczyt sławy, zjawi się kiedyś niespodziewanie w swym rodzinnym miasteczku, brązowy od słońca, ogorzały od wichrów morskich, i wkroczy dumnie do kościoła w czarnym aksamitnym kaftanie, czarnych aksamitnych spodniach, w wysokich butach z cholewami, przepasany karmazynową szarfą, z pistoletami za pasem, z szablą u boku, pokrytą plamami krwi,

w szerokim kapeluszu z powiewającymi piórami, z rozwiniętą czarną banderą, na której widnieć będzie trupia czaszka i skrzyżowane piszczele — tak wejdzie i będzie pęczył z dumy, słysząc szepty: „To jest pirat, Tomasz Sawyer! Czarny Mściciel Hiszpańskich Wód!”

Tak, to już postanowione. Wybrał swoją drogę życiową. Zrobi karierę. Ucieknie z domu i zacznie nowe życie. Postanowił wyruszyć na drugi dzień rano. Trzeba więc natychmiast rozpocząć przygotowania, zebrać odpowiednie środki. Podszedł do spróchniałego pnia i zaczął kopać pod nim scyzorykiem. Wkrótce natrafił na drzewo, które wydało głuchy odgłos. Włożył rękę do dolka i z powagą wygłosił zaklęcie:

„To, czego tutaj nie ma, przybądź na zawołanie!

A co tu było dotąd, niech dalej pozostanie!”

Potem rozgarnął ręką ziemię i odsłonił sosnową deszczulkę. Wyciągnął ją i odkrył maleńką, zgrabną skrytkę z sosnowych deseczek. Leżała tam szklana kulka do gry. Zdziwienie Tomka nie miało granic. Zbity z tropu, podrapał się w głowę i powiedział:

— Coś tu nie gra!

Odrzucił kulkę ze złością i zamyślił się głęboko. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że tym razem zawiodły czary, które on i jego koledzy uważali za niezawodne. Według magicznego przepisu, gdy zakopie się szklaną kulkę i wymówi przy tym specjalne zaklęcie, a po dwóch tygodniach odkopie to miejsce i wypowie słowa, które przed chwilą powiedział, wówczas znajdzie się tam wszystkie kulki, jakie się kiedykolwiek zgubiło, choćby były przedtem rozrzucone po całym świecie. Ale tutaj nic z tego nie wyszło. Wiara Tomka została zachwiana w posadach. Tyle razy słyszał, że się udawało, lecz nigdy nie słyszał, żeby zawiodło. Zapomniał, że sam już kilkakrotnie próbował tej metody, jednak nigdy nie mógł potem odnaleźć miejsca, w którym zakopał kulkę. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że jakaś czarownica musiała mu przeszkodzić i wszystko popsuła. Postanowił to sprawdzić. Zaczął więc szukać dokoła, aż znalazł w piasku małe lejkowate zagłębienie. Położył się, przytknął usta do zagłębienia i zawołał:

Leśny chrząszczu, powiedz mi to, co chciałbym wiedzieć!

Leśny chrząszczu, powiedz mi to, co chciałbym wiedzieć!

Piasek zaczął się poruszać i ukazał się mały czarny chrząszcz, ale przestraszony zaraz się schował.

— Nic nie mówi. A więc to robota czarownicy. Od razu się domyśliłem!

Ponieważ wiedział, że z czarownicami lepiej nie zaczynać, dał spokój skrytce. Przyszło mu jednak na myśl, że mógłby przynajmniej zatrzymać dla siebie kulkę, którą przed chwilą wyrzucił; rozpoczął więc cierpliwe poszukiwania. Ale nie mógł jej znaleźć. Wrócił do skrytki, stanął dokładnie tak samo jak wtedy, gdy rzucał kulkę, wyjął z kieszeni drugą i rzucając ją w tym samym kierunku, powiedział:

— Szukaj, bracie, brata.

Uważał dokładnie, gdzie upadła, poszedł tam i szukał. Musiała jednak upaść za blisko lub za daleko. Powtórzył próbę jeszcze kilka razy, aż wreszcie się udało. Obie kulki leżały prawie obok siebie.

W tej właśnie chwili w lesie rozległ się słaby dźwięk małej, blaszanej trąbki. Tomek błyskawicznie zrzucił z siebie bluzę i spodnie, przepasał się szelkami, odgarnął na bok kupkę chrustu, leżącą za pnem i wydobył z ukrycia łuk własnego wyrobu oraz strzałę, drewniany miecz i blaszaną trąbkę. Porwał to wszystko i boso, w rozwianej koszuli, popędził przed siebie. Dopadł wysokiego wiazu, odegrał pod nim swój odzew i ostrożnie rozejrzał się zza drzewa na wszystkie strony. Swojej wymyślonej drużynie rzucił cichy rozkaz:

— Stać, chłopcy! Kryć się, póki nie zatrąbię.

Na widowni pojawił się Joe Harper, tak samo lekko ubrany i tak samo potężnie uzbrojony. Tomek zawołał:

— Stój! Kto śmie wchodzić do lasu Sherwood bez mojego pozwolenia?

— Guy z Guisborne nie potrzebuje pozwolenia! A kim ty jesteś, który śmiesz do mnie mówić te słowa?

— Ja? Ja jestem Robin Hood, o czym wkrótce przekonają się twoje nędzne zwłoki!
— pośpieszył z odpowiedzią Tomek.

Dialog przyjaciół wzorowany był na książce, którą obaj umieli na pamięć.

— A więc to ty jesteś tym słynnym zabójcą? Z radością zmierzę się z tobą i zobaczymy, kto będzie rządził w tym lesie! Stawaj do walki!

Dobyli drewnianych mieczy, resztę uzbrojenia rzucili na ziemię, stanęli w pozycji szermierzy, noga przy nodze i rozpoczęli rycerski pojedynek według ściśle ustalonych zasad.

— Teraz kolej na ciebie — zawołał Tomek. — Wal równo!

Obaj więc „walili równo”, pocąc się i dysząc. Wreszcie Tomek krzyknął:

— Padnij, padnij! Czemu nie padasz?

— Nie chce mi się! Czemu ty sam nie padasz? Przecież więcej oberwałeś niż ja!

— No i co z tego? Ja nie mogę polec, bo tego nie ma w książce. Tam jest napisane: „Potem potężnym ciosem w plecy powalił nieszczęsnego Guy'a z Guisborne”. Musisz się odwrócić, żebym mógł ci zadać cios w plecy.

Powaga książki była nietykalna, więc Joe bez słowa odwrócił się, otrzymał przepisany cios i poległ.

— A teraz — powiedział Joe wstając — musisz pozwolić, że ja też cię zabiję. To będzie sprawiedliwie.

— To niemożliwe. Tego nie ma w książce.

— To jest zwyczajne świństwo, wiesz?

— Czekaj, Joe, możesz być bratem Tukiem, albo Muchem, synem młynarza, i okładać mnie kijem. Albo jeszcze lepiej, ja będę szeryfem z Nottingham, a ty przez chwilę bądź Robin Hoodem, i zabij mnie.

To było do przyjęcia. Joe zgodził się i odegrano te przygody. Potem Tomek znowu został Robin Hoodem i zdradzony przez pewną mniszkę, musiał wyzionąć ducha z powodu upływu krwi. Wreszcie Joe, który wyobrażał całą bandę zbójców, gorzko płacząc, powłókł Robin Hooda po ziemi, wcisnął mu w słabnące ręce łuk i strzałę, a Tomek szepnął umierającym głosem:

— Gdzie padnie ta strzała, tam pochowajcie biednego Robin Hooda pod zielonym drzewem.

Wypuścił strzałę, padł na wznak i chciał godnie umrzeć, ale zerwał się zbyt szybko jak na trupa, bo trafił na pokrzywy.

Rozdział IX

Tego wieczoru, jak zwykle, Tomkowi i Sidowi kazano iść spać o godzinie wpół do dziesiątej. Zmówili pacierz i Sid wkrótce usnął. Tomek leżał z otwartymi oczami i czekał niecierpliwie. Kiedy był już przekonany, że niedługo zacznie świtać, zegar wybił dziesiątą. Ogarnęła go rozpacz. Nie mógł za bardzo kręcić się w łóżku, bo bał się obudzić Sida. Leżał więc cicho, wpatrzony w ciemność. Dokoła panowała absolutna cisza. Dopiero po pewnym czasie poczęły się z niej wyłaniać stłumione, ledwie dosłyszalne odgłosy. Najpierw doszło do jego świadomości tykanie zegara. Stare belki zaczęły

trzeszczeć tajemniczo. Cicho skrzypiały schody. Widocznie duchy chodziły po domu. Z pokoju ciotki dochodziło regularne stłumione chrapanie. Potem zaczęło się denerwujące ćwierkanie świerszcza. Następnie upiorne kołatanie kornika w ścianie, tuż nad głową Tomka, przejęło go dreszczem; oznaczało ono bowiem, że czyjeś dni są policzone. Dalekie wycie psa przerwało ciszę nocną — odpowiedziało mu drugie, jeszcze dalsze.

Tomek był w śmiertelnym strachu. Wreszcie stwierdził, że czas się skończył i rozpoczęła się wieczność. Mimo woli, choć walczył ze sobą, zapadał w półsen. Zegar wybił jedenastą, ale Tomek już tego nie słyszał. Wtem, w jego pierwsze senne majaki, wpadło jakieś melancholijne miauczenie kota. Trzask otwieranego gdzieś w sąsiedztwie okna, spłoszył sen. Gniewny okrzyk: „Przekłête kocisko!” i brzęk rozbitej butelki, oprzytomniły go zupełnie. W ciągu minuty był ubrany; wyskoczył oknem, przelazł po dachu na czworakach, miauknął ostrożnie raz czy dwa, zsunął się na dach drwalni, a stamtąd zeskoczył na ziemię. Pod drwalnią stał Huck Finn ze swoim zdechłym kotem. Chłopcy ruszyli w drogę i zniknęli w ciemnościach. Pół godziny później brodzili już w bujnej trawie cmentarza.

Był to cmentarz podobny do wszystkich innych starych cmentarzy w zachodniej Ameryce. Leżał na wzgórzu w odległości około dwóch kilometrów od miasteczka. Otaczały go zmurszałe, powyginane we wszystkie strony sztachety, porastała bujna trawa i zielsko. Stare groby pozapadały się w ziemię. Nagrobków w ogóle nie było widać, tylko półokrągłe, zbutwiałe, zjedzone przez robaki tabliczki pochylały się nad grobami. Kiedyś napisano na nich słowa: „Świętej pamięci...”, ale dziś większość napisów była nieczytelna, nawet w dzień.

Lekki wiatr zajęczał w gałęziach drzew, a Tomek pomyślał ze strachem, że to dusze zmarłych skarżą się na tych, którzy zakłócają ich spokój. Mówili niewiele i tylko szeptem, bo czas, miejsce i uroczysta cisza dokoła działały na nich przygnębiająco i napełniały serca zabobonnym lękiem. Odszukali świeżo usypany, kanciasty grób i ukryli się za trzema wielkimi wiązami, które rosły tuż obok.

Czekali w milczeniu, a czas dłużył im się niczym wieczność. Dalekie pohukiwanie puszczyka było jedynym głosem, zakłócającym grobową ciszę. Tomkowi było coraz bardziej nieswojo. Musiał za wszelką cenę rozpocząć jakąś rozmowę. Szepnął więc cichutko:

— Powiedz, Huck, jak myślisz, czy zmarli gniewają się na nas, że tu przyszliśmy?

Huck również odpowiedział szeptem:

— Też chciałbym to wiedzieć. Strasznie tu uroczyście, no nie?

— Aha.

Nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której chłopcy rozważali tę sprawę we własnych myślach.

Potem Tomek znów szepnął:

— Ciekawe, czy stary Hoss Williams słyszy nas, jak rozmawiamy?

— Oczywiście, a przynajmniej jego dusza.

Tomek po chwili:

— Szkoda, że nie powiedziałem: pan Williams. Ale nie chciałem go obrazić. Wszyscy tak o nim mówili.

— Zawsze, jak się mówi o nieboszczykach, trzeba zachować największą ostrożność, Tomku.

To nie zachęcało do dalszej rozmowy i chłopcy znów zamilkli. Nagle Tomek chwycił Hucka za ramię i szepnął:

— Pssst!

— Tomek, co to?! — i obaj przyłgnęli do siebie, a serca waliły im jak młoty.

— Pssst! Znowu! Nie słyszysz?

— Ja...

— Tam! Słyszysz teraz?

— Jezus Maria! Idą, Tomek, to na pewno diabły! Co robić?

— Nie wiem. Jak myślisz, zobaczą nas?

— Och, Tomek, one widzą w ciemności jak koty. Po cośmy tu przyszli!

— Cicho! Może nam nic nie zrobią. W końcu my też nie zrobiliśmy im nic złego! Zresztą siedzmy cichutko, to może w ogóle nas nie zauważą.

— Dobra, siedzmy cichutko. Boże, Tomek, cały się trzęsę!

— Słyszysz?

Chłopcy pochylili się ku sobie i ledwie śmieli oddychać. Z drugiej strony cmentarza dolatywały jakieś przytłumione głosy.

— Patrz, widzisz? — szepnął Tomek. — Co to?

— To ognie diabelskie! Tomek, to straszne!

Kilka niewyraźnych postaci zbliżało się do nich w ciemności, kołysząc starą blaszaną latarnią. Huck wyszeptał z przerażeniem:

— To diabły!! Na pewno! Trzy! Boże! Tomku, już po nas! Módl się!

— Spróbuję, ale one przecież nie przychodzą po nas... Aniele Boży, strózu mój...

— Pssst!

— Huck, co to?

— To ludzie! A przynajmniej jeden z nich jest człowiekiem. Poznaje głos starego Muffa Pottera.

— Serio?!

— Przysięgam! Tylko nie ruszaj się! Ten nas na pewno nie zobaczy. Jest zupełnie pijany, zresztą jak zwykle.

— Ciiicho! Stanęli. Szukają czegoś. Nie mogą znaleźć. Znowu idą. Rany, idą prosto na nas! Wiesz co, Huck, ja znam głos tego drugiego: to pół-Indianin Joe.

— Tak, to ten przekłety mieszaniec! Wolałbym już zobaczyć diabła. Czego oni tu chcą?

Szepty zamilkły, bo trójka doszła do grobu i zatrzymała się w odległości zaledwie kilku metrów od kryjówki chłopców.

— To tutaj — powiedział trzeci głos. Właściciel głosu podniósł wyżej latarnię i w jej świetle chłopcy ujrzeli twarz młodego doktora Robinsona.

Potter i pół-Indianin Joe nieśli marylę, a na nich kilka łopat i sznur. Rzucili to wszystko na ziemię i zabrali się do rozkopywania grobu. Doktor postawił latarnię przy grobie i usiadł pod wiązami. Był od chłopców na wyciągnięcie ręki.

— Ludzie, prędzej! — odezwał się cichym głosem. — Lada chwila może wejść księżyc.

Tamci dwaj odburknęli coś i kopali dalej. Przez pewien czas słychać było tylko jednostajne skrzypienie łopat i szelest wyrzucanej ziemi i żwiru.

Wreszcie trumna, uderzona łopatą, wydała głuchy, drewniany odgłos. W chwilę potem wydobyli ją na wierzch. Podważyli łopatami wieko, wyciągnęli trupa i bez ceremonii rzucili go na ziemię. Księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił siną twarz zmarłego. Ustawili nosze, ułożyli na nich zwłoki, nakryli je płachtą i przywiązali sznurem. Potter wyciągnął duży nóż sprężynowy i uciął kawałek zwisającego sznura.

— Zrobione — powiedział. — Ma pan swoje kości do pilowania. A teraz wyciągnij no pan jeszcze piątkę, bo inaczej go tu zostawimy.

— Dobrze powiedziane! — dodał pół-Indianin.

— Jak to? Co to znaczy? — zdenerwował się doktor. — Przecież żądaliście zapłaty z góry i otrzymaliście ją!

— O tak, a ja dostałem coś jeszcze — odparł pół-Indianin, podchodząc do doktora, który wstał z miejsca. — Pewnego wieczoru pięć lat temu wypędziłeś mnie jak psa z kuchni twojego ojca, kiedy prosiłem o coś do jedzenia. Powiedziałaś, że przyszedłem ze złymi zamiarami. A gdy przysięgłem, że kiedyś się z tobą porachuję, choćby za sto lat, twój ojciec kazał mnie zamknąć jak włóczęgę. Myślałeś, że zapomnę? Nie darmo płynie we mnie indiańska krew. Teraz wpadłeś w moje ręce i zapłacisz mi za to! — wygrażał doktorowi pięścią przed samym nosem.

Nagle doktor zamachnął się i jednym uderzeniem powalił łotra na ziemię. Potter wypuścił nóż z ręki i wrzasnął:

— Co?! Bijesz mojego kolegę?! — i rzucił się na doktora.

Zwarli się ze sobą z całych sił; wygniatali trawę i ryli obcasami ziemię.

Tymczasem pół-Indianin Joe zerwał się na nogi, oczy płonęły mu nienawiścią. Chwycił nóż Pottera i skradając się kocimi ruchami, obchodził walczących, wypatrując odpowiedniej chwili. Naraz doktor gwałtownym odepchnięciem wyrwał się z rąk Pottera, chwycił ciężkie wieko trumny Williamsa i uderzył nim przeciwnika w głowę. W tej samej chwili mieszaniec wbił młodemu mężczyźnie w pierś nóż aż po rękojeść. Doktor zachwiał się i runął na Pottera, obryzgując go krwią. Chmury przysłoniły księżyc i ciemność skryła okropny widok. Śmiertelnie przerażeni chłopcy rzucili się do ucieczki.

Gdy księżyc znów wypłynął, pół-Indianin stał nad dwoma leżącymi ciałami i przyglądał się im w milczeniu. Doktor bezgłośnie poruszył kilka razy wargami, westchnął głęboko dwa razy i skonał.

— Rachunek wyrównany, psie! — warknął mieszaniec.

Potem obrabował zwłoki, wcisnął zdradziecki nóż w otwartą prawą dłoń Pottera i usiadł na rozwalonej trumnie. Po kilku minutach Potter poruszył się i jęknął. Ścisnął nóż w rękę, podniósł go do oczu, spojrzał i przerażony upuścił na ziemię. Wstał chwiejnie, spychając z siebie ciało zabitego; chwilę spoglądał nieprzytomnie to na zwłoki, to na Joego, potem błędnym wzrokiem rozejrzał się dokoła.

— Boże! Co to znaczy, Joe?! — wykrztusił.

— Kiepska sprawa — odparł Joe spokojnie. — Dlaczego właściwie to zrobiłeś?

— Ja?! Ja tego nie zrobiłem!

— Daj spokój. To nic nie zmieni.

Potter zadrżał i zbladł.

— Myślałem, że jestem już trzeźwy! Że też musiałem tyle wypić wieczorem! Jeszcze teraz szumi mi we łbie! Nic nie pamiętam! Powiedz mi, Joe, mój stary, ale uczciwie: czy

to naprawdę ja zrobiłem? Jak Boga kocham, nie chciałem tego! Joe, powiedz, jak to było? Boże, to okropne! Taki młody, całe życie miał przed sobą!

— No cóż, biliście się. On uderzył cię wiekiem od trumny i upadłeś na ziemię. Potem podniosłeś się, zataczając i chwiejąc się, porwałś nóż i wpakowałeś mu w pierś w momencie, kiedy chciał cię uderzyć po raz drugi. Znowu upadłeś i leżałeś jak martwy aż do tej chwili.

— Ja nie wiedziałem, co robię! Naprawdę! Wszystkiemu winna ta przeklęta wódka i nerwy. Jeszcze nigdy w życiu nie użyłem noża w bójkę. Biłem się nieraz, ale nigdy na noże. Wszyscy to potwierdzą. Joe, nie zdradź mnie! Powiedz, że mnie nie wydasz! Ty jesteś porządny chłop. Zawsze cię lubiłem i broniłem. Pamiętasz? Nie powiesz nikomu, prawda, Joe? — i nieszczęsny Potter rzucił się na kolana przed mordercą, składając przed nim ręce jak do modlitwy.

— Słuchaj, Potter, zawsze byłeś wobec mnie w porządku. Mówię ci uczciwie: nie wydam cię.

— Ach, Joe, jesteś aniołem! Będę cię za to błogosławił przez całe życie! — i Potter zalał się łzami.

— No, no, dość tego. Nie ma czasu na mazgajstwa. Trzeba się stąd wynosić. Ty idź tędy, a ja pójdę tamtędy. Ruszaj! I uważaj, żebyś nie zostawił za sobą śladów!

Potter odszedł szybkim krokiem, a potem puścił się biegiem.

Mieszaniec patrzył za nim przez chwilę, wreszcie mruknął do siebie:

— Najwyraźniej uderzenie porządnie go zamroczyło, a rum jeszcze nie wywietrzał z głowy. Chyba nie tak prędko przypomni sobie o nożu, a potem będzie się bał wracać na cmentarz sam, żeby go poszukać — nędzny tchórz!

W kilka minut potem już tylko księżyc spoglądał na ciało zamordowanego, nakryte płachtą zwłoki, trumnę bez wieka i otwarty grób. Znowu zapadła głęboka cisza...

Rozdział X

Chłopcy pędzili w stronę miasteczka półzywi z przerażenia. Od czasu do czasu rzucali za siebie trwożne spojrzenia, jakby w obawie, że są ścigani. Każdy pień, wynurzający się na drodze, przybierał w ich oczach groźną ludzką postać — a wtedy dech zamierał im w piersiach. Gdy mijali domki na skraju miasteczka, ujadanie zbudzonych psów dodało im skrzydeł u nóg.

— Żebyśmy... się tylko dostali... do tej starej... garbarni... zanim padniemy... — wykrztusił Tomek, dysząc po każdym słowie. — Ja już... nie mogę... biec dalej...

Ciężkie sapanie Hucka było jedyną odpowiedzią. Z oczyma utkwionymi w cel dobywali resztek sił. Garbarnia była coraz bliżej; wreszcie wpadli razem w otwartą bramę i z uczuciem niewysłowionej ulgi, runęli na ziemię całkowicie wyczerpani. Okrył ich bezpieczny mrok zabudowania. Powoli uspokoili się nieco i Tomek szepnął:

— Huck, powiedz, co teraz będzie?

— Jeśli doktor Robinson umrze, to kogoś powieszają.

— Tak myślisz?

— Myślę? Ja to wiem z całą pewnością!

Tomek zastanawiał się przez chwilę.

— Ale kto o tym powie, Huck? My? — zapytał.

— Zwariowałeś?! A jeżeli stanie się coś takiego, że tego Indianina nie powieszają, to co wtedy? Wtedy on nas prędzej czy później zamorduje. Zatłucze na śmierć. To pewne, jak amen w pacierzu.

— Właśnie tak samo sobie pomyślałem.

— Jeżeli już ktoś ma donieść, to niech to zrobi Potter, jeśli jest taki głupi. On i tak jest wiecznie pijany.

Tomek nic nie odpowiedział, myślał nad czymś głęboko. Nagle szepnął:

— Huck, przecież Potter nic o tym nie wie! Więc jak może oskarżyć Joego?

— Dlaczego nie wie?

— Bo dostał po głowie i leżał nieprzytomny! On nic nie widział! Sądysz, że mógł coś widzieć?

— Jezus Maria! Tomek, masz rację!

— A zresztą kto wie, może tak oberwał, że sam się już nie pozbierał, co, Huck?

— O, co to, to nie. Był załany, dobrze to widziałem. Gdy mój stary jest pijany, to może mu się nawet dzwonnica na łeb zwalić i nic mu nie będzie. Sam to mówi. Tak samo jest z Potterem. Gdyby ktoś dostał taki cios na trzeźwo, już byłoby po nim, ale z pijakami to zupełnie inna sprawa...

Po chwili namysłu Tomek odezwał się:

— Huck, czy potrafisz trzymać język za zębami?

— Tomek, przecież wiesz, że obaj musimy milczeć. Ten Indianin to diabeł wcielony. Jeżeli go nie powieszają, a my piśniemy choć dwa słowa — utopi nas bez skrupulów, jak parę kociaków. Słuchaj, musimy złożyć przysięgę, że nie puścimy pary z ust.

— Masz rację, Huck. Tak będzie najlepiej. Podnieś rękę i przysięgnij, że...

— O nie, w tym wypadku taka przysięga nic nie da. To dobre przy jakichś głupstwach, na przykład z dziewczynami, bo te i tak w końcu wszystko wypapłają. Ale w takiej poważnej sprawie przysięga musi być zrobiona na piśmie. I podpisana własną krwią!

Tomek z zachwytem przyklasnął pomysłowi, który był głęboki, ciemny, budzący grozę i jak najbardziej odpowiedni do nocy, otoczenia oraz okoliczności, w jakich chłopcy się znaleźli. Podniósł z ziemi małą, czystą deszczułkę, którą zauważył w świetle księżyca, wyciągnął z kieszeni kawałek ołówka, usiadł w miejscu oświetlonym przez księżyc, i przygryzając język, z trudem nagryzmolił następujące słowa:

*Huck Finn i Tomek Sawyer
przysięgają, że o tej sprawie
nie pisną ani słówka
i niech zaras trópeł padną
jeżeli się wygadają.*

Huck był pełen podziwu dla Tomka za jego łatwość pisania i piękny styl. Wydłubał szpilkę z klapy marynarki i już miał ukłuć się w palec, gdy Tomek zawołał:

— Stój! Nie rób tego! Szpilka jest z miedzi, może być na niej grynszpan.

— Co to jest grynszpan?

— Trucizna. Wiesz już? Połknij tylko, a zobaczysz!

Tomek odwinął nitkę z jednej ze swych igieł, po czym obaj ukłuli się w duży palec i wycisnęli po kropelce krwi.

Po długim gnieceniu Tomkowi udało się napisać małym palcem początkowe litery swojego imienia i nazwiska. Potem pokazał Huckowi, jak się pisze H i F. Akt przysięgi został zatwierdzony. Wśród groźnych ceremonii i potężnych zaklęć zakopali deszczułkę pod ścianą. Uznali, że teraz usta mają zamknięte na kłódkę, a klucz od niej został wyrzucony.

Jakaś postać przekradła się przez otwór po drugiej stronie zrujnowanego budynku, lecz chłopcy jej nie zauważyli.

— Tomek — szepnął Huck — czy już na zawsze będziemy musieli milczeć?

— A jak myślałeś? Jasne, że tak! Cokolwiek się stanie, musimy trzymać język za zębami. Inaczej padniemy trupem — zapomniałeś o tym?

— Tak, tak. Wiem.

Nagle tuż po drugiej stronie muru, parę kroków od nich, jakiś pies zawył przeciągle i złowieszczo. Przywarli do siebie, śmiertelnie przerażeni.

— Dla którego z nas wyje? — ledwo dosłyszalnie szepnął Huck.

— Nie wiem. Wyjrzyj przez otwór, prędko!

— Nie, ty wyjrzyj!

— Ja nie mogę, Huck, nie mogę!

— Proszę cię, Tomek! O, znowu!

— Boże, dzięki ci! — szepnął Tomek. — Znam głos tego psa. To Bull pana Harbisona!

— Co za szczęście! O mało nie umarłem ze strachu. Byłem przekonany, że to bezpański pies.

Pies zawył znowu. Chłopcy ponownie zamarli z przerażenia.

— O Boże! To nie jest pies Harbisona! — wyszeptał pobladły Huck. — Patrz, Tomek, patrz!

Dzwoniąc zębami ze strachu, Tomek przyłożył oko do otworu. Ledwie dosłyszalnie szepnął:

— Huck, to jakiś obcy pies!

— Tomek, jak myślisz dla kogo on wyje? Któremu z nas wróży śmierć?

— Z pewnością nam obu, bo przecież jesteśmy razem!

— Tomek, rany, wybiła nasza ostatnia godzina! Nie mam wątpliwości, dokąd pójdę po śmierci. Byłem wielkim grzesznikiem, nie ma dwóch zdań.

— Ja nie jestem lepszy. To wieczne chodzenie na wagary i niesłuchanie starszych... A mogłem być grzeczny, jak Sid — ale skąd, nie chciało mi się. Ale teraz przysięgam, że jeżeli wyjdę z tego żywy, to przez całe życie będę chodził do szkoły niedzielnej!

I Tomek zaczął z lekka pochlipywać.

— Co tam ty! — Huck też zaczął pochlipywać. — Jesteś święty w porównaniu ze mną. Boże, Boże! Chciałbym chociaż w połowie mieć taką nadzieję na zbawienie, jak ty.

Tomek nagle przestał szlochać i szepnął:

— Patrz, Huck, przecież on siedzi tyłem do nas!

Huck wyjrzał i radość wypełniła mu serce.

— Jak Boga kocham, siedzi tyłem! A przedtem jak siedział?

— Tak samo! Że też o tym nie pomyślałem. Co za osioł ze mnie! Jakie to wspaniałe! Ale w takim razie, komu on wyje?

Wycie urwało się. Tomek nadstawił uszu.

— Psst! Co to może być?

— Coś, jakby świnia chrząkała. Wiesz, Tomek, to chyba ktoś chrapie.

— Tak! Ale gdzie to może być, Huck?

— Chyba tam, po drugiej stronie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mój stary też tu czasem spał, razem ze świniami, ale jak on chrapie, to dom się trzęsie! Zresztą ojciec już tu nie przychodzi.

W chłopcach znowu obudził się duch awanturniczej przygody.

— Huck, pójdziesz ze mną?

— Wiesz, raczej nie. To może być pół-Indianin Joe!

Tomek zdrętwiał. Ale pokusa była zbyt wielka. Coś nieodparcie ciągnęło ich w tamtą stronę. Postanowili zobaczyć, co to jest, i dać nogę natychmiast, gdyby chrapanie ustało. Zaczęli się skradać na palcach, jeden za drugim. Byli już o kilka kroków od śpiącego, gdy Tomek nadepnął na gałąź, która złamała się z głośnym trzaskiem. Serca zamarły im z przerażenia. Śpiący stęknął i odwrócił, tak że światło księżyca padło na jego twarz. Był to Muff Potter. Strach chłopców minął zupełnie. Cicho wycofali się za mur i zatrzymali na chwilę, aby się pożegnać. Przeciągle, żalosne wycie znowu rozdarło ciszę nocną. Odwrócili się i zobaczyli obcego psa, stojącego nieopodal legowiska Pottera i z podniesionym pyskiem wyjącego do nieba.

— Boże, to dla niego! — krzyknęli chłopcy jednocześnie.

— Wiesz, Tomek, mówią, że dwa tygodnie temu jakiś bezpański pies wył o północy przed domem Johnny'ego Millera i tej samej nocy hukał im puszczyk na dachu, a przecież nikt tam nie umarł!

— Tak, wiem o tym. I co z tego? A wiesz, że tydzień temu, w sobotę, Gracja Miller upadła na rozżarzoną blachę w kuchni i strasznie się poparzyła?

— No tak, ale nie umarła. A nawet czuje się już dużo lepiej.

— Aha! Poczekaj tylko, a zobaczysz. Przyjdzie na nią pora, tak samo jak na Muffa Pottera. Wszyscy Murzyni tak mówią, a oni znają się na takich rzeczach.

Rozstali się w zamyśleniu.

Już niemal świtało, gdy Tomek wślizgnął się przez otwarte okno do pokoju. Rozebrał się jak najostrożniej i zasnął, gratulując sobie, że nikt nie zauważył jego nocnej wycieczki. Nie domyślał się, że słodko pochrapujący Sid nie śpi już od godziny.

Gdy się obudził, łóżko Sida było puste i porządnie zasłane. W świetle dnia i w powietrzu było coś, co świadczyło, że jest już bardzo późno. Tomka tknęło złe przeczucie. Dlaczego go nie obudzili, nie męczyli, jak zwykle, tak długo, dopóki nie

wstał? Najwyraźniej działo się coś niedobrego. W pięć minut ubrał się i zszedł na dół — wciąż senny i wewnętrznie rozbity. Wszyscy siedzieli jeszcze przy stole, ale było już po śniadaniu. Nie usłyszał ani słowa wyrzutu. Ale odwrócone od niego oczy, ogólne milczenie i jakiś uroczysty nastrój napęliły trwogą serce winowajcy. Usiadł za stołem i silił się na beztroską wesołość — nadaremnie. Nikt się nie uśmiechnął ani nie odpowiadał na jego zaczepki. Zamilkł, a dusza jego pogrążyła się w czarnym smutku.

Po śniadaniu ciotka wzięła go na bok. Tomek odetchnął z ulgą, bo był pewien, że dostanie zwyczajne lanie. Pomylił się jednak. Ciotka rozplakała się, pytała jak on może przysparzać jej tyle bólu, doprowadzać do tego, żeby serce jej pękło, wreszcie kazała mu tak dalej postępować, zmarnować swoje życie, a ją, posiwała ze zgryzoty, wpędzić do grobu, bo szkoda już dla niego czasu. To było gorsze niż tysiąc kijów; serce bolało Tomka więcej, niż bolałoby go siedzenie po dostaniu w skórę. Płakał, błagał o przebaczenie i raz po raz przyrzekał poprawę. Został wreszcie odprawiony, ale czuł, że otrzymał tylko częściowe rozgrzeszenie i że nie bardzo mu ufają.

Wyszedł z tej rozmowy tak przygnębiony, że nie miał nawet ochoty do zemsty na Sidzie. Dlatego całkiem niepotrzebne było pośpieszne wycofanie się braciszka tylnymi drzwiami. Tomek powłókł się do szkoły smutny i posępny. Dostał tam razem z Joe Harperem porządną burę za to, że poprzedniego dnia poszli na wagary, ale przyjął ją z miną człowieka, który ma poważniejsze zmartwienia, i nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. Potem usiadł na swoim miejscu, oparł łokcie na ławce, objął głowę rękoma i wpatrywał się w ścianę skamieniałym wzrokiem męczennika, którego cierpienie doszło już do kresu ludzkiej wytrzymałości. Pod łokciem poczuł jakiś twardy przedmiot. Po długiej chwili, powoli, ze zboląłą miną, zmienił pozycję i niechętnie wziął ów przedmiot do ręki. Był zawinięty w papier. Rozwinął go. Nastąpiło przeciągłe, głębokie, rozdzierające westchnienie — i serce mu pękło. Leżała przed nim jego miedziana gałka.

Była to ostatnia kropla, która przelała kielich goryczy.

Rozdział XI

Koło południa całe miasteczko zostało zelektryzowane straszną nowiną. Wieść o morderstwie, podawana z ust do ust, leciała od domu do domu z telegraficzną szybkością. Nauczyciel, oczywiście, zwolnił dzieci po południu ze szkoły; całe miasteczko uważałoby go za strasznego dziwaka, gdyby tego nie zrobił.

Obok ciała zamordowanego znaleziono skrwawiony nóż, w którym podobno ktoś rozpoznał własność Muffa Pottera. Opowiadano, że jakiś spóźniony obywatel widział Pottera, jak dobrze po północy mył się w potoku, i uciekł szybko na jego widok. Były to bardzo obciążające okoliczności, zwłaszcza mycie się, które nie należało do zwyczajów Pottera. Dalej mówiono, że przetrząsnęto już całe miasto w poszukiwaniu tego „mordercy” (ludzie szybko wydają wyroki), lecz jeszcze go nie złapano. Policja konna rozjechała się na wszystkie strony i szeryf był pewny, że zbrodniarz zostanie schwytany jeszcze przed zapadnięciem nocy.

Całe miasteczko popędziło na cmentarz. Tomek zapomniał o tym, że serce mu pękło i przyłączył się do procesji. Wprawdzie tysiąc razy wołałby pójść gdzie indziej, ale jakaś nieprzeparta, niezrozumiała siła ciągnęła go na cmentarz. Po dotarciu na miejsce przestępstwa przecisnął się przez tłum i ujrzał straszny widok. Miał wrażenie, że od chwili, kiedy był tutaj, upłynęło co najmniej sto lat.

Ktoś uszczypnął go w ramię. Odwrócił się i napotkał spojrzenie Hucka. Obaj w jednej chwili poczęli patrzeć każdy w inną stronę, w obawie, że ktoś może wyczytać prawdę w ich oczach. Ale wszyscy rozprawiali o zbrodni i nie odrywali oczu od okropnego widoku.

— Biedny!

— Taki młody!

— To nauczka dla tych, co okradają groby!

— Muff Potter będzie wisiał, jeżeli go złapią!

Tak mówili ludzie, zaś pastor orzekł:

— To był Sąd Boży! Oto karząca dłoń Pana!

Nagle Tomek zadrżał całym ciałem; wzrok jego padł na obojętną twarz pół-Indianina Joego.

W tej samej chwili tłum poruszył się i zakołysał, rozległy się wołania:

— To on! To on!! Sam tu idzie!

— Kto? Kto? — wołali inni.

— Muff Potter!

— Patrzcie! Zatrzymał się! Wraca! Łapać go, nie pozwolić mu uciec!

Ludzie, którzy siedzieli na drzewach nad głową Tomka, krzyknęli, że Potter wcale nie próbuje uciekać, że jest tylko wystraszony i oszołomiony.

— Co za diabelski bezwstyd! — powiedział ktoś ze stojących obok. — Chciał tu przyjść, żeby spokojnie obejrzeć swoje dzieło! Nie spodziewał się, że zastanie tak liczne towarzystwo!

Tłum rozstąpił się i przepuścił szeryfa, który przeszedł środkiem, z urzędowo ważną miną, ciągnąc za sobą Pottera. Na twarzy nieszczęśnika malowała się straszliwa rozpacz, a z oczu wзираło bezgraniczne przerażenie. Kiedy stanął przed zwłokami zamordowanego, zatrzęsł się jak w konwulsjach, ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

— Ludzie kochani, ja tego nie zrobiłem! — powiedział płacząc. — Przysięgam, że mówię prawdę, nie zrobiłem tego!

— A kto cię o to oskarża? — krzyknął jakiś głos z tłumu.

To był celny strzał. Potter odjął ręce od twarzy i rozejrzał się wokół z wyrazem beznadziejnej rozpacz. Nagle spostrzegł pół-Indianina i zawołał:

— Och, Joe, przyrzekłeś mi, że nigdy...

— Czy to twój nóż? — zapytał szeryf, podsuwając mu go przed oczy.

Potter byłby upadł, gdyby go ludzie nie podtrzymali i nie posadzili na ziemi.

— Coś mi mówiło — odezwał się jęklwym głosem — że jeżeli tu nie wrócę i nie zabiorę... — zadrżał i uczynił ręką gest człowieka, który niezdolny jest się bronić dłużej. — Powiedz im, Joe, powiedz... nie ma innej rady...

Huck i Tomek stali jak skamieniali, z przerażeniem słuchając zeznań Joego, który najspokojniej w świecie podawał swoją wersję wydarzeń. Myśleli, że lada chwila grom z jasnego nieba strzeli w tego nikczemnego kłamcę, i dziwili się, że sprawiedliwość tak długo każe na siebie czekać. A kiedy pół-Indianin skończył relację i w dalszym ciągu był cały i zdrowy, ich nieśmiały zamiar, aby złamać przysięgę i ocalić życie biednemu, oszukanemu więźniowi — zgasł i rozwiął się bez śladu. Doszli bowiem do wniosku, że zbrodniarz Joe zaprzedał duszę diabłu, więc ten, kto by go ruszył, śmiertelnie naraziłby się mocom piekielnym.

— Dlaczego nie uciekłeś? Po co tu przyszedłeś? — zapytał ktoś Pottera.

— Nie mogłem... nie mogłem... — zajęczał Potter. — Chciałem uciekać, ale coś mnie tu samo przygnało — i znów się rozplakał.

Parę minut później, w czasie przesłuchania pod przysięgą, Joe z takim samym spokojem powtórzył swoje zeznania. I tym razem grom go nie zabił, co ostatecznie upewniło chłopców, że musiał zaprzedać duszę diabłu. Pół-Indianin stał się dla nich niesamowitym, budzącym dreszcz grozy człowiekiem. Patrzyli na niego, jak urzeczeni.

W duchu postanowili sobie śledzić go po nocach, ilekroć tylko nadarzy się sposobność, w nadziei, że uda im się chociaż jednym okiem spojrzeć na jego straszliwego pana.

Joe pomógł podnieść ciało zamordowanego i położyć na wóz, który miał je zabrać. Tłum zadrżał z przerażenia, gdyż w tym momencie rana zaczęła lekko krwawić. Chłopcy łudzili się, że może ta okoliczność skieruje podejrzenia we właściwą stronę, ale nic z tego. Ludzie wytłumaczyli to sobie inaczej:

— To jasne jak słońce, przecież obok ofiary stał Muff Potter!

Straszna tajemnica i wyrzuty sumienia odebrały Tomkowi sen. Pewnego ranka przy śniadaniu Sid powiedział:

— Ty się tak rzucasz w nocy i wygadujesz takie niestworzone historie, że nie mogę spać.

Tomek zbladł i spuścił oczy.

— To zły znak — powiedziała ciotka Polly z naciskiem. — Co masz na sumieniu, Tomku?

— Nic. Ja nic nie wiem — odparł Tomek, ale ręka tak mu drżała, że rozlał kawę.

— I takie brednie pleciesz — ciągnął dalej Sid. — Dziś w nocy krzychałeś: „To krew! To krew!” Powtarzałeś to w kółko. A potem wołałeś: „Nie męczcie mnie, nic nie powiem!” O co chodzi? Czego nie chciałeś powiedzieć?

Tomkowi świat zawirował przed oczami. Nie wiadomo, co by z tego wszystkiego wynikło, gdyby napięta do tej pory twarz ciotki naraz nie złagodniała. Sama o tym nie wiedząc, przyszła Tomkowi z pomocą.

— A tak! — powiedziała. — To przez to okropne morderstwo! Mnie też się to śni. Czasem śni mi się nawet, że to ja zrobiłam.

Mary wtrąciła, że ona też się tym bardzo przejęła. Sid udął, że to wyjaśnienie mu wystarcza. Tomek czym prędzej się ulotnił. Potem przez cały tydzień skarżył się na ból zębów, i idąc spać, owijał sobie twarz chustką. Nie domyślał się, że Sid czuwał po nocach, że zdejmował mu chustkę z twarzy i wsparty na łokciu długo nasłuchiwał jego majaczeń, a potem znowu zakładał mu chustkę. Powoli niepokój wewnętrzny Tomka przechodził — ból zębów stał się niepotrzebny. Jeżeli Sidowi udało się rozszyfrować senne majaczenia Tomka, to zachował to dla siebie.

Tomkowi zdawało się, że jego koledzy już nigdy nie przestaną bawić się zdechłymi kotami, i nie pozwolą mu zapomnieć o jego udręce. Sid zauważył, że Tomek przestał brać udział w oględzinach kocich zwłok, chociaż zwykle przewodził w takich imprezach. Nie występował też w roli sędziego, badającego przyczynę śmierci kota, ani nawet w

roli świadka, co było już bardzo dziwne. Nie uszło wreszcie jego uwagi, że brat odnosi się z wyraźną odrazą do wszelkich zabaw w śledztwo i unika ich jak może. Sid dziwił się, ale nic nie mówił. W końcu i kocie oględziny wyszły z mody i przestały dręczyć sumienie Tomka.

W owych ciężkich dniach biedny Tomek codziennie lub przynajmniej co drugi dzień wypatrywał sposobnej chwili, aby podkraść się pod małe, zakratowane okienko więzienne i podrzucić „mordercy” jakiś drobny podarunek. Więzienie było niewielkim budynkiem z cegieł, stojącym na skraju miasteczka, tuż nad bagnami. Nie było strzeżone, bo rzadko ktoś w nim siedział. Podarunki przynoszone więźniowi przynosiły niejaką ulgę sumieniu Tomka.

Mieszkańcy miasteczka mieli wielką ochotę rozprawić się z pół-Indianinem za znieważenie i obrabowanie zwłok. Ale tak bardzo wszyscy się go bali, że nikt nie chciał pierwszy z nim zaczynać. Zresztą Joe przezornie rozpoczynał wszystkie swoje zeznania dopiero od opisu bójki, nie wspominając ani słowem o rozkopaniu grobu, które ją poprzedziło. Wobec tego uznano za rzecz najrozsądniejszą nie ruszać na razie tej sprawy.

Rozdział XII

Tomek przestał myśleć o dręczących go niepokojach, a wpłynęło na to między innymi nowe, bardzo poważne zmartwienie, które pochłonęło go bez reszty. Becky Thatcher nie przychodziła do szkoły. Kilka dni Tomek zmagał się ze swoją dumą i starał się „gwizdać” na Becky, ale nie dał rady. Przyłapał się na tym, że kręcił się nocą koło jej domu i czuł się bardzo nieszczęśliwy. Była chora. A gdyby umarła? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Nie obchodziły go już gry wojenne ani zawód pirata. Życie straciło cały urok, pozostała tylko straszliwa pustka. Porzucił wszystkie dotychczasowe zabawy — nie sprawiały mu żadnego zadowolenia.

Ciotka była porządnie zmartwiona. Zaczęła mu aplikować rozmaite leki. Ślepo wierzyła w każdy nowo opatentowany preparat oraz we wszystkie „najnowsze” metody lecznicze, które przywracają zdrowie i wzmacniają organizm. Była niezmordowana w robieniu doświadczeń z nimi. Gdy tylko pojawiała się kolejna „nowość” farmaceutyczna, nie spoczęła, póki jej nie wypróbowała — niestety, nie na sobie, bo nigdy nie chorowała, ale na kimkolwiek, kto wpadł jej pod rękę. Prenumerowała wszystkie czasopisma „medyczne” i inne bzdurne „poradniki higieniczne”.

Najpotworniejsze nonsensy, wygłaszane tam z uroczystą powagą, upajały ją swą napuszoną ważnością. Wierzyła święcie we wszystkie „właściwe” zalecenia: jak należy wietrzyć mieszkanie, jak prawidłowo udawać się na spoczynek, jak wstawać, co jeść, co pić, ile zażywać ruchu, jaki nastrój jest najlepszy dla kondycji ciała i umysłu, jaki ubiór stosować na każdą porę dnia itp., itd. Jakoś nie mogła zauważyć, że jej pisma „medyczne” co miesiąc podają nowe zalecenia, zwykle całkowicie sprzeczne z poprzednimi. Była naiwna i łatwowierna jak dziecko i zawsze dawała się nabrać. Gromadziła te pseudonaukowe piśmidła i oszukańcze leki, a potem usiłowała „nieść pomoc” cierpiącym. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że dla cierpiących sąsiadów nie jest bynajmniej aniołem pocieszenia ani balsamem niebiańskim na ich choroby.

Obecnie ostatnią nowością było wodolecznictwo, toteż dolegliwości Tomka stanowiły dla ciotki Polly nie lada gratkę. Codziennie wywlekała go o świcie, ciągnęła do drwalni, wylewała na niego istny potop zimnej wody, nacierała ręcznikiem, którego szorstkość mogła konkurować z papierem ściernym, wreszcie owijała mokrym prześcieradłem i pakowała do łóżka pod stertę pierzyn. Trzymała tak Tomka aż do siódmych potów, dopóki, jak sam mówił, wszystkie grzechy nie wyparowały mu z duszy.

Jednak zabiegi te nic nie dawały. Chłopak był coraz smutniejszy, bledszy i wyraźnie zniechęcony do życia. Ciotka dodała gorące kąpiele, nasiadówki, natryski, prysznice i bicze wodne. Chłopiec był ponury jak katafalk. Starła się dopomóc kuracji wodnej odpowiednią dietą, opartą na zupkach z płatków owsianych. Każdego dnia lała w Tomka nową porcję cudownych leków, jakby był butelką, którą trzeba napęlić po sam wierzch.

Tomek znosił te tortury obojętnie. Taka postawa przeraziła ciotkę. Obojętność musiała być złamana za wszelką cenę. W tym właśnie czasie dowiedziała się o nowym leku — „mordercy cierpień”. Zamówiła go więc od razu całą flaszkę. Spróbowała — i serce jej wezbrało wdzięcznością: był to czysty ogień w płynie. Przerwała kurację wodną i dietę. Teraz całą swą wiarę włożyła w „mordercę cierpień”. Dała Tomkowi pełną łyżeczkę tego leku i czekała na wynik, drżąc z niepokoju. W mgnieniu oka skończyła się jej niepewność; obojętność Tomka przeszła jak ręką odjął. Bardziej dzikiego i gorącego zainteresowania życiem chłopiec nie mógłby już okazać.

Tomek poczuł, że pora ocknąć się z letargu. Wprawdzie dotychczasowy tryb życia miał bardzo romantyczny urok klęski życiowej, ale psuły go pewne nieprzyjemne momenty. Długo myślał nad różnymi sposobami ratunku i wreszcie wpadł na cudowny pomysł: będzie udawał, że przepada za „mordercą cierpień”. Tak często się go domagał

i tak zmęczył tym ciotkę, że wreszcie kazała mu się obsługiwać samemu, a jej dać święty spokój. Jednak coś ją niepokoiło. Gdyby to był Sid, żadne podejrzenie nie zakłóciłoby jej zadowolenia, lecz w przypadku Tomka wołała być ostrożna. Zerknęła więc ukradkiem na flaszkę; ku swojemu uspokojeniu stwierdziła, że lekarstwa istotnie ubywa. Nie przyszło jej do głowy, że Tomek zamiast siebie, leczy nim dziurę w podłodze.

Pewnego razu zajęty był odmierzaniem kolejnej dawki lekarstwa dla tej dziury, gdy wszedł żółty kot ciotki. Mruczał, ocierał się i chciwie spoglądał na łyżeczkę; wyraźnie żebrał, aby mu dać spróbować.

— Nie prosz, Piotrusiu, ty tego nie potrzebujesz — tłumaczył mu Tomek.

Ale Piotruś dał do zrozumienia, że właśnie bardzo potrzebuje.

— Zastanów się dobrze.

Piotruś już się zastanowił.

— Hm, sam tego chciałeś. Dam ci, bo nie jestem taki skąpy, ale jeśli nie będzie ci to smakować, miej pretensje tylko do siebie samego.

Piotruś zgodził się na wszystko. Tomek otworzył mu więc pyszczek i wlał łyk „mordercy cierpień”. Piotruś dał susa w górę na dwa metry, wydał dziki okrzyk wojenny, a potem w szalonym pędzie pogalopował wokół pokoju, tłukąc się o meble, przewracając doniczki z kwiatami i szerząc ogólne spustoszenie. Następnie stanął na tylnych łapkach i z głową odrzuconą do tyłu rozpoczął radosny taniec, przeraźliwym miauczeniem oznajmiając światu swoje bezgraniczne szczęście. Potem znowu puścił się szaleńczym galopem po pokoju, siejąc po drodze chaos i zniszczenie. Ciotka weszła w sam raz, aby zobaczyć, jak Piotruś wykonał podwójne salto, zawołał gromkim głosem „hura!” i wyprysnął przez otwarte okno, pociągając za sobą resztę doniczek. Ciotka Polly skamieniała ze zdumienia, rzucając sponad okularów osłupiałe spojrzenia. Tomek leżał na ziemi ledwo żywy ze śmiechu.

— Tomek, na miłość boską, co mu się stało?

— Nie wiem, ciociu — wykrztusił chłopak.

— Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Co to mogło być?

— Naprawdę nie wiem, ciociu. Koty zawsze tak robią, gdy są w dobrym humorze.

— Do-praw-dy?...

W głosie ciotki było coś, co zaniepokoiło Tomka.

— Tak... to znaczy... tak myślę...

— Tak myślisz?

— T-a-k, ciociu.

Starsza pani nachyliła się nad Tomkiem i przyglądała mu się z wielkim zainteresowaniem, co jeszcze powiększyło jego obawę. Za późno domyślił się, do czego ciotka zmierza. Łyzeczka zdradziecko wyzierała spod kołdry. Ciotka wzięła ją do ręki i pokazała Tomkowi. Chłopiec zadrżał i spuścił oczy. Ciotka tradycyjnie chwyciła go za ucho, podniosła mu głowę do góry i wygrzmociła porządnie — naparstkiem.

— A teraz powiedz mi, czemu tak postąpiłeś z tym biednym stworzeniem?

— Zrobiłem to z litości nad nim, bo nie ma cioci.

— Nie ma cioci? Słuchaj, ancymonie, co ma do tego ciocia?

— Bardzo dużo. Gdyby miał ciocię, to ona sama by go ogniem prażyła, wypalała z niego wnętrzności bez miłosierdzia, jakby był tylko marnym człowiekiem!

Ciotka Polly doznała nagle męki wyrzutów sumienia. To ukazało jej sprawę w nowym świetle: co było okrucieństwem wobec kota, mogło być okrucieństwem także wobec chłopca. Serce ciotki zmiękło, a oczy zaszyły łzami; poczuła skruchę i żal. Położyła Tomkowi rękę na głowie i powiedziała miękko:

— Ja chciałam jak najlepiej, Tomku. I przecież ci to pomogło.

Tomek spojrzał jej w oczy z powagą, pod którą skrywał się ledwie dostrzegalny szelmowski uśmiech.

— Wiem, że chciałaś dla mnie jak najlepiej, ale ja również nie chciałem zrobić krzywdy Piotrusiowi. Jemu też to pomogło. Jeszcze nigdy nie skakał tak wysoko...

— Och, idź już sobie, pókim dobra. Spróbuj choć raz być grzecznym chłopcem. Lekarstw już nie potrzebujesz.

Tomek przyszedł do szkoły przed dzwonkiem. Wszyscy zauważyli, że ta niezwykła rzecz przydarza mu się ostatnio codziennie. Od jakiegoś czasu nie bawił się rano z kolegami, lecz wystawał przed bramą podwórka szkolnego. Mówił, że jest chory, i rzeczywiście tak wyglądał. Udawał, że patrzy w każdą inną stronę, tylko nie na drogę. Gdy Jeff Thatcher pojawił się na horyzoncie, twarz Tomka zajaśniała; jeszcze chwilę patrzył na drogę, potem odwrócił się przygnębiony. Kiedy Jeff Thatcher wszedł na podwórko, Tomek zagadnął go i ostrożnie starał się nakierować rozmowę na Becky, ale nic z tego nie wyszło. Tomek patrzył i patrzył na drogę. Za każdym razem, gdy pojawiła się na niej kolorowa spódniczka, budziła się w nim gorąca nadzieja, ale po chwili nienawidził właścicielki spódniczki, kiedy zobaczył, że to nie ta, na którą czeka. Wreszcie spódniczki przestały się pokazywać i Tomek popadł w beznadziejną rozpacz. Wszedł do pustego jeszcze budynku szkolnego, usiadł i pogrążył się w swoim cierpieniu. Wtem jeszcze jedna spódniczka weszła w bramę — i radość omal nie rozsadziła serca

Tomka. W okamgnieniu wypadł na podwórko i zaczął zachowywać się jak Indianin; był z radości, śmiał się, gonił kolegów, przeskakiwał przez parkan, ryzykując życie i kości, fikał koziołki, stawał na głowie — jednym słowem, dokonywał wszelkich bohaterских czynów, jakie mu tylko wpadły do głowy, a podczas tego co chwilę ukradkiem zerkał na Becky, czy patrzy na niego. Ona jednak zdawała się o niczym nie wiedzieć i w ogóle nie patrzyła w jego stronę. Czy to możliwe, żeby nie spostrzegła, że on tu jest? Przeniósł swoje bohaterские występy tuż przed Becky. Obiegł ją wokół z wyciem wojennym, zerwał jednemu chłopcu czapkę z głowy, rzucił ją na dach szkoły, potem wpadł w gromadę chłopców, roztrącił ich na wszystkie strony i w końcu runął jak długi u stóp Becky. Wtedy ona odwróciła się, zadarła pogardliwie nosek do góry i powiedziała:

— Phi! Niektórym się zdaje, że są bardzo interesujący i wiecznie się popisują!

Policzki Tomka zapłonęły rumieńcem. Pozbierał się z ziemi i załamany poniesioną klęską, wyniósł się chyłkiem ze szkoły.

Rozdział XIII

Teraz postanowienie Tomka było niezłomne. Wpadł w ponury, desperacki nastrój. Doszedł do wniosku, że jest sam na świecie, opuszczony przez wszystkich i nikt go nie kocha. Gdy kiedyś dowiedzą się, do czego go popchnęli, może będzie im żal. Chciał się przecież poprawić, ale mu nie dali. Tylko patrzą, jakby się go pozbyć — dobrze, niech i tak będzie. Naturalnie, będą uważali, że to jego wina — proszę bardzo! Czy człowiek taki jak on, taki wyrzutek, w ogóle ma prawo skarżyć się na cokolwiek? Oczywiście, w końcu zmusili go do tego, że będzie wiódł życie zbrodniarza. Nie miał innego wyboru.

Wśród takich rozmyślań zaszedł daleko na rozległe łąki i dzwonek szkolny, zwiastujący koniec przerwy, ledwo już dolatywał do jego uszu. Zaszlochał na myśl, że już nigdy nie usłyszy tego drogiego mu głosu. Było to bardzo przykre, ale co robić, zmusili go do tego! Wypędzili go w szeroki, nieczuły świat, na głód i poniewierkę. Ale trudno, już im nawet przebaczył. Płakał rzewnymi łzami.

I w tym właśnie momencie natknął się na swojego serdecznego przyjaciela, Joego Harpera. Stalowe spojrzenie kolegi świadczyło dobitnie, że waży w sercu jakieś wielkie i straszliwe zamiary. Nie ulegało wątpliwości, że spotkały się dwie bratnie dusze, gnębione tą samą myślą. Tomek, ocierając łzy rękawem, szlochając raz po raz, powiadomił przyjaciela o swoim postanowieniu: w domu źle się z nim obchodzono, nikt

go nie kochał, więc teraz ucieka za granicę i nigdy już nie wróci. Na koniec wyraził nadzieję, że Joe go nie zapomni.

Okazało się jednak, że Joe chciał prosić Tomka o to samo i że właśnie dlatego go poszukiwał. Mama sprawiła mu lanie za to, że wypił śmietanę przeznaczoną do obiadu, a on jej nawet na oczy nie widział. W ten sposób dowiedział się, że mama ma go już dość i chce się go pozbyć. Wobec tego nie pozostaje mu nic innego, tylko pójść mamie na rękę. Teraz będzie szczęśliwa i na pewno wcale nie pożałuje, że wygnała swojego biednego syna w bezlitosny świat na tułaczkę i pewną śmierć.

Idąc razem i biadając nad swą niedolą, chłopcy zawarli nowe przymierze: będą sobie pomagać wiernie jak bracia i nigdy się nie rozłączą, dopóki śmierć nie wyzwoli ich z udręki życia. Potem wspólnie zaczęli snuć plany na przyszłość.

Joe chciał, żeby zostali pustelnikami, żywili się korzonkami lub korą drzew, mieszkali gdzieś w jaskini na odludziu i wreszcie umarli z zimna, głodu i żalu. Kiedy jednak wysłuchiwał Tomka, przyznał, że życie zbrodniarza daje spore korzyści, i zgodził się zostać piratem.

W odległości paru kilometrów od St. Petersburg, w dół rzeki Missisipi, w miejscu, gdzie ma ona niewiele ponad kilometr szerokości, leżała długa, wąska, zalesiona wyspa z piaszczystym brzegiem od strony miasta. Była to wymarzona przystań dla początkujących piratów: bezludna i wystarczająco oddalona od domu. Po drugiej stronie rzeki ciągnął się gęsty las. Wybór padł zatem na wyspę Jacksona. Kto będzie ofiarą ich korsarskich wypraw, o tym zupełnie nie myśleli. Następnie wytropili Hucka, który od razu przyłączył się do nich, bo mu było wszystko jedno, jaką robi karierę. Rozstając się, ustalili, że spotkają się w pewnym ustronnym miejscu nad brzegiem rzeki, dwa kilometry za miastem, o godzinie najstosowniejszej do takich rzeczy, to jest o północy. Była tam mała tratwa, którą postanowili zająć jako zdobycz. Każdy z nich miał przynieść wędkę, haczyki i prowiant, a wszystko to trzeba było ukraść w sposób niesłychanie zręczny i zagadkowy, jak przystało na wyrzutków społeczeństwa.

Zanim zmrok zapadł, wszyscy trzej zdążyli już z prawdziwą przyjemnością rozpuścić wśród kolegów pogłoskę, że „wkrótce miasto o czymś się dowie”. Każdemu, komu udzielili tej „informacji”, kazali trzymać język za zębami i czekać.

Około północy pojawił się Tomek z gotowaną szynką i kilkoma drobiazgami. Zatrzymał się w gęstych zaroślach nad urwiskiem nadbrzeżnym, skąd w dole widać było wyznaczone miejsce spotkania. Świeciły gwiazdy, dokoła panowała cisza. Potężna rzeka płynęła leniwie. Tomek nasłuchiwał przez chwilę, ale żaden dźwięk nie mącił nocnej

ciszy. Potem gwizdnął ostrożnie. Odpowiedziano mu z dołu. Gwizdnął jeszcze dwa razy i otrzymał taką samą odpowiedź. Następnie stłumiony głos zapytał:

— Kto idzie?

— Tomasz Sawyer. Czarny Mściciel Hiszpańskich Wód. Wymieńcie swoje nazwiska!

— Huck Finn. Krwawa Ręka.

— Joe Harper. Postrach Mórz.

Tomek zaczerpnął te tytuły ze swojej ulubionej lektury.

— Dobrze. Podać hasło!

W mroku nocy dwa chrapliwe głosy wypowiedziały złowieszczym szeptem jedno przerażające słowo:

— Krew!

Wówczas Tomek zepchnął szynkę po urwisku, po czym sam zjechał za nią, rozdierając sobie po drodze skórę i ubranie. Była tam wprawdzie całkiem wygodna ścieżka, która łagodnie biegła w dół, ale brakowało jej koniecznych zalet niedostępności i niebezpieczeństwa, tak wysoko cenionych przez piratów.

Postrach Mórz przytargał polec słoniny, tak wielki, że po drodze omal nie padł pod jego ciężarem. Krwawa Ręka zwędził kociołek do gotowania, parę garści nie dosuszonych liści tytoniu i kilka łodyg kukurydzianych, z których można było zrobić fajki. Co prawda, oprócz niego żaden z piratów nie próbował jeszcze palić. Czarny Mściciel Hiszpańskich Wód orzekł, że nie można wybierać się w drogę bez ognia. Myśl była mądra, bo nikt nie miał zapalek. Ujrzeni ogień, płonący na wielkiej tratwie niedaleko od nich, zakradli się tam więc i gwizdnęli po jednym polanie. Przy okazji zrobili z tego nie lada wyprawę. Co chwila psykali na siebie, aby być cicho, zatrzymywali się nagle, sprawdzali kierunek wiatru, chwyтали za zmyślane sztylety i groźnym szeptem oznajmiali, że jeśli tylko nieprzyjaciół drgnie, „trzeba go zakłuć na miejscu, bo nieboszczyk nic już nie zdradzi”. Doskonale wiedzieli, że wszyscy flisacy są w mieście i śpią lub hulają w knajpach, ale to absolutnie nie zwalniało ich od solidnego pirackiego zachowania.

Wkrótce odbili od brzegu. Tomek był kapitanem, Huck i Joe mieli rangę pierwszych oficerów. Kapitan stał na środku tratwy z ponuro nachmurzonymi brwiami; skrzyżował ręce na piersi i groźnym szeptem wydawał komendy:

— Kierunek wyspa!

— Tak jest, kapitanie!

— Tak trzymać, dobrze!

- Tak jest, kapitanie!
- Ster na prawo!
- Jest na prawo, kapitanie!

Rzeka sama łagodnie znosiła tratwę w kierunku wyspy, więc wszystkie rozkazy wydawane były tylko dla utrzymania powagi pirackiego stylu.

- Jakie żagle postawiono?
- Dolne marsle i bom-kliwer, kapitanie.
- Bom-bram na maszt! Fala w górę! Żwawo chłopcy! Ruszać się!
- Tak jest, kapitanie!
- Lewo na burtę! Statek nieprzyjacielski w polu widzenia! Przygotować się!
- Armaty przygotowane, kapitanie!

Tratwa mijала już środek rzeki. Chłopcy ustawili ją z prądem i przygotowali wiosła do manewru lądowania. Stan wody nie był wysoki i rzeka płynęła bardzo wolno. W ciągu trzech następnych kwadransów nikt nie powiedział ani słowa. Tratwa mijала właśnie St. Petersburg. Kilka dalekich światełek wskazywało miejsce, gdzie leżało spowite w błogim śnie miasteczko, nieświadome wielkich wydarzeń, jakie rozgrywają się na rzece. Czarny Mściciel stał bez słowa, z rękami ciągle skrzyżowanymi na piersiach, rzucając „ostatnie spojrzenie” miejscu swych dawnych radości i niedawnych cierpień. Jedynym jego życzeniem było teraz, aby ona mogła go zobaczyć, jak dumnie płynie po wzburzonym morzu, z nieulęklým sercem stawiając czoło niebezpieczeństwu i śmierci, jak z nonszalanckim uśmiechem na ustach idzie na pewną zgubę. Wyobraźnia Mściciela bez najmniejszego trudu ulokowała wyspę Jacksona na środku bezkresnego oceanu, mógł więc naprawdę posyłać miastu „ostatnie spojrzenie”. Pozostali piraci również rzucali „ostatnie spojrzenia” i czynili to tak długo, że niewiele brakowało, a prąd zniósłby ich poza wyspę. W porę jednak odkryli niebezpieczeństwo i szybko sobie z nim poradzili. Około drugiej nad ranem tratwa osiadła na mieliźnie, dwieście kroków od właściwego brzegu. Chłopcy brodzili po wodzie tam i z powrotem, dopóki nie przenieśli całego ładunku na ląd. Na tratwie znaleźli jeszcze stary żagiel. Rozpięli go na kształt namiotu w zacisznym miejscu w zaroślach, aby osłonić zapasy żywności. Sami postanowili skorzystać ze wspaniałej pogody i spać pod gołym niebem, jak przystało ludziom wyjętym spod prawa.

Weszli w ciemną gęstwinę lasu i rozpalili ognisko pod olbrzymią kłodą. Usmażyli w kociołku słoninę na kolację i zjedli prawie połowę przyniesionych zapasów kukurydzy.

Taka nocna uczta w lesie, na bezludnej wyspie, z dala od ludzkich siedzib, była naprawdę wspaniała. Chłopcy oświadczyli, że już nigdy nie wrócą na łono cywilizacji.

Buchające płomienie oświeślały ich twarze i rzucały czerwone blaski na kolumnadę drzew tej leśnej świątyni, na jej lśniącej liście i girlandy pnączy.

Gdy zniknął ostatni kawałek chrupiącej słoniny i zjedzona została ostatnia porcja kukurydzy, chłopcy, niezmiernie zadowoleni, rozciągnęli się na trawie. Można było znaleźć chłodniejsze miejsce, ale nie chcieli wyrzec się romantycznej nocy przy obozowym ognisku.

— Tu jest wspaniale, co? — odezwał się Joe.

— Super — oświadczył Tomek. — Ciekawe, co by powiedzieli chłopcy, gdyby mogli nas tak widzieć?

— Co by powiedzieli? Życie by oddali, żeby być razem z nami, no nie, Huck?

— Też tak myślę — potwierdził Huck. — W każdym razie ja jestem zadowolony i podoba mi się takie życie. Nie potrzeba mi nic lepszego. Dawniej nigdy nie mogłem najeść się do syta, a poza tym nikt nie będzie się mnie tutaj czepiał i traktował jak jakieś dziwadło.

— To raj, nie życie! — zawołał Tomek. — Nie trzeba rano wstawać, chodzić do szkoły, myć się i słuchać ciągłych pouczeń. Widzisz, Joe, pirat na łodzi nie robi w ogóle nic, a taki pustelnik musi się bez przerwy modlić i nie ma kompletnie żadnej rozrywki. W dodatku ciągle jest sam.

— To fakt — zgodził się Joe. — Nie pomyślałem o tym wcześniej. Ale teraz, kiedy już wiem jak to jest być piratem, nie chcę być nikim innym.

— Widzisz — pouczał dalej Tomek — w dzisiejszych czasach pustelnicy to już przeżytek, nie mają żadnego znaczenia. A piraci zawsze są szanowani. W dodatku taki pustelnik musi spać na najtwardszej ziemi, takiej, żeby go wszystkie kości bolały, chodzić w worku, posypywać głowę popiołem, stać na deszczu i...

— Dlaczego musi chodzić w worku i posypywać głowę popiołem? — zapytał Huck.

— Nie wiem. Ale musi. Pustelnicy zawsze tak robią. Ty też byś musiał, gdybyś był pustelnikiem.

— Gdyby mi się chciało — wtrącił Huck.

— Jak to, a co byś robił?

— Nie wiem, ale tego bym nie robił.

— Ależ, Huck, musiałbyś!

— Po prostu nie wytrzymałbym tego i zwiął.

— Zwiął? Ładny byłby z ciebie pustelnik! Skompromitowałbyś siebie i wszystkich pustelników!

Krwawa Ręka nie odpowiedział, bo znalazł sobie inne zajęcie. Właśnie wydrążył głąb kukurydziany, przymocował do niego cybuch z łądygi i tak przygotowaną fajkę nabił liśćmi tytoniu. Potem położył na wierzchu rozżarzony węgielek i otoczył się chmurą wonnego dymu. Twarz Hucka promieniała najwyższym szczęściem. Inni piraci zazdrościli mu tego wspaniałego nałogu i postanowili sobie w duszy, że wkrótce też go zdobędą.

— A co właściwie piraci mają do roboty? — zapytał Huck.

— O, oni mają cudowne życie! — odparł Tomek. — Zdobywają okręty, palą je, a pieniądze zabierają i zakopują na swojej wyspie, w specjalnych strasznych miejscach, gdzie strzegą je duchy i różne takie, a na okręcie wszystkich zabijają i wrzucają ich potem do morza.

— Ale kobiety zabierają na wyspę — wtrącił Joe. — Kobiet nie zabijają.

— Zgadza się — przyznał Tomek. — Kobiet nie zabijają, są na to zbyt szlachetni. I kobiety są zawsze piękne.

— A jak są fajnie ubrani! No nie? Samo złoto, srebro i diamenty — dodał Joe z zachwytem.

— Kto? — zapytał Huck.

— Jak to kto? Piraci!

Huck obejrzał swój kostium z zadumą.

— Zdaje mi się, że jak na pirata, nie jestem odpowiednio ubrany — rzekł ze smutkiem. — Ale nie mam nic innego.

Obaj koledzy wytłumaczyli mu, że piękny strój szybko się znajdzie, jak tylko rozpoczną prawdziwe korsarskie wyprawy. Przekonali go, że jego nędzne łachmany wystarczą od biedy na początek, chociaż zamożni piraci zwykle zaczynają swój zawód od razu w odpowiednim stroju.

Stopniowo rozmowa zamierała i sen zaczął kleić powieki małych włóczęgów. Fajka wypadła Krwawej Ręce z dłoni i Huck usnął snem sprawiedliwego. Nie tak łatwo poszło Postrachowi Mórz i Czarnemu Mścicielowi Hiszpańskich Wód. Pacierze odmówili po cichu i leżąc, bo nikt nie kazał im uklęknąć i modlić się głośno. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mieli zamiaru się modlić, ale bali się posunąć aż tak daleko, bo a nuż uderzyłby w nich grom z jasnego nieba? Potem, gdy już zaczęli przysypiać, zjawił się nieproszony gość, którego nie mogli odegnąć. Było to sumienie. Poczuli niejasną obawę, że może źle

zrobili, uciekając z domu. Potem przypomniało im się ukradzione mięso i doznali męki cierpień. Starali się zagłuszyć sumienie, przypominając sobie, że przecież już tyle razy podkradali słodczyce czy jabłka, ale sumienie nie dało się oszukać tymi słabymi argumentami. Dotarł do nich fakt, że zabranie ze spiżarni cukierka lub jabłka można potraktować jako „podwędzenie”, lecz zabranie szynki, słoniny i innych wartościowych rzeczy jest pospolitą kradzieżą, wyraźnie zabronioną w dziesięciu przykazaniach. W głębi ducha postanowili więc, że jak długo pozostaną piratami, nigdy nie splamią tego zawodu zbrodnią kradzieży. Wówczas sumienie zgodziło się na zawieszenie broni i dziwni piraci, w duszach których mieszkali obok siebie tak zdumiewające sprzeczności, zapadli w błogi sen.

Rozdział XIV

Gdy Tomek obudził się rano, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest. Usiadł, przetarł oczy i rozglądał się wokoło. Wreszcie zrozumiał.

Był dopiero chłodny, szary świt. Lasy, pogrążone w błogim śnie, tchnęły ciszą i spokojem. Nie drgnął nawet najmniejszy listek, najlżejszy szmer nie zakłócił głębokiej zadumy przyrody. Krople rosy lśniły wśród liści i traw. Ognisko pokrywała szara warstwa popiołu, a cieniutka smużka dymu unosiła się prosto w górę. Joe i Huck spali jeszcze.

Naraz, daleko w głębi lasu, zaćwierkał ptak; odpowiedział mu drugi. Dało się słyszeć pukanie dzięcioła. Chłodny, szary brzask poranka jaśniał coraz bardziej, przybywało dźwięków i życie poczęło się budzić do nowego dnia. Zamyślonym oczom chłopca ukazał się cud przyrody, otrząsającej się ze snu i przystępującej do pracy. Po okrytym rosą listku przypelzła zielona gąsieniczka, „węszyła” na wszystkie strony, a potem znów posuwała się naprzód.

„Przymierza się do liścia”, pomyślał Tomek.

Kiedy zbliżyła się do niego, siedział cichutko jak mysz, a nadzieje jego to rosły, to słabły, w miarę jak stworzonko posuwało się ku niemu lub wahało się czy nie wybrać innej drogi. Wreszcie gąsieniczka, po długim, kłopotliwym namyśle, wpelzła na jego nogę. Tomek był uszczęśliwiony, bo oznaczało to, że dostanie nowe ubranie — niewątpliwie wspaniały mundur pirata. Potem, nie wiadomo skąd, nadeszła cała procesja mrówek, podążających do pracy. Jedna z nich mężnie wlokła zdechłego pająka, z pięć razy większego od siebie i taszczyła go na plecach pionowo w górę po

pnium. Brązowo nakrapiana biedronka wdrapywała się na zawrotne wyżyny żółtawych traw. Tomek pochylił się nad nią i szepnął:

Biedroneczko, leć do domu prostą drogą,
Dom się pali, przy dzieciach nie ma nikogo!

I rzeczywiście: rozpięła skrzydełka i poleciała, a Tomek wcale się nie zdziwił, bo od dawna wiedział, że biedronka jest strasznie łatwowierna i można jej wmówić różne rzeczy. Następnie przyszedł żuk, mozolnie tocząc swą kulkę; Tomek zaraz dotknął go palcem, żeby zobaczyć jak podwija nóżki i udaje nieboszczyka.

Ptaki tymczasem darły się już wniebogłosy. Drozd, szyderca i figlarz wśród ptaków północy, usiadł w doskonałym humorze na drzewie nad głową Tomka i zaczął naśladować trele swoich sąsiadów. Krzykliwa sówka sfrunęła na dół niczym niebieska błyskawica, usiadła na gałęzi tak blisko chłopca, że mógł ją prawie dosięgnąć ręką, przechyliła główkę i z ciekawością wprost pożerała oczami nieznanych przybyszów. Szara wiewiórka i jakiś inny mały gryzoń przyskakały do chłopców, aby przyjrzeć się im bliżej i poplotkować na ich temat. Widocznie te dzikie stworzenia nie widziały jeszcze ludzi i nie wiedziały, czy mają się ich bać, czy też nie. Cała przyroda obudziła się już na dobre i las kipiał życiem. Długie promienie słońca przebijały się przez gęste listowie. Fruwały motyle.

Tomek obudził pozostałych piratów. Wszyscy z radosnym krzykiem pognali do rzeki. W parę minut później, rozebrani, hasali w płytkiej, przezroczystej wodzie rozległej mielizny, goniąc się i przewracając. Nie odczuwali najmniejszej tęsknoty za miasteczkiem, które tam daleko, po drugiej stronie rzeki, leżało jeszcze w głębokim śnie. Jakaś zabłąkana fala czy może lekki przypływ wody porwał im tratwę, ale zupełnie ich to nie zmartwiło; było to jedynie spalaniem mostu między nimi a cywilizowanym światem.

Wrócili do obozowiska cudownie odświeżeni, szczęśliwi i głodni, jak wilki. Natychmiast rozpalili ogień. Huck odkrył w pobliżu czyste, chłodne źródło. Chłopcy sporządzili sobie kubki z szerokich liści orzechowych i uznali, że woda przyprawiona smakiem lasu śmiało może zastąpić kawę.

Joe zabrał się do krojenia słoniny, ale Tomek i Huck kazali mu chwilę zaczekać. Pobiegli nad rzekę, w miejsce, które wyglądało bardzo obiecująco i zarzucili tam wędki; po chwili mieli już bogaty połów. Wrócili z tak okazałym zapasem ryb, że mogliby nimi nakarmić całą rodzinę. Usmażyli ryby na słoninie i dziwili się, że smakują im jak nigdy.

Nie wiedzieli, że ryba rzeczna jest tym smaczniejsza, im prędzej po złapaniu dostanie się na ogień, a poza tym najlepszą przyprawą do każdego dania jest sen pod gołym niebem, ruch na świeżym powietrzu, kąpiel i porządny głód.

Po śniadaniu wylegiwali się w cieniu, a Huck ćmił fajkę. Potem ruszyli w las na rozpoznanie terenu. Biegali wesoło, przeskakiwali butwiejące pnie, przedzierali się przez splątane zarośla, mijali potężne wiekowe drzewa otulone girlandami pnączy. Po drodze spotykali zaciszne ustronia, wysłane kobiercami traw i kwiatów.

Odkryli mnóstwo rzeczy, które ich zachwyciły, ale nic takiego, co by ich zdziwiło. Okazało się, że wyspa ma około trzech kilometrów długości, a ćwierć kilometra szerokości i że od drugiego brzegu oddziela ją wąska odnoga szerokości zaledwie dwustu metrów. Kąpali się bardzo często, toteż gdy wrócili do obozu było już dobrze po południu. Byli zbyt głodni, by iść łowić ryby, uraczyli się więc szynką na zimno, po czym pokładli się w cieniu i gawędzili. Ale rozmowa jakoś się nie kleiła i szybko zamilkła. Cisza, uroczyste milczenie lasu, uczucie osamotnienia zaczęły coraz bardziej przenikać dusze chłopców. Popadli w zamyślenie. Ogarnął ich nieokreślony smutek, który wkrótce przybrał wyraźne kształty tęsknoty za domem. Nawet Huck Krwawa Ręka marzył o swych schodach i pustych beczkach. Wstydzili się jednak swej słabości i żaden nie miał odwagi powiedzieć, o czym myśli.

Od dłuższego czasu dobiegały ich z daleka jakieś dziwne odgłosy, ale nie zwracali na nie wcześniej uwagi. Teraz jednak owe tajemnicze dźwięki stały się wyraźniejsze i same narzuciły się uszom. Chłopcy wzdrygnęli się, spojrzeli po sobie i zaczęli nasłuchiwać z uwagą. Zrazu nastąpiła długa, głęboka cisza — a potem basowe, posępne „bum” nadleciało z oddali.

— Co to jest?! — wykrzyknął Joe stłumionym głosem.

— Sam chciałbym to wiedzieć — odparł szeptem Tomek.

— To nie jest grzmot — odezwał się wystraszony Huck — bo grzmot...

— Cicho! — nakazał Tomek. — Nie gadać, tylko słuchać!

Czekali chwilę, która wydała im się wiekiem, a potem znowu posępne „bum” przerwało uroczystą ciszę.

— Chodźmy zobaczyć, co to jest.

Zerwali się i popędzili nad brzeg od strony miasteczka. Ostrożnie rozchyłili zarośla i wyjrzel na rzekę. O kilometr poniżej miasta płynął z prądem mały parowiec. Na pokładzie roilo się od ludzi. Mnóstwo łodzi krążyło wokół niego, ale chłopcy nie mogli

dostrzec, co robili ludzie w tych łódkach. Nagle z boku parowca strzelił strumień białej pary, a gdy para rozwiała się, powietrzem wstrząsnął ten sam głuchy grzmot.

— Już wiem! — zawołał Tomek. — Ktoś utonął!

— No jasne! — potwierdził Huck. — Tak robili zeszłego lata, kiedy utonął Bill Turner. Strzelali z armaty tuż ponad wodą i topielec wypłynął. Biorą też bochenki chleba, nalewają do środka rtęć i puszczają na wodę, a one płyną do miejsca, gdzie leży topielec i tam się zatrzymują.

— Tak, słyszałem o tym — odezwał się Joe. — Nie mogę tylko zrozumieć, w jaki sposób chleb wie, gdzie szukać właściwego miejsca.

— A ja myślę, że to nie tyle chleb tak działa — wyjaśnił Tomek — ile słowa, jakie nad nim wymawiają, zanim go puszczą na wodę.

— Ale przecież oni nic nie mówią nad chlebem — powiedział Huck. — Sam widziałem, że nic nie mówili.

— Hm, to rzeczywiście ciekawe — zastanowił się Tomek. — Ale może mówią coś po cichu, żeby nikt nie słyszał. Na pewno tak!

Chłopcy zgodzili się, że w tym, co mówi Tomek jest wiele racji. Bo przecież głupi kawałek chleba, nie pouczony odpowiednio zaklęciem, nie mógłby w tak mądry sposób wykonać takiego poważnego zadania.

— O rany! Chciałbym tam być! — powiedział Joe.

— Ja też — dodał Huck. — Dałbym wiele za to, żeby wiedzieć, kto utonął.

Chłopcy nasłuchiwali dalej i patrzyli na rzekę. Nagle myśl jak błyskawica oświeciła mózg Tomka. Zawołał:

— Chłopaki! Wiem, kto utonął — my!!

W jednej chwili cała trójka poczuła się bohaterami. Ależ to był wspaniały triumf! Wciąż jednak odczuli ich brak; ktoś płakał za nimi, rozpaczał, komuś serce pękło. Nareszcie odezwały się w ludziach wyrzuty sumienia, że tak źle obchodzili się z biednymi chłopcami, którzy zginęli. Ha! Teraz żałują, że byli dla nich niedobrzy, dręczy ich żal i zgryzota. A co najpiękniejsze w tym wszystkim: jako zaginioni byli w tej chwili na ustach całego miasteczka, inni chłopcy zielenieli teraz z zazdrości! Sława! Olśniewająca sława! Jakie to cudowne! Trzeba przyznać, że czasem warto jednak być piratem.

Gdy zapadł zmrok, parowiec powrócił do swojej zwykłej pracy, a łódzie odpłynęły. Piraci wrócili do obozu. Serca rozpierała im duma z powodu wielkiej sławy, jaką zdobyli, i wspaniałego zamieszania, jakie wywołali w miasteczku. Nałowili ryb,

przyrządzili i zjedli kolację, a potem zabawiali się zgadywaniem, co tam w mieście o nich myślą i mówią. Wyobrażanie sobie powszechnej żałoby po nich sprawiało im ogromne zadowolenie.

Kiedy jednak noc zaczęła okrywać świat, jeden po drugim milkli i siedzieli zapatrzeni w ogień, błędząc myślami daleko. Radość minęła, a Tomek i Joe nie mogli odpędzić od siebie myśli, że pewne osoby w domu nie są tak zachwycone tym doskonałym figlem, jak oni. Powstały jakieś trwożne przeczucia, opanował ich niepokój, stali się jacyś oswiali, wyrwało im się parę westchnień. Joe odważył się na nieśmiałą próbę dowiedzenia się, jak inni piraci przyjęliby powrót do świata cywilizacji. Oczywiście nie teraz zaraz, ale...

Tomek zmiażdżył go pogardliwym śmiechem. Huck, który jeszcze nie odkrył swych kart, przeszedł na stronę Tomka. Biedny Joe robił, co mógł, aby zatrzeć ślady swojej „tchórzowskiej tęsknoty za domem” i był szczęśliwy, że w końcu wyszedł z tej przykrej sytuacji jedynie z małą plamką na honorze pirata. Na razie bunt został stłumiony.

Gdy noc zapadła na dobre, Huckowi zaczęły się kleić oczy i po chwili chrapał już w najlepsze. Joe wkrótce poszedł w jego ślady. Tomek, wsparty na łokciu, jakiś czas leżał bez ruchu, uważnie obserwując kolegów. Wreszcie podniósł się ostrożnie, doczołgał się na kolanach do ogniska i w jego świetle wyszukał dwa kawałki cienkiej, białej kory drzewa sykomory. Uklęknął przy ognisku i z mozołem nagryzmolił coś kredką na obu kawałkach. Jeden z nich zwinął i wsunął do kieszeni, drugi włożył do kapelusza Joego, odsuwając go nieco od właściciela. Ponadto wrzucił do kapelusza kilka uczniowskich skarbów bezcennej wartości, w rodzaju kawałka kredy, haczyka do wędki i szklanej kulki „prawie kryształowej”. Potem ostrożnie, na palcach, ruszył w drogę, przemykając od drzewa do drzewa. Dopiero gdy był już pewien, że koledzy nie mogą go usłyszeć, puścił się pędem prosto ku mieliźnie nadbrzeżnej.

Rozdział XV

W kilka minut później Tomek brodził już po mieliźnie ku wybrzeżu leżącemu po przeciwnej stronie miasteczka. Był niemal w połowie drogi, a woda sięgała mu zaledwie do pasa, ponieważ jednak wartki prąd zbijał go z nóg, śmiało puścił się wpław, by przebyć pozostałe sto metrów.

Płynął na ukos, pod prąd, lecz mimo to rzeka zniosła go dalej, niż się spodziewał. Wreszcie dotarł do brzegu. Przez chwilę płynął z prądem w dół, aż natrafił na płaski

brzeg i wyszedł z wody. Sięgnął ręką do kieszeni, aby sprawdzić czy nie zgubił zapisanego kawałka kory. Był na swoim miejscu. Ociekając wodą, ruszył w drogę lasem, wzdłuż wybrzeża. Krótco przed dziesiątą dotarł do polany leżącej naprzeciwko miasteczka. Pod wysokim urwiskiem cumował statek parowy.

Wokół panowała cisza. Gwiazdy mrugały na niebie. Tomek zsunął się z urwiska, rozejrzał bacznie na wszystkie strony, wszedł do wody i kilkoma machnięciami ramion dopłynął do łódki, przywiązanej do statku. Wlaźł do niej, położył się pod ławkami i czekał z bijącym sercem.

Naraz głucho zabrzmiał dzwon i rozległa się komenda odjazdu. Dwie minuty później woda, wzburzona obrotem kół, podniosła w górę dziób łodzi i rozpoczęła się podróż. Tomek cieszył się ze swojego szczęścia, bo wiedział, że jest to ostatni kurs parowca przed nocą. Po upływie długich piętnastu minut koła przestały się obracać. Tomek ześlizgnął się do wody i popłynął do brzegu. Wylądował kilkadziesiąt metrów dalej od statku, bo obawiał się spotkania jakiegoś spóźnionego przechodnia.

Chyłkiem przebiegł puste uliczki i dotarł na tył podwórka ciotki Polly. Przelazł przez parkan, podkradł się pod ścianę domu i ostrożnie zajrzał przez okno do pokoju, w którym paliło się światło. Siedzieli tam, pogrążeni w cichej rozmowie, ciotka Polly, Sid, Mary i matka Joego Harpera. Tomek po cichutku podszedł do drzwi i delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi leciutko skrzypnęły. Pchał ostrożnie dalej, drżąc ze strachu za każdym skrzypnięciem. Wreszcie uznał, że zdoła się na kolanach przecisnąć przez szparę, wetknął więc głowę do środka i jak najciszej zaczął posuwać się naprzód...

— Dlaczego ta świeca tak mruga? — zapytała naraz ciotka.

Tomek nie tracił czasu i błyskawicznie smyrnął pod stojące tuż przy drzwiach łóżko.

— Co to? Drzwi się same otworzyły? Rzeczywiście. To jakiś dziwny znak. Sid, idź zamknij.

Tomek zniknął pod łóżkiem w samą porę. Poleżał chwilę, by uspokoić oddech, a potem przyczołgał się do ciotki tak blisko, że mógł ją chwycić za nogę.

— Ale jak już mówiłam — podjęła ciotka przerwany wątek — on wcale nie był zły, tylko straszny rozrabiaka i pędziwiatr. Rozbrykany jak młody żrebak. Ale nie było w nim ani odrobiny złości, a serce miał po prostu złote... można by szukać na całym świecie drugiego takiego... — tu ciotka rozplakała się na dobre.

— Tak samo mój Joe: głowa pełna psich figlów, do każdej psoty pierwszy, ale taki pocziwy i dobry, że dla drugiego ostatnią koszulę by z siebie ściągnął. A ja, Boże odpuść

mi, zbilam go za tę śmietanę; na śmierć zapomniałam, że sama ją wylałam, bo skwaśniała. I nigdy go już nie zobaczę, mojego biednego, skrzywdzonego chłopca, nigdy, nigdy! — i pani Harper rozszlochała się, jakby serce jej miało pęknąć.

— Myślę, że Tomkowi jest lepiej tam, gdzie jest teraz — wtrącił Sid — a gdyby przedtem był grzeczniejszym chłopcem...

— Sid! — Tomek poczuł surowe, karcące spojrzenie ciotki, choć go nie widział. — Ani słowa nie dam na niego powiedzieć, teraz, kiedy go utraciliśmy! Bóg weźmie go już w swoją opiekę, nie martw się o to, mój drogi! Och, droga pani Harper, nie potrafię się pogodzić z tą stratą, nie wiem, jak ja to przeżyję! To był kochany chłopak, choć nieraz porządnie mi dokuczył.

— Bóg dał, Bóg wziął, niech imię Jego będzie pochwalone! Ale ciężko się z tym pogodzić, bardzo ciężko! Jeszcze w sobotę Joe strzelił mi petardą pod samym nosem, za co tak oberwał, że aż się przewrócił. Nawet nie przeczuwałam wtedy, że tak szybko... Och, gdyby czas mógł się cofnąć, przycisnęłabym go do serca i wycalowała.

— Tak, tak, kochana pani Harper, ja to bardzo dobrze rozumiem, bardzo dobrze. Nie dalej jak wczoraj w południe nakarmił kota „mordercą cierpień”. Myślałam, że biedne zwierzę rozniesie cały dom i, Boże przebacz mi, wytlukłam naparstkiem głowę mojego biednego, świętej pamięci, chłopca. Teraz jest już wolny od wszystkich cierpień. Ale ostatnie słowa, jakie od niego usłyszałam, były wyrzutem...

To wspomnienie okazało się jednak zbyt bolesne i zupełnie ciotkę załamało. Tomek sam pochlipywał, więcej z żalu nad własnym losem niż ze współczucia dla innych. Słyszał, jak płakała Mary i jak od czasu do czasu dorzucała jakąś pochwałę pod jego adresem. Opinia Tomka o samym sobie znacznie wzrosła. Jednak ból ciotki także go wzruszył. Najchętniej wyskoczyłby teraz spod łóżka, aby smutek zamienić jej w bezgraniczną radość, zwłaszcza, że efekt takiego wystąpienia silnie przemawiał do jego wyobraźni. Ale oparł się pokusie i siedział cicho.

Słuchał dalej i z różnych urywków rozmowy złożył sobie całą historię. Najpierw myślano, że chłopcy utonęli podczas kąpieli. Potem zauważono brak małej tratwy. Następnie kilku chłopców opowiedziało, jak zaginieni szeptali, że wkrótce miasto „o czymś się dowie”. Mądre głowy zestawily wszystkie fakty i doszły do wniosku, że chłopcy wybrali się na przejażdżkę tratwą i wkrótce pojawią się w najbliższym miasteczku nad rzeką. Ale koło południa, pięć czy sześć kilometrów poniżej St. Petersburg, znaleziono tratwę zagnaną prądem rzeki do brzegu. Wówczas wszelka nadzieja zgasła. Musieli utonąć, bo inaczej głód przygnałby ich do domu jeszcze przed

nocą. Poszukiwanie zwłok nie przyniosło rezultatu, bo chłopcy najprawdopodobniej utonęli na samym środku potężnej rzeki. Gdyby wypadek zdarzył się bliżej brzegu, na pewno dopłynęliby do lądu, gdyż wszyscy byli dobrymi pływakami. W tej chwili jest środa, jeśli do końca tygodnia zwłoki nie zostaną odnalezione, trzeba będzie w ogóle pożegnać się z nadzieją wyłowienia ich i w niedzielę rano pastor odprawi w kościele nabożeństwo żałobne. Tomek wzdrygnął się.

Pani Harper wśród szlochań powiedziała „dobranoc” i podeszła do drzwi. Nagle, pod wpływem wspólnego nieszczęścia, obie osierocone kobiety padły sobie w objęcia. Wyplakały się i to im nieco ulżyło. Wreszcie pożegnały się. Ciotka Polly powiedziała Sidowi i Mary „dobranoc”, a w jej głosie było o wiele więcej czułości niż zwykle. Sid lekko tylko pochlipywał, ale Mary zanosila się od płaczu.

Ciotka uklękła i modliła się za Tomka tak serdecznie i wzruszająco, tak błagalnie, z taką bezgraniczną miłością w słowach i drżącym głosem, że pirat omal nie utonął we własnych łzach, zanim dobiegła do końca.

Gdy ciotka położyła się do łóżka, musiał jeszcze długo siedzieć cicho, bo ciągle wzdychała, rzucała się niespokojnie i przewracała z boku na bok. Wreszcie ucichła i tylko pojękiwała cichutko przez sen. Tomek ostrożnie wyszedł z kryjówki, stanął przy łóżku, zasłonił świecę ręką i przyglądał się śpiącej. Było mu jej serdecznie żal. Wyjął z kieszeni swój zwitek kory i położył go obok świecy. Nagle coś mu przyszło do głowy i przez chwilę zastanawiał się nad czymś głęboko. Wreszcie twarz mu się rozjaśniła — znalazł wspaniałe rozwiązanie. Szybko schował korę do kieszeni. Pochylił się nad ciotką, ucałował jej zmęczone usta i wyszedł na palcach, zamykając drzwi za sobą.

Przemknął się z powrotem do miejsca postoju parowca. Śmiało wszedł na pokład, bo wiedział, że prócz wartownika, który zawsze siedzi w kajucie i śpi jak kamień, na statku nie ma nikogo. Odwiązał łódkę, wskoczył do niej i zaczął ostrożnie wiosłować w górę rzeki. Gdy znalazł się jakiś kilometr powyżej miasta, skierował łódkę w stronę przeciwległego brzegu i solidnie zabrał się do wiosłowania. Do miejsca lądowania po drugiej stronie rzeki trafił bez trudu, bo taka wyprawa nie była dla niego nowością. Miał wielką ochotę zagarnąć łódkę, gdyż można ją było uważać za okręt, a tym samym za legalną zdobycz korsarską. Wiedział jednak, że przetrząśnięto by w jej poszukiwaniu całe wybrzeże, co mogłoby się skończyć odkryciem obozu piratów. Wskoczył więc na brzeg i wszedł w las.

Usiadł. Długo odpoczywał, ostatnim wysiłkiem broniąc się przed ogarniającą go sennością. Wreszcie ruszył w stronę obozu.

Noc szybko ustępowała; kiedy znalazł się na brzegu, naprzeciw mielizny, był już jasny dzień. Znowu usiadł i odpoczął, a tymczasem słońce wzniosło się wysoko i oświetliło rzekę. Wówczas wszedł do wody. W chwilę potem, ociekając wodą, stanął u wejścia do obozu i usłyszał słowa Joego:

— Nie, Huck, Tomek na pewno wróci. Można na nim polegać, jak na sobie samym. On nie zdezerteruje. Wie, że to byłaby straszna hańba dla pirata. Jest za dumny na to, żeby zdradzić. Widocznie miał jakiś interes, tylko nie wiem jaki.

— Ale te rzeczy są już chyba nasze?

— Prawie, ale jeszcze niezupełnie. Napisał, że rzeczy są nasze, jeśli nie wróci przed śniadaniem.

— Ale wrócił! — zawołał Tomek dramatycznym głosem i efektownie wkroczył do obozu.

Zaraz zakrzątnięto się koło śniadania. Podano ryby na słoninie. W trakcie posiłku Tomek opowiedział swoje przygody, dodając tu i ówdzie różne barwne szczegóły. Gdy skończył, wszyscy poczuli się prawdziwymi bohaterami; rozpierała ich pycha. Potem Tomek zaszył się w cienistym zakątku i spał do południa, a reszta piratów poszła łowić ryby i odkrywać wyspę.

Rozdział XVI

Po obiedzie cała banda udała się na mieliznę w poszukiwaniu żółwych jaj. Chodzili i grzebali kijami w piasku, a gdy trafili na szczelinę, klękali i rękami odgarniali ziemię. Z jednej jamy wydobywali czasem pięćdziesiąt do sześćdziesięciu niedużych okrągłutkich, białych jaj. Wieczorem mieli z nich wspaniałą ucztę. Smażonych jaj starczyło nawet na śniadanie następnego dnia.

Po śniadaniu polecili nad brzeg, darli się wniebogłosy, szaleli w wodzie i po trochu pozbywali się hamującego ruchu ubrania. Wreszcie golusieńcy jak ich Pan Bóg stworzył, zapędzili się tak daleko w rzekę, że dotarli do bystrego prądu, który zbijał ich z nóg. Podniosło to jeszcze urok zabawy. Stawali naprzeciw siebie i pryskali wodą, odwracając głowę przed prysznicem. W końcu chwycili się za bary i zaczęli mocować ze sobą, dopóki nie udało im się zanurzyć kolegi; wtedy wszyscy dawali nurka i kotłowali się pod wodą. Wydobywali się na powierzchnię, parskając, dysząc i śmiejąc do upadłego.

Gdy poczuli zmęczenie, wybiegali na suchą, rozgrzaną plażę, zakopywali się w piasku po szyję, a po chwili znowu pędzili do wody i dawali to samo przedstawienie. Potem wpadli na pomysł, że ich naga skóra może całkiem dobrze naśladować cieliste trykoty; zakreślili więc na piasku duże koło i urządzili cyrk — z trzema kłownami, bo żaden nie chciał odstąpić drugiemu tego zaszczytnego stanowiska.

Następnie powyciągali swoje szklane kulki i grali nimi, dopóki im się nie sprzykrzyło. Joe i Huck poszli znowu pływać, ale Tomek bał się, bo przy ściąganiu spodni zgubił gdzieś bransoletkę z kręgów ogonowych grzechotnika, którą nosił na kostce nogi. Uważał to za prawdziwy cud, że pozbawiony tego cudownego amuletu, mógł tak długo pływać i nie chwycił go kurcz. Ale nie odważył się znowu wejść do wody — musiał najpierw odnaleźć swoją zgubę. Tymczasem Joe i Huck już się zmęczyli i chcieli odpocząć.

Wąleśali się jeszcze jakiś czas, lecz wkrótce opanowało ich dziwne pragnienie samotności i trójka zaczęła się rozsypywać. Chłopcy zapadli w ponure zamyślenie i każdy tęsknym okiem spoglądał na daleki brzeg rzeki, gdzie w blaskach słońca leżało ich rodzinne miasteczko. Tomek złapał się na tym, że sam nie wiedząc, co robi, wypisał na pisaku dużym palcem u nogi Becky. Czym prędzej starł napis, zły na siebie za swoją słabość. Ale po chwili Becky ponownie pojawiła się na piasku — widocznie nie było na to rady. Znowu zatarł napis i uciekł od pokus w ten sposób, że zebrał z powrotem rozproszoną bandę.

Joe zupełnie upadł na duchu; nie rokował już żadnej nadziei. Tak tęsknił za domem, taki był przybity, że nie mógł sobie dać rady ze sobą. Łzy same cisnęły mu się do oczu. Huck także był w rzewnym nastroju. Tomkowi również niewiele brakowało, ale walczył, zaciskając zęby, aby nikt tego po nim nie poznał. Ukrywał pewną tajemnicę, której nie chciał na razie wyjawiać. Gdyby jednak bunt nie dał się zażegnać, gotów był odkryć karty. Ze sztuczną wesołością powiedział:

— Idę o zakład, chłopaki, że na tej wyspie żyli kiedyś piraci. Musimy to sprawdzić. Na pewno zakopali gdzieś skarby. Co byście powiedzieli, gdybyśmy tak trafili na starą skrzynię, pełną srebra i złota... co?

Wywołało to mizerne ożywienie, które natychmiast zgasło. Piraci milczeli. Tomek próbował wymyślić inne atrakcje — nic nie pomogło. Wszystko rozbijało się o mur ponurego zrezygnowania. Joe z posępną miną grzebał kijem w piasku. Wreszcie odezwał się:

— Chłopcy, dajmy temu spokój. Chcę wrócić do domu. Tu jest tak smutno i samotnie.

— Przestań, Joe, z czasem będzie ci weselej — tłumaczył Tomek. — Pomyśl tylko, jak świetnie można tu łowić ryby.

— Gwizdzą na ryby. Chcę wrócić do domu.

— A gdzie się będziesz tak wspaniale kąpał, jak tutaj?

— E tam. Co mi po tej wspaniałej kąpieli, jeśli nikt mi jej nie zabrania. Wracam do domu.

— Patrzcie tylko, malutki dzidziuś! Chce do mamusi!

— Żebyś wiedział! Chcę wrócić do mamy i ty też byś chciał, gdybyś ją miał. A dzieckiem jestem takim samym, jak i ty — tu Joe chlipnął z lekka.

— Wiesz co, Huck, niech sobie ta beksa wraca do mamusi, prawda? Biedne maleństwo, chce zobaczyć mamusię! A niech ją zobaczy! Ale tobie się tu podoba? Co, Huck? My dwaj zostaniemy tutaj, no nie?

Huck odpowiedział „t-a-k”, ale jakoś bardzo niewyraźnie.

— Do końca życia nie odezwę się do ciebie! — powiedział Joe, wstając. — Zapamiętaj to sobie!

Odszedł nachmurzony i zaczął się ubierać.

— Też mi zmartwienie — odciął się Tomek. — Wcale cię tu nie potrzebujemy. Wracaj do domu na pośmiewisko! Ładny z ciebie pirat, nie ma co! My nie jesteśmy beksy, ja i Huck. My tu zostaniemy, prawda? A on niech sobie idzie, dokąd chce. Doskonale obejdziemy się bez niego.

Poczuł się jednak nieswojo i zaniepokoiło go, że Joe tak zawzięcie się ubiera. Huck bacznie obserwował przygotowania Joego i milczał — to też nie wróżyło nic dobrego. Bez słowa pożegnania Joe zaczął brodzić ku brzegowi. Tomek stracił ducha. Spojrzał na Hucka, lecz ten spuścił oczy. Po chwili Huck odezwał się:

— Tomek, ja też chcę wracać. Tu się zrobiło tak smutno, a teraz będzie jeszcze gorzej. Chodźmy, Tomku!

— Nie chce mi się! Możecie sobie iść obaj, jeśli wam się podoba — ja zostaję!

— Tomek, ja chyba pójdę...

— No to wynoś się, kto cię tu trzyma?

Huck począł zbierać rozrzucone części ubrania.

— Tomku, chodź z nami — prosił. — Zastanów się. Zaczekamy na ciebie nad brzegiem.

— No to będziecie bardzo długo czekać.

Huck odszedł przygnębiony, a Tomek stał i patrzył za nim. Czuł szalone pragnienie zrzucenia pychy z serca i dołączenia do towarzyszy. Łudził się jeszcze, że może zawrócą, ale oni brodzili w wodzie już coraz dalej. Nagle uświadomił sobie, jak strasznie zrobiło się koło niego cicho i pusto, i ogarnęło go uczucie rozpaczliwej samotności. Stoczył ostatnią walkę ze swą dumą i popędził za przyjaciółmi, wołając:

— Stójcie! Czekać! Coś wam powiem!

Zatrzymali się i odwrócili. Dogoniwszy ich, Tomek wyjawiał im swoje sekretne plany. Zrazu słuchali niechętnie, lecz gdy wreszcie zrozumieli, o co mu chodzi, ich entuzjazm wybuchnął w gromkich okrzykach wojennych. Pomysł Tomka uznali za „bombowy” i oświadczyli, że gdyby im to wcześniej powiedział, nigdy by nie odeszli. Tomek usprawiedliwił się dość zręcznie, choć prawdziwym powodem jego milczenia była obawa, że nawet ten tajemniczy plan nie zatrzyma ich na długo, i dlatego traktował go jako ostatnią deskę ratunku.

Chłopcy wrócili do obozu w bajecznych humorach i bawili się jak przedtem. Usta im się nie zamykały, bo rozpływali się w zachwytach dla geniuszu Tomka i jego olśniewającego planu. Po uczcie obiadowej, na którą składały się ryby i żółwie jajka, Tomek oświadczył, że chce się nauczyć palić. Joe podchwycił pomysł i powiedział, że też by chciał spróbować. Huck sporządził fajki i nabił je liśćmi tytoniu. Obaj nowicjusze jak dotąd usiłowali palić jedynie cygara z liści dzikiego wina, ale one szczypały w język i w ogóle jako „prawdziwi mężczyźni” mieli je w pogardzie.

Położyli się wygodnie, podparli na łokciach i zaczęli pykać ostrożnie, z dużą dozą nieufności. Dym miał niezbyt przyjemny smak i drapał w gardło. Zaczęli się lekko krtusić. Mimo to Tomek oświadczył:

— Phi! To żadna sztuka! Gdybym wiedział, że to takie proste, już dawno bym się nauczył palić.

— Ja też — przyświadczył Joe. — Przecież to nic trudnego.

— Właśnie. Tyle razy przyglądałem się innym, jak palili, i myślałem, że dobrze byłoby też tak umieć, ale nawet mi do głowy nie przyszło, że już umiem — powiedział Tomek.

— Tak samo ja — zgodził się Joe. — Prawda, Huck? To samo ci mówiłem, no nie?

— Tak, rzeczywiście mówiłeś — przyznał Huck.

— Ja też to mówiłem ze sto razy — wtrącił Tomek. — Raz było to za rzeźnią. Pamiętasz, Huck? Byli przy tym Bob Tanner, Johnny Miller i Jeff Thatcher. Przypominasz sobie, Huck, jak ci to mówiłem?

— Jasne — potwierdził Huck. — To było tego samego dnia, kiedy zgubiłem białą kulkę... albo dzień wcześniej...

— No widzisz, Joe! — zawołał Tomek. — Mówiłem ci, że Huck dobrze to pamięta!

— Wydaje mi się, że mógłbym spokojnie palić przez cały dzień — pochwalił się Joe. — Czuję się świetnie.

— Ja też mógłbym palić przez cały dzień — oświadczył Tomek. — I założę się, że Jeff Thatcher nie dałby rady.

— Jeff Thatcher! Phy! Po dwóch pociągnięciach leżałby już na ziemi. Damy mu kiedyś spróbować, będzie niezły ubaw!

— Super! A Johnny Miller? Chciałbym widzieć, jak on się do tego zabiera!

— Ja też chciałbym to widzieć — prychnął pogardliwie Joe. — Mogę przysiąc, że nie da rady. Tylko powącha i już będzie miał dość.

— Jasne! O rany, chciałbym żeby inni chłopcy mogli nas teraz widzieć!

— No!!

— Wiecie co? Nie mówcie o tym nikomu. Kiedyś, jak będą wszyscy razem, podejść do was i zapytam: „Joe, masz jakąś fajkę? Zapaliłbym sobie”. A ty na to, tak sobie od niechcenia, jakby nigdy nic, odpowiesz: „Tak, mam swoją starą fajkę, ale tytoń jest dość kiepski”. A ja na to: „Wszystko jedno, żeby tylko był mocny”. Wtedy wyjmiesz z kieszeni fajkę i zapalimy sobie spokojnie. Kurczę, oczy im na wierzch wyjdą!

— Ja cię kręcę! To będzie numer! Szkoda, że zaraz tego nie możemy zrobić, nie, Tomek?

— Aha! A jeszcze, gdy im powiemy, że nauczyliśmy się palić, kiedy byliśmy piratami, pękna z zazdrości!

Rozmowa toczyła się dalej w tym samym duchu. Nagle jednak poczęła się rwać i jakoś dziwnie utykać. Przerwy stawały się coraz dłuższe, a spluwanie dziwnie coraz częstsze. Jama ustna zamieniła się w tryskające źródło. Nie mogli nadążyć z wypróżnianiem groźących powodzią zbiorników pod językiem. Mimo usilnych starań nie udawało się zatamować małych strumyków, które spływały do gardła i wywoływały gwałtowne łaskotanie, połączone z atakami mdłości. Obaj zbledli jak prześcieradła i wyglądali, że pozał się Boże. Fajka wypadła z bezsilnych palców Joego, fajka Tomka

poszła w jej ślady. Obie krynice dostały ataku oszalałej pracowitości, a obie pompy z szaleńczą rozpaczą broniły się przed zalewem. Joe odezwał się bezdźwięcznie:

— Zgubiłem scyzoryk. Muszę go iść poszukać.

Tomek odparł drżącym głosem, oszczędzając oddech:

— Pomogę ci. Ty idź tędy, a ja poszukam przy źródelku. Nie, nie, Huck, ty zostań, my sami znajdziemy.

Huck usiadł i czekał godzinę. Potem zrobiło mu się samemu za nudno i poszedł szukać kolegów. Znalazł ich w głębi lasu. Leżeli daleko od siebie, obaj bardzo bladzi. Spali twardo. Pewne wyraźne ślady na trawie podpowiedziały Huckowi, że jeżeli coś im ciążyło wewnątrz, to już się tego pozbyli.

Tego wieczoru przy kolacji nie byli zbyt rozmowni. Wyglądali dość żałośnie. Kiedy Huck po jedzeniu nabił sobie fajkę i zabrał się do przyrządzania fajek dla przyjaciół, odmówili. Oświadczyli, że niezbyt dobrze się czują, bo widocznie zjedli na obiad coś, co im zaszkodziło.

Rozdział XVII

Koło północy Joe ocknął się i obudził chłopców. W powietrzu leżała jakaś przytłaczająca duszność, która zapowiadała coś niedobrego. Nieustraszeni piraci przytulili się do siebie i przysunęli bliżej do ogniska. Ciężkie powietrze niemal dusiło. Chłopcy siedzieli bez słowa i czekali w napięciu.

Poza kręgiem ogniska wszystko ginęło w ciemności. Trwała przerażająca cisza. Nagle mignął jakiś słaby blask, zadrżał na liściach i zniknął. Po chwili ukazał się drugi, silniejszy. Potem jeszcze jeden. Przez gałęzie drzew przeleciał cichy jęk i westchnienie. Lekki powiew musnął policzki chłopców. Wzdrygnęli się na myśl, że to przeszedł Duch Nocy. Znowu zrobiło się cicho. Potem upiorna błyskawica rozdarła ciemność, oświetlając trzy blade, przerażone twarze kolegów. Rozległ się głuchy łoskot gromu i zamarł gdzieś w oddali. Zimny wiatr zaszeleścił liśćmi i sypnął popiołem z ogniska.

Nowy oślepiający blask rozświetlił las i w tej chwili straszliwy łoskot targnął powietrzem. W przerażającej ciemności, jaka teraz nastąpiła, chłopcy przywarli do siebie zdjęci śmiertelną trwogą. Kilka ciężkich kropli deszczu zabębniło po liściach.

— Szybko, do namiotu! — zawołał Tomek.

Porwali się, potykając w ciemnościach o korzenie drzew i płacząc w gałęziach. Każdy pognął w innym kierunku. Wściekła wichura zawyła w konarach drzew i napełniła cały

las szumem. Oślepiające błyskawice pędziły jedna po drugiej, każdej z nich towarzyszył ogłuszający huk piorunu. Lunał gwałtowny deszcz, a wichur szarpał jego strugami. Chłopcy nawoływali się bezustannie, ale ryk wichru i huk piorunów zagłuszyły zupełnie ich głosy. Wreszcie jednak pojedynczo dotarli do namiotu i schronili się pod nim, zmarznięci, przerażeni i ociekający wodą. Jediną pociechą było to, że są razem. Nie mogli rozmawiać ze sobą, bo odgłosy burzy i wściekły łopot namiotu uniemożliwiały rozmowę.

Burza wzmagala się ciągle. Nagle płótno namiotu zerwało się i uleciało na skrzydłach wichury. Chłopcy chwycili się za ręce; przewracając się i kalecząc, uciekli pod wielki dąb, który rósł na wybrzeżu. Ponad nimi szalała walka żywiołów. W nieustannym blasku błyskawic widać było uginające się pod naporem wichru drzewa i wzburzoną rzekę, okrytą białą pianą. Poprzez ukośną ścianę deszczu majaczyły strome urwiska przeciwnego brzegu. Co chwila jakiś olbrzym leśny ginął w walce i padał z trzaskiem, łamiąc pod sobą mniejsze drzewa. Pioruny eksplodowały z przeraźliwym hukiem. Potęga burzy osiągnęła taki stopień, że zdawało się, iż rozniesie wyspę, spali ją, zatopi i zniszczy wszystkie żyjące na niej stworzenia. Była to prawdziwa noc grozy dla bezdomnych włóczęgów.

Wreszcie jednak bitwa przyrody ucichła. Wojska cofnęły się. Pomału milkły w oddali ich pogroźki i gniewne pomruki. Pokój znów zapanował na wyspie.

Chłopcy z niemałym strachem wrócili do obozu. Tu przekonali się, że mają za co dziękować Bogu, bo olbrzymi platan, pod którym zwykle sypiali, podczas ich nieobecności padł, rażony piorunem.

W obozie wszystko było zalane wodą. Życiodajne ognisko również. Chłopcy bowiem, z lekkomyślnością właściwą ich wiekowi, nie pomyśleli o zabezpieczeniu się przed deszczem. Sytuacja była krytyczna, gdyż przemokli do suchej nitki i trzęśli się z zimna. Biadali więc na całego, nie przebierając w słowach. Odkryli jednak, że ogień dostał się pod pień leżącego drzewa, pod którym go rozpalili i dzięki temu tlił się jeszcze w niewielkiej dziupli. Wytrwale i cierpliwie podsycali go korą i chrustem wyciągniętym spod osłoniętych kłód, aż wreszcie znów buchnął płomieniem. Ułożyli na nim stos suchych gałęzi. Ogień strzelił wesołym płomieniem, a radość chłopców nie miała granic. Otucha znów wstąpiła im w serca. Osuszyli szynkę, najedli się do syta, a potem, ponieważ nigdzie nie było suchego miejsca do spania, siedzieli wokół ogniska aż do białego rana, rozprawiając o swojej nocnej, wspaniałej przygodzie i chełpiąc się swoją odwagą.

Gdy pierwsze promienie słońca padły na wyspę, chłopców ogarnęła senność. Poszli na plażę i tam położyli się spać. Wkrótce jednak słońce zaczęło przypiekać nie do wytrzymania; chcąc nie chcąc musieli wstać i markotni zabrali się do śniadania. Po śniadaniu siedzieli z kwaśnymi minami. Bolały ich kości i znów odezwała się tęsknota za domem. Tomek widział to wszystko i robił, co mógł, aby rozweselić piratów. Ale oni byli obojętni na grę w kulki, zabawę w cyrk, kąpiele i w ogóle na wszystko. Dopiero, gdy przypomniał im tajemniczy plan, zdołał obudzić isierkę zainteresowania. Zanim zgasła, Tomek zdążył zaciekać ich pomysłem, aby na jakiś czas przestać być piratami i dla odmiany zostać Indianami. To im się spodobało. Zrzucili z siebie ubrania i wymalowali się od stóp do głów czarnym błotem jak zebry. Wszyscy trzej wystąpili oczywiście w roli wodzów i z głośnym wyciem popędzili w las, by dokonać ataku na angielską wioskę.

Potem podzielili się na trzy wrogie szczepy, które ze strasliwymi okrzykami wojennymi wypadały na siebie z zasadzki, mordowały się i skalpowały tysiącami. Był to bardzo krwawy dzień, a tym samym nadzwyczaj udany.

W porze obiadowej znów zeszli się w obozie, głodni i szczęśliwi. Naraz wyłoniła się wielka trudność: Indianie na wojennej ścieżce nie mogli jeść przy wspólnym stole, jeśli przedtem nie zawarli pokoju. Przymierze zaś musiało być przypieczętowane wypaleniem fajki pokoju. Inaczej nie dało się tego załatwić. Dwaj dzicy serdecznie żalowali teraz, że porzucili korsarstwo. Ale nie było innego wyjścia. Z największą swobodą, na jaką tylko mogli się zdobyć, wodzowie kazali sobie podać fajkę, po czym — jak nakazuje obyczaj — puścili ją w krąg i jeden po drugim zaciągali się dymem.

I rzecz dziwna: byli nawet zadowoleni, że stali się dzikimi barbarzyńcami, bo coś na tym zyskali. Przekonali się, że mogą sobie już trochę popalić i nie muszą od razu iść szukać zgubionego scyzoryka. Mdlilo ich tylko odrobinę, a poza tym czuli się całkiem dobrze. Nie chcieli oczywiście utracić tak cennej umiejętności przez zwykły brak treningu, więc po kolacji dalej ostrożnie ćwiczyli się w tej sztuce. Uzyskali zupełnie dobre wyniki. Dzięki temu wieczór spędzili w radosnym i podniosłym nastroju. Ta nowa umiejętność napełniła ich większą dumą i szczęściem, niż gdyby oskalpowali i obdarli ze skóry sześć plemion indiańskich.

Zostawmy ich w chwili, gdy sobie tak palą, gawędzą i przechwalają do woli.

Rozdział XVIII

Ale w małym miasteczku owego cichego sobotniego wieczoru nikomu nie było wesoło. Harperowie i ciotka Polly, pogrążeni we łzach i smutku, przywdziali żalobę. Niezwykła cisza zaległa miasteczko, chociaż po prawdzie nigdy nie można było nazwać go gwarnym. Mieszkańcy załatwiali swoje sprawy z jakimś roztargnieniem, półsłówkami, często przy tym wzdychając. Wolne od nauki popołudnie wcale nie cieszyło dzieci. Zabawy jakoś im nie szły i szybko ustały.

Późnym popołudniem na opustoszałym dziedzińcu szkolnym pozostała tylko Becky Thatcher. Nic nie mogło jej pocieszyć.

— Ach, gdybym miała chociaż tę miedzianą gałkę — mówiła do siebie. — Nic mi nie zostało na pamiątkę po nim.

Przelknęła łzy. Potem przystanęła i powiedziała:

— Tak, to było tutaj. Ach, gdyby wróciła ta chwila, już nigdy bym tak nie powiedziała! Ale on nie żyje i nigdy, nigdy, nigdy już go nie zobaczę!

Ta myśl całkiem ją załamała i odeszła zalewając się łzami. Pojawiła się gromada chłopców i dziewcząt, towarzyszy zabaw Tomka i Joego. Przystanęli, zaglądali przez sztachety i z szacunkiem mówili, co Tomek robił, kiedy go widzieli po raz ostatni, i jak to Joe wypowiedział kilka na pozór nic nie znaczących słów, choć teraz okazało się, że były to straszliwe, prorocze słowa. Każdy z nich dokładnie pokazywał miejsce, gdzie stali wówczas zaginioni chłopcy i dodawał komentarze w stylu:

— Ja stałem właśnie tu, gdzie teraz, a on stał tam, gdzie ty, tak blisko mnie, i uśmiechnął się! A mnie wtedy przeszedł jakiś dreszcz, wiesz, coś takiego strasznego. Nie wiedziałem, co to może znaczyć, ale teraz już wiem!...

Potem zaczął się spór, kto ostatni widział ich żywych. Niejeden chciał sobie przywłaszczyć ten smutny zaszczyt i przedstawiał mniej lub więcej zmyślone dowody i fałszywych świadków. A gdy wreszcie ustalono, kto naprawdę ostatni widział zmarłych i ostatni z nimi rozmawiał, wówczas na szczęśliwych zwycięzców spłynęło coś w rodzaju świętego dostojęstwa — spoglądano na nich z podziwem i zazdrozczono im sławy.

Jakiś chłopczyzna, nie mając żadnego innego tytułu do wielkości, oświadczył z nieukrywaną dumą:

— Tomek Sawyer zbił mnie kiedyś!

Ale nie zdobył tym sławy. Większość chłopców mogła poszczycić się tym samym osiągnięciem, a to znacznie obniżało jego wartość. Gromadka powędrowała dalej, z nabożną czcią snując wspomnienia o zmarłych bohaterach.

Nazajutrz, w niedzielę, dzwon odezwał się jakimś specjalnym, uroczystym, ponurym tonem. Dziwna cisza była w tej niedziel, a żałobne dźwięki dzwonu harmonizowały z pokorną zadumą przyrody. Mieszkańcy miasteczka przybywali do kościoła, przystając na chwilę w przedsionku, aby poszeptać o zdarzeniu. Jednak w samym kościele szepty milkły i słychać było tylko żałobny szelest sukien kobiet. Najstarsi ludzie nie pamiętali takiego tłoku w kościele.

Nastąpiła pełna oczekiwania, głęboka cisza. Weszła ciotka Polly, Sid, Mary i rodzina Harperów — wszyscy w ciężkiej żałobie. Cała gmina, wraz ze starym pastorem, podniosła się z szacunkiem i stała, dopóki osierocone rodziny nie usiadły w pierwszej ławce. Znowu zapadła przejmująca cisza, przerywana jedynie stłumionymi łkaniami. Rozpoczęto modlitwę. Odśpiewano wstrząsający psalm, po czym pastor wygłosił kazanie na temat: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot”.

Pastor odmalował tak wspaniały obraz wszelakich cnót, tak chwalebne zachowanie i nadzwyczajne zdolności zaginionych chłopców, że wszyscy wierni, mając ich jeszcze świeżo w pamięci, czynili sobie gorzkie wyrzuty, iż w swej ślepotcie nie dostrzegali tych ukrytych skarbów duszy i widzieli w biednych chłopcach jedynie same wady. Duchowny przypominał kilka wzruszających zdarzeń z życia zmarłych, które świadczyły niezbitnie o ich wyjątkowo łagodnych i szlachetnych charakterach. Wszyscy ujrzeli teraz bez trudu, jak wzniosłe i piękne były ich czyny i z rozpaczą przypominali sobie, że za życia chłopców wydawały im się najgorszymi łajdactwami, godnymi porządnego lania. W miarę jak pastor rozwijał swój wzruszający opis, wszyscy wierni coraz bardziej miękli, aż wreszcie tak się rozczulili, że chórem bolesnych łkań dołączyli do płaczu rodzin zmarłych. Sam pastor dał folgę swoim uczuciom i szlochał na ambonie jak bóbr.

Jakiś szmer powstał na galerii, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Po chwili skrzypnęły drzwi kościoła. Pastor odjął chusteczkę od zapłakanych oczu, spojrzał i — skamieniał. Za jego wzrokiem podążała najpierw jedna, potem druga para oczu, aż wreszcie wszyscy odwrócili się i z osłupieniem patrzyli na trzech nieboszczyków, w najlepsze maszerujących gęsiego środkiem kościoła. Na czele kroczył Tomek, drugi szedł Joe, a za nimi chyłkiem podążał zmieszany Huck, płacząc się w swoich łachmanach. Ukryci na nie używanej galerii, chłopcy wysłuchali własnej mowy pogrzebowej!

Ciotka Polly, Mary i Harperowie rzucili się na cudem im przywrócone dzieci, zasypując ich całą lawiną pocałunków i dziękując Bogu za ich ocalenie. Biedny Huck stał tymczasem z boku zakłopotany, nie wiedząc, co z sobą począć i gdzie się ukryć przed

tyloma ludźmi, z których nikt go nie witał. Wahał się, wreszcie zrobił nieśmiałą próbę, by się wymknąć, lecz Tomek uniemożliwił mu ucieczkę.

— Ciociu, to nieładnie — powiedział. — Ktoś musi się ucieszyć na widok Hucka.

— Tomku, kochanie, ależ oczywiście! Bardzo się cieszę, że widzę tego biednego sierotkę.

Nic nie mogło bardziej zmieszać Hucka niż czułości, jakimi obsypała go ciotka Polly.

Nagle rozległ się potężny głos duchownego:

— Chwała Panu, od którego płynie wszelkie błogosławieństwo! Śpiewajcie z całego serca!

I śpiewali. Triumfalny hymn zagrzemiał z całą mocą, aż zatrzęsło się sklepienie kościoła. W tym czasie pirat Tomasz Sawyer wodził dumnym wzrokiem po zielonej z zazdrości młodzieży i mówił sobie w duchu, że to najwspanialsza chwila w jego życiu.

Gdy wystrychnięci na dudków mieszkańcy tłumnie wychodzili z kościoła, każdy twierdził, że chętnie jeszcze raz dałby się tak wywieść w pole, byle znowu usłyszeć ten hymn w tak cudownym wykonaniu.

Tomek otrzymał tego dnia tyle szturchańców i całusów — w zależności od nastroju ciotki — ile dostawał przedtem w ciągu całego roku. Sam już nie wiedział, co z tego zestawu lepiej wyraża jej miłość do niego i wdzięczność wobec Boga.

Rozdział XIX

Na tym polegał tajemniczy plan Tomka: wrócić do domu w niedzielę i wraz z pozostałymi piratami być na własnym pogrzebie. W sobotę o zmroku chłopcy przepłynęli na pniu drzewa na drugi brzeg Missouri, wylądowali pięć lub sześć kilometrów poniżej miasteczka, przenocowali w lesie podmiejskim, a potem zaułkami i bocznymi uliczkami przekradli się do kościoła i ukryli na nieużywanej galerii.

W poniedziałek rano przy śniadaniu ciotka Polly i Mary bezustannie zasypywały Tomka czułościami, dogadzały mu jak mogły i niemal zgadywały jego życzenia. Rozmowa była bardzo ożywiona. W pewnym momencie ciotka powiedziała:

— Tak, Tomku, muszę przyznać, że żart udał ci się nadzwyczajnie. My tu wszyscy przez cały tydzień zadrećzaliśmy się ze zmartwienia, a wyście się tam wesoło bawili. To bardzo smutne, że mogłeś być taki okrutny i pozwoliłeś mi się tak długo męczyć. Jeśli mogłeś przypłynąć na pniu na własny pogrzeb, to mogłeś i przedtem zjawić się tutaj i dać jakiś znak, że żyjesz i nic ci się nie stało.

— Właśnie — wtrąciła Mary — mogłeś tak zrobić. Ale jestem pewna, że zrobiłbyś tak, gdybyś tylko o tym pomyślał.

— Zrobiłbyś tak? — zapytała ciotka, a twarz jej rozjaśniła się nadzieją. — Powiedz, zrobiłbyś tak, gdybyś o tym pomyślał?

— Hm... nie wiem. To by wszystko popsuło.

— Myślałam, że mnie choć trochę kochasz, Tomku — powiedziała ciotka z takim smutkiem w głosie, że Tomkowi zrobiło się jej bardzo żal. — Gdybyś nawet nic nie zrobił, a tylko o tym pomyślał, to już byłoby coś.

— Ależ, ciociu, nie ma w tym nic złego — broniła go Mary. — Tomek jest po prostu roztrzępany. To taki postrzeleniec...

— Tym gorzej. Sid na pewno by pomyślał. Sid przyszedłby tutaj i wszystko powiedział. Kiedyś, Tomku, gdy będzie już za późno, przypomnisz sobie tę chwilę i będziesz żałował, że tak mało o mnie dbałeś, nawet wtedy, gdy cię to nic nie kosztowało.

— Ciociu, przecież ja cię naprawdę kocham — odparł Tomek.

— Łatwiej bym w to uwierzyła, gdybyś inaczej postępował.

— Teraz żałuję, że o tym nie pomyślałem — powiedział Tomek ze skrucą. — Ale za to śniłaś mi się, ciociu. To też jest coś.

— Raczej niewiele. Nawet kotu mogę się śnić. Ale zawsze lepsze to niż nic. A co ci się śniło?

— Wiesz, w środę w nocy śniło mi się, że siedziałaś tu przy łóżku, Sid koło skrzyni, a Mary obok niego.

— Rzeczywiście tak było. Zawsze tak siedzimy. Cieszy mnie, że przynajmniej we śnie trochę o nas pomyślałeś.

— I śniło mi się, że była tu mama Joego...

— Co? Naprawdę tu była! Co ci się jeszcze śniło?

— Oj, dużo innych rzeczy, ale już zapomniałem.

— Przypomnij sobie, postaraj się... no, potrafisz sobie przypomnieć?

— Wydaje mi się, że wiatr zdmuchnął... wiatr zdmuchnął...

— No! Pomyśl dobrze, skup się, Tomku. Wiatr naprawdę coś zdmuchnął!

Tomek przycisnął palce do skroni i myślał z natężeniem. Wreszcie zawołał:

— Już mam! Już mam! Zdmuchnął świecę!

— Jezus Maria i wszyscy święci! Co dalej, Tomku, myśl!

— I zdaje mi się, że powiedziałaś: „Co to? Drzwi się...”

— Dalej, Tomku!

— Zaraz, niech sobie przypomnę... chwileczkę... Aha! Powiedziałaś: „Co to? Drzwi się same otworzyły?”

— Jak mnie tu żywą widzisz, tak powiedziałam! Prawda, Mary? Mów dalej!

— A potem, a potem... nie jestem tego pewien, ale zdaje mi się, że kazałaś Sidowi...

— I co? I co? Co mu kazałam zrobić, Tomku? Co mu kazałam zrobić?

— Kazałaś mu... kazałaś mu... no, pójść i zamknąć.

— Na miłość boską, Chryste Panie! Nigdy w życiu czegoś podobnego nie słyszałam! I niech mi teraz ktoś powie, że sny nie mają znaczenia! Zaraz lecę do pani Harper! Ciekawe czy i teraz będzie mi mówić o zabobonach! Mów dalej, Tomku!

— O, właśnie sobie przypomniałem. Powiedziałaś, że ja nie byłem zły, tylko rozrabiaka i pędziwiatr rozbrykany jak... chyba jak żreback, czy coś takiego.

— Tak powiedziałam! O Boże! Dalej, Tomku!

— A potem zaczęłaś płakać.

— Tak. Zresztą nie po raz pierwszy. A potem?

— A potem pani Harper zaczęła płakać i mówiła, że Joe jest taki sam i żałowała, że go zabiła za jakąś śmietanę, którą sama wylała...

— Tomku! Duch Święty był z tobą! To był proroczy sen! Jasnowidzący! Boże, bądź miłościw! Dalej, Tomku!

— Potem Sid powiedział... powiedział...

— Zdaje mi się, że nic nie mówiłem — wtrącił Sid.

— Owszem, mówiłeś — poświadczyła Mary.

— Siedźcie cicho, niech Tomek mówi! Więc co on powiedział?

— Powiedział... zdaje mi się... powiedział, że pewnie jest mi lepiej tam, gdzie jestem teraz, ale gdybym przedtem był grzeczniejszy...

— Ależ to są jego własne słowa!

— A ty go skarciłaś.

— Ja myślę! Anioł tu był! Nic innego, tylko anioł tu był!

— I pani Harper opowiedziała jak Joe przestraszył ją petardą, a ty opowiedziałaś o Piotrusiu i „mordercy cierpień”...

— Prawda, jak Bóg na niebie!

— A potem mówiliście o poszukiwaniach na rzece, o pogrzebie w niedzielę, a w końcu uściskałyście się z panią Harper i rozplakały, i ona poszła.

— Wszystko się zgadza! Tak było, jak tu siedzę! Nie mógłbyś tego lepiej widzieć, nawet gdybyś sam tutaj był! A co potem? Było coś dalej, Tomku?

— Potem, wydaje mi się, że modliłaś się za mnie, a ja patrzyłem na ciebie i słyszałem każde słowo. Położyłaś się do łóżka, a mi tak bardzo było cię żal, że napisałem na kawałku kory: „Nie zginęliśmy, tylko zostaliśmy piratami” — i położyłem na stole, koło świecy. I ty we śnie wyglądałaś tak biednie i byłaś taka kochana, że podszedłem i pocałowałem cię.

— Naprawdę, Tomku, naprawdę? Za to przebaczam ci wszystko!

Ciotka uściskała Tomka gorąco, a on poczuł, że jest najnikczemniejszym łotrem na świecie.

— To było bardzo piękne, ale to był tylko sen... — bąknął Sid.

— Zamknij buzię, Sid! — oburzyła się ciotka. — Każdy człowiek robi we śnie to samo, co by zrobił na jawie. Masz tu, Tomku, wspaniałe jabłko. A teraz zbieraj się do szkoły. Chwała Panu najwyższemu i Ojcu Niebieskiemu za to, że wrócił mi ciebie, za to, że jest cierpliwy i miłosierny dla tych, którzy w Niego wierzą i wypełniają przykazania boskie. Wiem, że nie jestem godna Jego miłości, ale Bóg miłosierny pomaga nawet najnędzniejszym i prowadzi ich do Królestwa Wiecznego... A teraz, Sid, Mary, Tomek — jazda do swoich zajęć, bo i ja muszę się wziąć do pracy!

Dzieci poszły do szkoły, a ciotka Polly pośpieszyła do pani Harper, aby za pomocą cudownego snu Tomka obalić jej materialistyczne poglądy. Sid był za mądry, by głośno powiedzieć, o czym myślał, kiedy wychodził z domu. Jednego był pewien: „Taki długi sen i bez najmniejszej pomyłki jest po prostu niemożliwy!”

Tomek był teraz prawdziwym bohaterem. Nie podskakiwał, nie rozrabiał, lecz godnie kroczył z dumną miną, jak przystało piratowi, który wie, że publiczność patrzy na niego. I rzeczywiście tak było. Udawał, że nie widzi tych spojrzeń i nie słyszy pełnych podziwu uwag pod jego adresem, ale upajał się nimi. Młodszy chłopcy deptali mu wprost po piętach, dumni, że mogą się z nim pokazać i że on znosi ich towarzystwo. Tomek wyglądał jak wódz, który maszeruje na czele swej armii. Jego rówieśnicy silili się na udawanie obojętności, ale zżerała ich śmiertelna zazdrość. Oddaliby wszystko, żeby mieć taką brązową, „prawdziwie piracką” opaleniznę i taką olśniewającą sławę. Ale Tomek nigdy w życiu nie oddałby żadnej z tych rzeczy, nawet gdyby mu ofiarowano za to cały cyrk.

W szkole dzieci tak obskakiwały Tomka i Joego, i patrzyły na nich z takim ciętym zachwytem, że bohaterowie omal nie pękli z dumy. Spragnionym słuchaczom zaczęli opowiadać swoje przygody, ale zaczęli tylko; było rzeczą wprost niemożliwą opowiedzieć je do końca, gdyż wyobraźnia dostarczała im ciągle nowego materiału. A

kiedy jeszcze wyciągnęli fajki i z najobojętniejszą w świecie miną zaczęli pykać kłębam dymu, sława ich dosięgnęła szczytu.

Tomek postanowił uwolnić się od Becky. Sława wystarczała mu; chciał żyć dla sławy. Teraz, gdy zdobył tak wysoką pozycję, Becky na pewno będzie chciała pogodzić się z nim. Proszę bardzo, niech spróbuje — zobaczy, że jest zimny jak lód i obojętny, tak jak ona przedtem. Nadeszła Becky. Tomek udawał, że jej nie widzi. Zszedł jej z drogi, przyłączył się do gromadki chłopców i dziewcząt, i wdał się z nimi w rozmowę. Obserwował ukradkiem, jak niby to wesół, z zarumienioną buzią i błyszczącymi oczyma biega za koleżankami i piszczy z radości, gdy którąś złapie. Zauważył, że Becky ciągle wyszukiwała dziewczynki blisko niego i za każdym razem obrzucała go wymownym spojrzeniem. Bardzo to pochlebiło jego męskiej próżności, ale nie dał się tym przejednać i jeszcze bardziej zhardział, starannie udając, że jej nie widzi. Dziewczynka przestała dokazywać i zaczęła się kręcić w pobliżu Tomka. Westchnęła parę razy i kilkakrotnie spojrzała tęsknie w jego stronę. Spostrzegła, że Tomek najwięcej rozmawia z Amy Lawrence. Ukłuło ją to w samo serce. Zmieszała się i zaniepokoiła. Chciała odejść, ale zdradzieckie nogi znowu poniosły ją w pobliże Tomka. Z nieszczerym ożywieniem rozpoczęła rozmowę z koleżanką, stojącą tuż koło niego:

- Słuchaj, Mary Austin, czemu nie byłaś w szkółce niedzielnej?
- Byłam, nie widziałas mnie?
- Nie... Naprawdę byłaś? A gdzie siedziałas?
- Z klasą panny Peters, jak zwykle. Ja ciebie widziałam.
- Niemożliwe! To dziwne, że cię nie zauważyłam. Chciałam ci powiedzieć o pikniku.
- O pikniku? A kto go urządza?
- Moja mamusia urządza go dla mnie.
- Wspaniale! Czy ja też będę mogła przyjść?
- Oczywiście. Piknik jest dla mnie. Mogą przyjść wszyscy, których zaproszę, a ja chcę, żebyś ty przyszła.
- To cudownie! A kiedy to będzie?
- Niezadługo... może jeszcze przed wakacjami.
- Super! Ale będzie zabawa! I zaprosisz wszystkie dziewczynki i wszystkich chłopców?
- Tak, każdego, kto jest moim przyjacielem albo chce nim być — i zerknęła ukradkiem na Tomka, ale on właśnie opowiadał Amy Lawrence o potwornej burzy na

wyspie, podczas której straszliwy piorun powalił olbrzymi platan na ziemię, gdy on stał „o trzy kroki” od drzewa.

— A ja mogę przyjść? — zapytała Gracja Miller.

— Tak.

— A ja? — dopytywała się Sally Rogers.

— Tak.

— A ja i Joe? — spytała Susy Harper.

— Tak.

I tak dalej, wśród radosnego klaskania w ręce, aż wreszcie wszyscy z wyjątkiem Tomka i Amy wyprosili sobie zaproszenie. Tomek, nie przestając opowiadać, odwrócił się obojętnie i pociągnął Amy za sobą. Usta Becky zadrżały i łzy stanęły jej w oczach. Pokryła to wymuszoną wesołością. Dalej rozmawiała z koleżankami, ale piknik stracił dla niej wszelki urok, a świat pociemniał dokoła. Szybko odeszła na bok, aby się ukryć i porządnie „wybeczeć”. Siedziała w kącie zła, ze zranioną dumą, aż do samego dzwonka na lekcję. Zerwała się z mściwym błyskiem w oczach, zdecydowanie postrząsnęła warkoczami — wiedziała, co ma teraz zrobić.

Podczas kolejnej przerwy Tomek dalej flirtował z Amy, pełen radosnego zadowolenia z siebie. Naumyślnie kręcił się po podwórku tuż przed oczami Becky, aby dręczyć ją tym widokiem. Jednak za którymś razem nie mógł jej odnaleźć; wreszcie natknął się na nią za budynkiem szkolnym i — temperatura dobrego nastroju spadła mu do zera. Becky siedziała na ławeczce i wraz z Alfredem Temple oglądała książkę z obrazkami. Byli całkowicie pochłonięci tym zajęciem. Głowy ich niemal stykały się ze sobą, z takim zainteresowaniem pochyłili się nad książką. Wyglądali jakby zapomnieli o całym bożym świecie. W Tomku krew zagotowała się z zazdrości, zapiekło go jak rozpalonym żelazem. Znienawidził się za to, że tak lekkomyślnie odtrącił rękę Becky, którą sama ofiarowała mu do zgody. W duchu wymyślał sobie od skończonych osłów i obrzucał się najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko przyszły mu do głowy. Najchętniej sam siebie by sprzął za własną głupotę. Amy szczebiotała u jego boku, bo serce rozśpiewało się w niej ze szczęścia, ale Tomkowi język stanął kołkiem. Nie słyszał zupełnie, co do niego mówiła, a gdy urywała, czekając na jego odpowiedź, bąkał tylko tak lub nie, najczęściej od rzeczy. Raz po raz coś go ciągnęło za szkołę i siedł tam, by paść oczy nienawistnym widokiem. Nie mógł się oprzeć tej pokusie samoudręczenia. Doprowadzało go do szaleństwa, że Becky zachowuje się tak, jakby zupełnie

zapomniała o jego istnieniu na świecie. Oczywiście widziała go i wiedziała, że wygrywa. Cieszyła się, że Tomek cierpi teraz tak samo, jak ona cierpiała.

Radosne trajkotanie Amy stało się dla Tomka wprost nie do zniesienia. Dawał jej do zrozumienia, że musi jeszcze coś załatwić i bardzo się śpieszy — ale na próżno, dziewczynka ćwierkała dalej. „Co, do licha — pomyślał — czy ona w ogóle się już dzisiaj ode mnie nie odczepi?” Gdy wreszcie pożegnał ją pod pozorem pilnych spraw do załatwienia, oświadczyła naiwnie, że po lekcjach zaczeka na niego. Zostawił ją i wściekły popędził przed siebie.

— Żeby to był chociaż jakiś inny chłopak — Tomek zgrzytał zębami. — Każdy inny, tylko nie ten lalusz, ten idiotyczny elegancik, co zgrywa hrabiego! Czekaj, paniczku! Sprałem cię zaraz pierwszego dnia, jak tylko się tu pojawiłeś, spiorę cię jeszcze raz! Dorwę cię gdzieś na uboczu i będę walił...

W zapale zaczął tłuc wroga, jakby rzeczywiście go dopadł; okładał powietrze pięściami, kopał i drapał.

— Masz, eleganciku! Już ja cię nauczę! No co? Dostałeś za swoje? Masz dość?

Załatwił się z wyimaginowanym wrogiem i poczuł znaczną ulgę.

W południe uciekł do domu. Sumienie nie pozwalało mu patrzeć na bezgraniczne szczęście Amy, a przy tym nie chciał narazić się na nowe męki zazdrości.

Becky znowu zabrała się z Alfredem do przeglądania książki z obrazkami, ale czas mijał, a Tomek nie nadchodził, by dalej cierpieć. Chmury powlokły niebo jej zwycięstwa. Książka przestała ją interesować. Spoważniała, potem przyszło roztargnienie, a po nim prawdziwy smutek. Na odgłos kroków kilka razy nadstawiała uszu, ale nadzieje okazały się płonne. Tomek nie nadchodził. Poczuła się bardzo nieszczęśliwa i zaczęła żałować, że posunęła się za daleko. Biedny Alfred, widząc, że traci jej zainteresowanie, a nie mając pojęcia dlaczego, wołał raz po raz: „O, coś pięknego, popatrz!”. Straciła wreszcie cierpliwość i wykrzyknęła:

— Och, przestań mnie w końcu dręczyć! Nic mnie to nie obchodzi! — wybuchnęła płaczem, zerwała się z ławki i uciekła.

Alfred pobiegł za nią, żeby ją pocieszyć, ale rzuciła mu w twarz:

— Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju! Nie znoszę cię!

Chłopak przystanął i usiłował zrozumieć o co jej chodzi i co takiego jej zrobił. Przecież sama mu powiedziała, że przez całą popołudniową przerwę będzie z nim oglądać obrazki, a teraz uciekła z płaczem. Zamyślony wrócił do pustej szkoły. Czuł się upokorzony i był wściekły. Łatwo odgadł prawdę: dziewczyna użyła go po prostu jako

narzędzie zemsty na Tomku. Już wcześniej nienawidził go z całego serca, a teraz poczuł, że musi mu za wszystko odpłacić. Postanowił solidnie dokuczyć Tomkowi, samemu zbytnio się nie narażając. Nagle wpadł mu w oko zeszyt Tomka. To była znakomita okazja. Uradowany otworzył go w miejscu, gdzie było odrobione zadanie domowe i zalał je atramentem.

Właśnie w tej chwili Becky zajrzała przez okno, widziała wszystko, ale się nie zdradziła. Poszła w stronę domu, pragnąc spotkać Tomka i powiedzieć mu, co się stało. Będzie jej wdzięczny i wtedy się pogodzą. Ale nim uszła pół drogi, zmieniła zdanie. Przypomniała sobie, jak Tomek obszedł się z nią, gdy opowiadała o pikniku, i poczuła palący wstyd. Nie, nic mu nie powie. Niech dostanie w skórę za poplamienie zeszytu. Postanowiła nienawidzić go aż do śmierci i po wszystkie wieki.

Rozdział XX

Tomek przyszedł do domu w ponurym nastroju. Spodziewał się znaleźć pocieszenie u ciotki, ale już pierwsze jej słowa dowiodły, że wpadł z deszczu pod rynnę.

— Tomek, mam ochotę żywcem obdrzeć cię ze skóry!

— A co ja zrobiłem, ciociu?

— Co zrobiłeś? Dużo zrobiłeś! To ja, stara trąba, lecę do pani Harperowej, żeby opowiedzieć jej twój cudowny proroczy sen, i co? Okazuje się, że to wszystko bzdury! Ona już wie od Joego, że byłeś tu wtedy i sam słyszałeś wszystko, o czym mówiliśmy. Tomek, ja naprawdę nie wiem, co z ciebie wyrośnie! Jeszcze teraz słabo mi się robi na myśl, do jakiego stopnia zbłądziłam się przed panią Harperową! A ty mi na to pozwoliłeś i nie pisałeś ani słówka!

To był nowy punkt widzenia. Do tej chwili poranny występ wydawał się Tomkowi genialnym żartem. Teraz zaś zobaczył go w zupełnie innym świetle: jako zwykłe oszustwo. Zwiesił głowę i nie wiedział, co powiedzieć.

— Ciociu — odezwał się wreszcie — bardzo żałuję, że tak zrobiłem, ale nie pomyślałem o tym.

— Och, dziecko, ty nigdy nie myślisz o niczym z wyjątkiem własnych przyjemności. Za to pomyślałeś, żeby przyjść tutaj w nocy i śmiać się z naszego zmartwienia; pomyślałeś, żeby naopowiadać mi wymyślonych bzdur o swoim śnie i ośmieszyć mnie przed panią Harper; ale nie pomyślałeś o tym, żeby mieć litość nad nami i oszczędzić nam bólu!

— Ciociu, wiem, że to było nie w porządku, ale nie zrobiłem tego naumyślnie. Słowo daję. A wtedy, w nocy, wcale nie przyszedłem tutaj, żeby się z was śmiać.

— To po co przychodziłeś?

— Chciałem dać wam znać, żebyście się o nas nie martwili, bo nie utonęliśmy.

— Och, Tomku, Tomku, z całego serca byłabym wdzięczna Bogu, gdybym mogła w to uwierzyć. Ale wiesz dobrze, że tak nie było, i ja wiem także.

— Ciociu, naprawdę tak było! Słowo daję! Mogę nawet przysiąc!

— Tomku! Tylko, proszę cię, nie kłam! Nie kłam!

— Ja nie kłamię, ciociu, to szczerą prawdą. Przyszedłem tu po to, żebyście się nie martwili.

— Oddałabym wszystko, żeby móc ci uwierzyć. To by zmazało wszystkie twoje grzechy i winy. Nawet czułabym się szczęśliwa, że byłeś taki niedobry i uciekłeś z domu, gdyby tylko było prawdą to, co mówisz. Ale jak mogę ci wierzyć, że przyszedłeś tu specjalnie, abyśmy się o was nie martwili i w końcu nic nie powiedziałaś?

— Bo kiedy usłyszałem, jak mówicie o naszym pogrzebie, wpadłem na pomysł, żeby ukryć się w kościele i... i... no, wiesz, nie mogłem zepsuć tego pomysłu. Schowałem korę z powrotem do kieszeni i wyszedłem nic nie mówiąc.

— Jaką znowu korę?

— Korę, na której napisałem wam, że zostaliśmy piratami. Jaka szkoda, że nie obudziłaś się wtedy, gdy cię pocałowałem! Naprawdę chciałem tego. Wtedy wszystko byłoby inaczej.

Surowe zmarszczki na twarzy ciotki wygładziły się nagle, a oczy uśmiechnęły się ciepło.

— Pocałowałeś mnie, Tomku?

— Tak, ciociu.

— Naprawdę? Jesteś tego pewny?

— Naprawdę, ciociu. Jestem całkiem pewny.

— A dlaczego mnie pocałowałeś?

— Bo cię bardzo kocham, a ty leżałaś i wzdychałaś przez sen, a mnie zrobiło się tak smutno i było mi cię tak okropnie żal...

Słowa Tomka brzmiały szczerze. Starsza pani nie mogła ukryć drżenia głosu, gdy mówiła:

— Pocałuj mnie jeszcze raz, Tomku... i uciekaj do szkoły.

Ledwie Tomek wyszedł, ciotka pobiegła do komórki i wyciągnęła szczątki ubrania, które Tomek miał na sobie jako pirat. Stanęła z nimi w ręce, zawahała się.

— Nie, nie mam odwagi — szepnęła. — Biedak, na pewno skłamał, ale to było święte kłamstwo, bo przyniosło mi pocieszenie. Spodziewam się, że Pan Bóg... jestem pewna, że Pan Bóg przebaczy mu, bo kłamał z dobrego serca. Ale nie chcę wiedzieć, że to było kłamstwo. Nie zajrzę do kieszeni.

Odłożyła ubranie i przez chwilę stała zamyślona. Dwa razy wyciągała po nie rękę i dwa razy ją cofnęła. Wreszcie jednak zdecydowała się ostatecznie, dodając sobie odwagi słowami:

— To było dobre kłamstwo... pocziwe kłamstwo... kłamstwo z dobrego serca... wcale mnie nie zmartwi, że to było kłamstwo...

Odnalazła kieszeń i sięgnęła do niej ręką. W chwilę później, tonąc w serdecznych łzach, czytała list, który Tomek napisał na korze.

— Teraz — powiedziała z miłością — przebaczyłabym mu, choćby miał na sumieniu milion grzechów.

Rozdział XXI

W pocałunku ciotki Polly było coś tak serdecznego, że Tomkowi od razu przeszedł smutek, a powróciły radość i zadowolenie. Pobiegł do szkoły. Dopisało mu szczęście — na rogu ulicy spotkał Becky Thatcher. Pod wpływem radosnego nastroju podbiegł do niej i powiedział otwarcie:

— Becky, postąpiłem dziś bardzo brzydko i bardzo tego żałuję. Nigdy w życiu już tak nie zrobię. Pogódź się ze mną, dobrze?

Dziewczynka zatrzymała się i spojrzała na niego z pogardą.

— Będę bardzo wdzięczna, jeśli szanowny pan Tomasz Sawyer zajmie się swoją własną osobą. Nie mam zamiaru z panem rozmawiać.

Podniosła dumnie głowę i poszła dalej. Tomek był tak zaskoczony, że zupełnie go zamurowało; nie zdążył jej nawet odpowiedzieć: „Bez łaski, księżniczko Zarozumiała”. Był zły na siebie. Z ponurą miną wszedł na podwórko szkolne. Żałował, że Becky nie jest chłopcem, bo mógłby jej sprawić porządne lanie. Specjalnie przeszedł koło niej, żeby głośno zrobić złośliwą uwagę pod jej adresem. Odgryzła mu się równie zjadliwie. Zerwanie narzeczeństwa było gotowe. Becky była tak wściekła, że wprost nie mogła się doczekać, kiedy Tomek dostanie w skórę za oblane atramentem zadanie. Jeśli

nawet nosiła się wcześniej z zamiarem wyjawienia nazwiska Alfreda Temple jako prawdziwego sprawcy, to ostatnia napaść Tomka rozwiązała wszelkie jej skrupuły.

Biedna dziewczyna nie wiedziała, że nad jej własną głową zawisło nieszczęście.

Nauczyciel, pan Dobbins, był poważnym mężczyzną, o niezaspokojonych aspiracjach życiowych. Miał wielkie marzenie — chciał zostać lekarzem. Niestety ubóstwo nie pozwoliło mu zrealizować tych marzeń i musiał zadowolić się posadą wiejskiego nauczyciela. Każdego dnia, gdy dzieci zajęte były samodzielną pracą na lekcji, wyciągał z szuflady biurka jakąś tajemniczą książkę i zagłębiał się w jej treści. Zawsze trzymał tę książkę zamkniętą na klucz. Nie było w szkole takiego urwisa, którego by nie pożerała ciekawość i chęć zajrzenia do tej książki. Ale jak dotąd nie było ku temu sposobności. Każdy chłopiec i każda dziewczynka mieli swoją hipotezę, co się kryje w tej książce, ale nie było dwóch jednakowych poglądów. I nikt nie potrafił sprawdzić swojej wersji. Dzisiaj Becky, przechodząc obok biurka, które stało niedaleko drzwi, spostrzegła, że... klucz jest w zamku! Nadeszła wielka chwila. Becky rozejrzała się szybko, zobaczyła, że jest sama i błyskawicznie wyciągnęła książkę. Tytuł Anatomia autorstwa prof. jakiegoś tam nic jej nie powiedział, zaczęła więc przewracać kartki. Naraz natrafiła na piękną kolorową ilustrację, przedstawiającą gołą postać ludzką. W tej chwili na kartkę padł cień. W drzwiach stanął Tomek Sawyer i zdążył już rzucić okiem na obrazek. Przestraszona Becky chciała szybko zamknąć książkę i tak nieszczęśliwie nią szarpnęła, że rozdarła kartkę z ilustracją aż do połowy. Wrzuciła książkę do szuflady, przekręciła klucz i rozplakała się ze złości.

— Tomaszu Sawyer, to bezczelność tak się zakradać i podglądać, co ktoś ogląda!

— A skąd ja miałem wiedzieć, że ty tutaj coś oglądasz?

— Wstydzilibyś się, Tomaszu Sawyer. Wiem, że teraz pójdziesz na mnie naskarżyć. I co ja teraz zrobię! Dostanę lanie, a nigdy mnie jeszcze w szkole nie bito!

Potem tupnęła nóżką i zawołała:

— Idź i naskarż, jeśli masz ochotę! Ale ja też coś wiem. Poczekaj chwilę, a sam zobaczysz, co cię spotka! Jesteś wstrętny, wstrętny! — i wybiegła z klasy, zalewając się łzami.

Tomek stał zdumiony. Nic nie rozumiał z tej napaści na niego. Powiedział do siebie:

— To dopiero ciekawy okaz wariatki. Nigdy nie dostała w szkole! Wielka mi rzecz takie bicie! Bzdura! Nie ma o czym gadać. Ale takie są dziewczyny — odwaga jak u zająca. Wiadomo, że nie poskarżę Dobbinsowi na tę smarkulę. Znajdę inny sposób, żeby się z nią porachować, nie taki podły. Tylko co z tego? Dobbins na pewno zapyta,

kto podarł książkę. Nikt się nie przyzna. Wtedy robi tak jak zawsze: będzie pytał każdego po kolei, a kiedy dojdzie do Becky, zaraz wszystko wyczyta z jej twarzy. Nawet nie będzie musiała nic mówić. I smarkata dostanie w skórę. Hm, niemiła sytuacja.

Tomek jeszcze chwilę rozważał sprawę, po czym dodał:

— Wszystko jedno. Ona by się wcale nie zmartwiła, gdybym ja był na jej miejscu. Zobaczymy, jak się sama poczuje.

Tomek przyłączył się do kolegów, ganiających po podwórku. Po jakimś czasie nadszedł nauczyciel i rozpoczęła się lekcja. Tomek nie odczuwał nadmiernego zapału do nauki. Ciągłe rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę dziewcząt. Wyraz twarzy Becky niepokoił go. Biorąc wszystko pod uwagę, nie miał zamiaru litować się nad nią, a jednak nie mógł się zdobyć na obojętność. Pomimo chęci, jakoś nie potrafił odczuć „mściwej radości”.

Tymczasem został odkryty jego zeszyt i Tomek musiał na chwilę skierować uwagę na swoje własne sprawy. Becky ocknęła się teraz z bolesnego odrętwienia i z zainteresowaniem śledziła bieg wypadków. Nie wierzyła w możliwość uniknięcia kary przez Tomka. Jego zaprzeczenie, że to nie on rozlał atrament, tylko pogorszyło sprawę. Becky myślała, że będzie się cieszyć, jeśli Tomek zostanie ukarany, ale nie potrafiła. Kiedy nauczyciel wywołał Tomka na środek klasy po odbiór należytą mu porcji, coś pchało ją, aby wstać i wskazać na Alfreda Temple jako winowajcę. Przewyciężyła się jednak i nie powiedziała ani słowa. Usprawiedliwiła się przed sobą, że „on na pewno poskarży nauczycielowi i powie o rozdartej książce”.

Tomek dostał lanie i wrócił na swoje miejsce niezbyt zmartwiony. Uważał, że rzeczywiście mógł sam rozlać atrament podczas jakichś szturchańców w ławce. Zaprzeczył tylko ze względów formalnych, bo taki był zwyczaj, a on nie chciał łamać tradycji szkolnej.

Minęła cała godzina. Nauczyciel siedział, drzemiąc na swoim tronie, ukołyszany monotonnym szumem klasy. W końcu przeciągnął się leniwie, ziewnął, otworzył szufladę i niezdecydowanie sięgnął ręką po książkę. Większość dzieci patrzyła na to zupełnie obojętnie, ale dwie pary oczu z napięciem śledziły każdy jego ruch. Przez chwilę pan Dobbins z roztargnieniem bębnił palcami po okładce, wreszcie poprawił się na krześle, otworzył książkę i zabrał się do czytania. Tomek spojrzał na Becky. Wyglądała jak zaszczuty zajaczek, bezradnie patrzący na mierzącą w niego strzelbę. Od razu zapomniał, że są pokłóceni. Coś trzeba zrobić, ale prędko! Natychmiast! Lecz bezpośrednia bliskość niebezpieczeństwa sparaliżowała jego pomysłowość. Nagle

olśniło go objawienie. Dосkoczy do nauczyciela, wyrwie mu książkę z ręki i ucieknie! Zawahał się jednak przez chwilę i okazja minęła. Za późno! Nie ma już dla Becky ratunku! W następnym momencie nauczyciel obrzucił klasę badawczym spojrzeniem. Wszyscy spuścili głowy. W oczach pana Dobbinsa było coś takiego, co nawet niewinnych przejęło trwogą. W klasie zapanowała głucha cisza. Nauczyciel wzbierał gniewem. Wreszcie rzucił stalowym głosem:

— Kto podarł moją książkę?

Cicho jak makiem zasiał. Wszyscy siedzą zastygli bez ruchu.

Nauczyciel świdruje wzrokiem twarz po twarzy, szukając oznak winy.

— Benjamin Rogers! Czy to ty podarłeś książkę?

Zdecydowane zaprzeczenie. Znowu cisza.

— Joe Harper! Czy to ty zrobiłeś?

Znowu zaprzeczenie. W czasie tych powolnych tortur Tomek niepokoił się coraz bardziej. Nauczyciel powiódł drapieżnym okiem po ławkach chłopców i zwrócił się w stronę dziewcząt.

— Amy Lawrence?

Zaprzeczający ruch głową.

— Gracja Miller?

Ten sam ruch.

— Susan Harper! Czy to ty zrobiłaś?

Kolejne zaprzeczenie. Następną w kolejce była Becky Thatcher. Tomek drżał na całym ciele. Siedział jak na mękach ze świadomością, że sytuacja jest bez wyjścia.

— Rebeka Thatcher! — Tomek spojrzał na jej twarz: była śmiertelnie biała ze strachu. — Czy to ty podarłaś książkę? Patrz mi w oczy! — (Becky błagalnie złożyła ręce) — Ty to zrobiłaś?

Nagle Tomek doznał natchnienia. Zerwał się z miejsca i krzyknął:

— To ja podarłem książkę!!

Klasa zamarła z osłupienia. Wszyscy myśleli, że zwariował. A on stał przez chwilę bez ruchu, zbierając rozpiezchłe myśli. Potem poszedł odebrać karę. Kiedy szedł w stronę nauczyciela, by otrzymać chłostę, promienne spojrzenie Becky, pełne zdumienia, wdzięczności i podziwu — było dla niego nagrodą choćby za tysiąc kijów. Olśniony szlachetnością swego czynu nawet nie jęknął pod ciężką ręką pana Dobbinsa. Z równą obojętnością przyjął okrutną karę dodatkową: rozkaz zostania w szkole jeszcze

dwie godziny po lekcjach. Wiedział, kto będzie tęsknie czekał na niego przed szkołą, aż skończy się jego niewola i kto tych długich godzin oczekiwania nie uzna za stracone.

Tego wieczoru, leżąc już w łóżku, Tomek układał plany zemsty na Alfredzie Temple. Becky ze wstydem i skruchą opowiedziała mu wszystko, nie kryjąc własnej zdrady. Ale nawet pragnienie zemsty szybko ustąpiło wobec innych słodkich marzeń... W uszach wciąż dźwięczały mu niebiańską muzyką słowa Becky:

— Tomku, byłeś taki szlachetny!

Rozdział XXII

Zbliżały się wytęsknione wakacje. Nauczyciel, zawsze surowy, stał się jeszcze surowszy i bardziej wymagający niż zwykle. Chciał, aby szkoła dobrze wypadła w wielkim dniu egzaminów. Kij i różga rzadko teraz próżnowały, zwłaszcza w młodszych klasach. Omijały tylko dryblasów pod wąsem i nastoletnie pannice. Pan Dobbins tłukł dziatwę z rozmachem, bo chociaż ukrywał pod peruką czaszkę łysą jak kolano, był jednak mężczyzną w sile wieku i energii mu nie brakowało.

W miarę zbliżania się tego wielkiego dnia coraz jawniej wychodziły na wierzch tyrańskie zapędy nauczyciela. Najwyraźniej znajdował jakąś okrutną rozkosz w karaniu za najniewinniejsze wykroczenia. Skutek był taki, że chłopcom dnie schodziły wśród łez, męki i przerażenia, a noce wśród obmyślania straszliwej zemsty. Nie pomijali żadnej okazji, żeby spłatać nauczycielowi jakiegoś złośliwego psikusa, ale on zawsze był górą. Każda próba pomszczenia swoich krzywd kończyła się takim krwiożerczym odwetem, że uciekali z placu boju srodze poturbowani.

Wreszcie uknuli spisek i wymyślili plan, który obiecywał ostateczne zwycięstwo. Zwerbowali syna miejscowego lakiernika, powiedzieli mu o co chodzi i poprosili go o pomoc. Chłopcu bardzo przypadł ich pomysł do gustu, gdyż miał swoje własne porachunki z panem Dobbinssem, który stołował się u jego rodziców i dał mu się nieźle we znaki. Żona nauczyciela wybierała się na wieś w odwiedziny, więc żadna przeszkoda nie stała na drodze realizacji tych planów. Nauczyciel przygotowywał się zawsze do uroczystych występów w ten sposób, że przedtem pijał solidnie dla dodania sobie odwagi. Syn lakiernika obiecał, że kiedy w przeddzień egzaminów pan Dobbins znajdzie się we właściwym stanie upojenia, to wtedy on „zrobi to, co ma zrobić”, a potem obudzi go w ostatniej chwili i wyekspediuje do szkoły.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień. O godzinie ósmej wieczorem szkoła była uroczyście oświetlona i przystrojona wieńcem z liści i kwiatów. Nauczyciel siedział w swym fotelu niczym na tronie, za nim stała tablica. Z twarzy jego biła błogość i łaskawość. Trzy rzędy ławek po obu stronach podium oraz sześć pierwszych rzędów naprzeciwko zajęli goście honorowi oraz rodzice dzieci. Po lewej stronie nauczyciela, za ławkami publiczności, ustawiono dużą estradę, na której siedziały dzieci, mające wziąć udział w popisowym egzaminie: rzędy wypucowanych, wystrojonych i okropnie z tego niezadowolonych chłopczyków, rzędy dryblasów o głupawym wyglądzie oraz rzędy pękających z dumy dziewcząt z obnażonymi ramionami, przystrojonych w białe batysty i muśliny i obwieszonych biżuterią po prababci. Resztę sali wypełniała dziatwa, występująca tylko w charakterze widzów.

Rozpoczęły się uroczyste popisy. Maleńki chłopczyk z ciętym wyrazem twarzy deklamował wierszyk:

Wybaczcie, proszę, że mały chłopczyna
Tak śmiało sobie tu dzisiaj poczyną — itd.

Akompaniował sobie przy tym kurczowymi, spazmatycznymi gestami, jakby był trochę zepsutą maszyną. W śmiertelnych potach szczęśliwie dobrnął do końca wierszyka. Otrzymał rzesiste oklaski, uklonił się jak automat i zszedł ze sceny.

Maleńka, okropnie zawstydzona dziewczynka wymamrotała pod nosem:

Marysia mała
baranka miała — itd.

Zrobiła żalosny dyg, otrzymała swoją porcję oklasków i usiadła czerwona i szczęśliwa.

Potem wystąpił Tomek Sawyer. Dumny i pewny siebie, gestykulując jak opętany, grzmiącym głosem rozpoczął nieśmiertelną odę:

O, daj mi wolność lub śmierć daj!

Po tym wspaniałym początku urwał nagle w pół słowa. Chwyciła go potworna trema, kolana zaczęły się pod nim trząść, w gardle stanęła mu jakaś klucha — zatkało go zupełnie. Sympatia widzów była po jego stronie, ale sala milczała, a to było już najgorsze ze wszystkiego. Nauczyciel zmarszczył brwi i to dopełniło reszty. Tomek

walczył jeszcze, ale z mizernym skutkiem, wreszcie zszedł z estrady sromotnie pobity. Rozległy się rzadkie oklaski, które szybko zamarły.

Teraz nastąpiły: Chłopiec stał na płonącym pokładzie, Złamana moc asyryjska — i inne perełki deklamatorskie. Potem przyszły popisy w czytaniu i zawody ortograficzne. Nieliczna klasa łacińska recytowała popisowo. Nadszedł punkt kulminacyjny wieczornego programu: „oryginalne wypracowania” młodych dam. Jedna za drugą wychodziły na skraj estrady, chrząkały, podnosiły w górę manuskrypt, obwiązany zalotną wstążką, i zaczynały czytać, pracowicie wydobywając „uczucie” i pilnie uważając na znaki przestankowe. Tematy były te same, jakie w podobnych okolicznościach opiewały ich matki, babki i niewątpliwie wszystkie ich prababki, do pokolenia pamiętającego wojny krzyżowe włącznie: Przyjaźń, Wspomnienia minionych dni, Religia w dziejach, Kraina marzeń, Korzyści kultury, Formy rządów politycznych i ich porównanie, Melancholia, Miłość dziecka do rodziców, Serdeczne życzenie itd.

Nutą przewodnią tych utworów była z lubością rozdmuchiwana smętna zaduma. Dalej odznaczały się szczególnym zamięłowaniem do „pięknych zwrotów”; tak jechały na utartych wyrażeniach i metaforach, że te nieszczęsne „rumaki literackie” padały z wyczerpania. Ostatnią wreszcie osobliwością i obrzydliwością każdego z tych wypracowań był nieunikniony nadęty morał. Obojętnie, o czym była mowa, autorka tak długo pastwiła się nad tematem, aż doprowadziła go do wysoce budującego, cnotliwego i umoralniającego końca. Jest to chyba cecha charakterystyczna dla wszystkich młodych panien we wszystkich szkołach świata.

Jako pierwszy został odczytany utwór pod tytułem: Czy to jest życie?

A oto krótki fragment tego dzieła:

„Z jakim rozkosznym wzruszeniem, z jakim drżącym zachwytem, wśród szarzyzny codziennego życia, wzdycha młode serce do radosnej swawoli! Niestrudzona wyobraźnia różowymi barwami maluje cudowne obrazy przyszłego szczęścia. Oczyma duszy ta żadna rozkoszy niewolnica światowych uciech widzi siebie pośród zgiełku olśniewających przepychem zabaw. Podziwia i sama jest podziwiana. Jej wdzięczna postać, otulona śnieżnobiałą, lekką jak puch suknią, wiruje w upojnym tańcu. Z całego tłumu ludzi to jej oczy błyszczą najjaśniej, to jej krok jest najwdzięczniejszy. Wśród takich rozkosznych marzeń szybko umyka czas, aż wreszcie nadchodzi upragniona godzina, kiedy dziewczę rzeczywiście wkracza w promienną krainę swych kolorowych snów. Jakimże baśniowym czarem owiane jest wszystko w jej olśnionych oczach. Każde

nowe przeżycie wydaje jej się cudowniejszym od poprzedniego. Ale już wkrótce zaczyna pojmować, że pod tą piękną powłoką kryje się pustka i nicość. Pochlebstwa, które niegdyś słodko kołysały jej duszę, teraz brzmią w jej uszach niemiłym zgrzytem. Prysnał czar sali balowej. Z nadszarpniętym zdrowiem, zgorzkniała odwraca się od tego wszystkiego, bo wie już, że złudne ziemskie radości nie potrafią ukoić tęsknoty jej duszy!”

I tak dalej, i tak dalej. Już podczas czytania po sali przebiegały szmery uznania i aprobaty, którym towarzyszyły ściszone okrzyki: „Ach, jakie to cudowne!”, „Ach, jakie to wymowne!”, „Ach, jakie to prawdziwe!” itd. Kiedy zaś nadeszło zakończenie przyprawione szczególnie wstrząsającym morałem, zagrzmiały entuzjastyczne oklaski.

Potem podniosła się smukła dziewczyna, której melancholijna twarz odznaczała się „interesującą bladością”, co niewątpliwie miało swe źródło w pigułkach i kłopotach z trawieniem. Odczytała „poemat”. Może wystarczy następująca próbka:

Dziewczę z Missouri żegna Alabamę

Żegnaj, Alabamo ukochana, żegnaj mi!

Odchodzę dziś w dalekie strony tęskne pędzić dni!

Rozpacz wzbiera w sercu moim, ból rozsadza skronie,

Gdy cię wspomnę, Alabamo, serce we mnie płonie.

Znają mnie, ach, Twoje lasy, ich wiosenny czar,

I już widział mnie marzącą Tallapuzę jar,

Siadywałam nad jeziorem w kalinowym wianku,

Podziwiałam blask Aurory jaśniejącej o poranku.

Nie, nie wstydzę się, że z duszy rwie się rzewny szloch,

Nie rumienię się, że z oczu płyną łzy jak groch,

Bo nie obcy kraj opuszczam, idąc w szarą dal,

Bo mi żal jest szczęścia mego, bo mi domu żal!

Ach, nie obcy kraj wyciska z mych piersi westchnienie,

Ach, zostawiam Twoje miasta, ogrody i cienie!

Alabamo! Kiedy Parki przetną moją nić,

Nawet wówczas ja o Tobie tylko będę śnić!

Niewielu było takich, którzy wiedzieli coś o Aurorze i Parkach, ale wszyscy uznali „groch łez” za bardzo poetyczny i poemat ogromnie się im podobał.

Następnie pojawiła się na estradzie smągła, czarnooka i czarnowłosa panna. Zrobiła efektowną pauzę, przybrała tragiczny wyraz twarzy i zaczęła czytać miarowym, uroczystym głosem:

Wizja

Była to ciemna i burzliwa noc. Na wysokim sklepieniu niebieskim nie migotała ani jedna gwiazda. Głuche odgłosy huczących grzmotów bezustannie drżały w uszach, a straszne błyskawice gniewnie rozjaśniały mrok i zdawały się szydzić z naszego sławnego Franklina, który chciał je ujarzmić. Porywiste wichry opuściły swoje tajemnicze przybytki i szalały wokół, jakby swoim dzikim udziałem chciały spotęgować grozę widowiska. W taką godzinę, tak ciemną i przerażającą, cała moja dusza wzdychała do ludzkiego współczucia.

Gdy wtem:

Stanęła przy mym boku gwiazda-powierniczka,

Radość, szczęście, pociecha, duszy mej siostrzyczka!

Spłynęła jak jedna z owych świetlanych postaci, które w wyobraźni romantycznej młodzieży przebywają w słonecznych ogrodach Edenu, królowa piękności, nie potrzebująca ozdób, bo okryta szatą swej nieziemskiej urody i czaru. Stąpała lekko i bezszelestnie. Gdyby nie jakieś tajemnicze drżenie, którym mnie przejęło jej uduchowione dotknięcie, przeszłaby koło mnie niepostrzeżenie, zwiwna i ulotna, jak wszystko, co piękne i nieuchwytne. Dziwny smutek zdobił jej oblicze, niczym lodowe łyż na szacie Grudnia, gdy wskazała mi walczące żywioły i powiedziała, bym przyjrzała się dwóm istotom...”

Te koszmary nocne zajmowały dziesięć stron rękopisu i kończyły się morałem tak bezlitośnie zabijającym wszelkie nadzieje tych, którzy by się odważyli nie być prawowiernymi synami kościoła, że praca otrzymała pierwszą nagrodę i została uznana za największy sukces tego wieczoru. Burmistrz, wręczając autorce nagrodę, wygłosił płomienne przemówienie, w którym stwierdził, że był to najbardziej wymowny utwór, jaki słyszał w swoim życiu i że nawet wielki Daniel Webster byłby z niego dumny.

Trzeba wspomnieć, że jak zwykle najczęściej było wypracowań, w których wyraz „cudowny” oraz określenie przeżyć ludzkich jako „stronicy w księdze żywota” stanowiły główną atrakcję utworu.

Nauczyciel, którego łaskawość doszła już niemal do szczytu, odsunął krzesło, odwrócił się plecami do publiczności i zaczął na tablicy rysować mapę Ameryki, aby

przystąpić do egzaminu z geografii. Ale ręka drżała mu niepewnie, Ameryka przybrała dziwne kształty i stłumiony chichot przeleciał po sali. Wiedział, co to znaczy. Starł tablicę, zebrał się w sobie i ponownie przystąpił do rysowania. Tym razem poszło jeszcze gorzej. Chichot rósł.

Nauczyciel skupił wszystkie swoje siły, aby nie dać się zbić z tropu. Czuł, że wszyscy patrzą na niego. Zdawało mu się, że jest już na dobrej drodze, że Ameryka zaczyna wyglądać tak, jak powinna, ale pomimo to śmiech najwyraźniej się wzmacniał.

I był powód po temu. Nad salą, na poddaszu znajdowała się mała izdebka, która miała zamykany otwór w podłodze tuż nad głową nauczyciela. W tym właśnie otworze ukazał się kot zawieszony na sznurku i zaczął powoli zjeżdżać na dół. Pyszczek miał obwiązany szmatą, żeby nie miauczał. Po drodze wyginał się we wszystkie strony, usiłując zaczepić o coś pazury, ale chwycił tylko powietrze. Śmiechy stawały się coraz głośniejsze. Kot był już tylko o kilkanaście centymetrów od zajętej ważnymi sprawami głowy nauczyciela. Niżej, niżej, jeszcze trochę niżej — i kot z rozpaczą uczeplił się peruki, wbił się w nią pazurami, po czym natychmiast wyjechał w górę, trzymając w łapach zdobycz wojenną! Cóż za wspaniały blask bił teraz od лыsej głowy nauczyciela! Syn lakiernika pomalował mu ją na piękny złoty kolor!

Egzamin popisowy został przerwany. Chłopcy byli pomszczeni. Zaczęły się wakacje!!

Rozdział XXIII

Tomek wstąpił do nowego stowarzyszenia — „Wyznawców Wstrzemięźliwości”, czyli młodych abstynentów, bo urzekł go ich wspaniały mundur. Ślubował, że jako członek organizacji nie będzie palił, pił, żuł tytoniu i używał brzydkich słów. Przy okazji zrobił odkrycie, że wystarczyło tylko przyrzec, że nie będzie czegoś robił, a natychmiast strasznie mu się zachciało robić wszystkie te zabronione rzeczy. Cierpiał straszliwe męczarnie już na samą myśl o wyrzeczeniu się przeklinania i palenia. Pragnienie powrotu do dawnych przyzwyczajęń urosło do takich rozmiarów, że od wystąpienia ze związku powstrzymywała go tylko możliwość paradowania ze wspaniałą czerwoną szarfą towarzystwa. Zbliżał się czwarty lipca, ale zanim jeszcze minęły dwa dni od chwili wstąpienia do organizacji, Tomek zrezygnował z oczekiwania na to święto narodowe i całą swą nadzieję położył w starym panu Frazerze, sędzim pokoju, który podobno był już umierający. Jako wysokiemu urzędnikowi miejskiemu niewątpliwie sprawią mu

okazały pogrzeb i będzie okazja do wystąpienia w czerwonej szarfi. Przez trzy dni Tomek bardzo interesował się stanem zdrowia sędziego i zbierał o nim wszelkie informacje. Czasami sędzia rokował takie nadzieje, że Tomek już wyciągał swój wspaniały organizacyjny mundur i przymierzał go przed lustrem. Ale sędzia tak kaprysił, że aż wstyd. Wreszcie rozeszła się wieść, że mu się polepszyło i wkrótce wróci do zdrowia. Tomek obraził się na całego, uważał, że jest poszkodowany. Zgłosił więc swoją rezygnację z członkostwa w „Wyznawcach Wstrzemięźliwości”, a tej samej nocy sędzia dostał ataku i zmarł. Tomek postanowił już nigdy więcej nie ufać żadnemu sędziemu.

Pogrzeb był olśniewający. Młodzi abstynenci wystąpili z taką paradą, że były członek tej organizacjiomal nie pękł z zazdrości.

Ale za to był wolny, a to też było coś warte. Mógł teraz palić i kłąć, jednak ku swemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegł, że wcale nie ma na to ochoty. Jak tylko te rzeczy przestały być zabronione, od razu przysłał cały ich urok.

Ze zdumieniem też Tomek zrobił odkrycie, że tak upragnione wakacje zaczęły mu jakoś ciążyć.

Próbował pisać pamiętnik, gdy jednak w ciągu trzech dni nic się nie wydarzyło, zaprzestał.

Pierwszym ciekawszym zdarzeniem był przyjazd grupy murzyńskich śpiewaków. Ich występ wywołał duże wrażenie. Tomek i Joe Harper natychmiast utworzyli trupę aktorską i byli szczęśliwi przez całe dwa dni.

Nawet wielkie święto Czwartego Lipca nie udało się, bo lał deszcz, wobec czego nie było pochodu, a największy, według Tomka, człowiek na świecie, pan Benton, prawdziwy senator Stanów Zjednoczonych, sprawił mu rozczarowanie, gdyż wcale nie miał dwóch metrów wysokości i nawet daleko mu było do tego.

Przyjechał cyrk. Chłopcy także urządzili cyrk w namiotach z podartych dywanów i przez trzy dni dawali przedstawienia za opłatą trzech szpilek od chłopca, a dwóch od dziewczyny. Ale i ta zabawa szybko ich znudziła.

Potem zjawił się magnetyzer, po nim frenolog — i pojechali, a w miasteczku zrobiło się jeszcze bardziej nudno i pusto niż przedtem.

Odbędzie się kilka zabaw dziecięcych, ale były tak rzadkie i tak piękne, że nuda między jedną a drugą była jeszcze trudniejsza do zniesienia.

Becky Thatcher na czas wakacji wyjechała z rodzicami do swojego domu w Konstantynopolu — życie przestało być piękne.

Straszna tajemnica mordu gnębiła Tomka bez przerwy. Była to chroniczna choroba, bolesna i nieuleczalna.

Potem przyszła odra.

Przez dwa długie tygodnie Tomek leżał przykuty do łóżka, umarły dla świata i jego wydarzeń. Był bardzo chory i nic go nie interesowało. Gdy wreszcie stanął na nogach i chwiejnym krokiem poszedł na spacer do miasta, spostrzegł, że wszyscy ludzie ulegli jakiejś zatrważającej przemianie. Przyszło mianowicie „religijne odrodzenie” i każdy stał się ogromnie pobożny, nie tylko dorośli, ale nawet i dzieci. Tomek wałęsał się po ulicach, nie tracąc nadziei, że może uda mu się spotkać choć jedną wesołą grzeszną duszę, którą powitałby z bezgraniczną wdzięcznością, ale czekały go same rozczarowania. Joego zastał nad studiowaniem Pisma Świętego i uciekł przygnębiony tym ponurym widokiem. Do Bena Rogersa przyszedł w chwili, gdy ten akurat wybierał się w odwiedzin do ubogich, z koszykiem pełnym poczęstunków i pobożnych lektur. Potem wytropił Jima Hollisa i dowiedział się od niego, że swoją odrę powinien uważać za dobrodziejstwo i palec Opatrzności. Każdy napotkany chłopak dokładał nowy kamień do ciężaru, który Tomek nosił w sercu. A kiedy wreszcie w ostatniej rozpacz udał się po pociechę do Hucka Finna i został przez niego przywitany cytatem z Biblii, załamał się zupełnie. Dowlóknął się do domu i poszedł do łóżka, przekonany, że on jeden w całym mieście jest zgubiony i potępiony na wieki.

Tej nocy rozpętała się straszliwa burza z ogłuszającymi piorunami, oślepiającymi błyskawicami i ulewnym deszczem. Tomek nakrył głowę kołdrą i umierając ze strachu, czekał na swoje przeznaczenie, bo nie miał cienia wątpliwości, że cała ta awantura była z jego powodu. Był pewny, że nadwerżył cierpliwość potęg niebieskich — i oto są tego skutki.

Nareszcie burza się przesiliła i ucichła, nie wykonawszy swego zadania. Pierwszym odruchem Tomka było podziękować Bogu i poprawić się; drugim — jeszcze z tym zaczekać, bo druga taka burza na pewno nieprędko nadejdzie.

Następnego dnia trzeba było wezwać lekarza, bo choroba wróciła. Trzy tygodnie, spędzone w łóżku, wydały mu się całym wiekiem.

Gdy wreszcie wolno mu było wstać, wcale się nie ucieszył, że los go oszczędził. Uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny i opuszczony przez przyjaciół. Wałęsając się bez celu po ulicach, natknął się na Jima Hollisa, który wraz z innymi chłopcami zasiadał w trybunale sądowym, oskarżając kota o zabójstwo ptaszka. Dalej, w bocznej uliczce

odkrył Joego i Hucka, zajądających ukradziony melon. Biedacy, cierpieli podobnie jak Tomek.

Rozdział XXIV

Wreszcie miasteczko zostało przebudzone z letargu i to w sposób bardzo gwałtowny. Rozpoczęła się rozprawa sądowa w sprawie zabójstwa doktora. Całe miasto mówiło tylko o tej sprawie. Tomek nie wiedział, gdzie się schować. Każda wzmianka o morderstwie przenikała go zimnym dreszczem, bo udręczone sumienie i strach podpowiadały mu, że każda taka uwaga jest specjalnie zastawioną na niego pułapką. Nie miał wprawdzie pojęcia, jakim sposobem mogłoby na niego paść podejrzenie, że coś wie o mordercy, ale mimo to przy każdej takiej rozmowie czuł się bardzo nieswojo. Zaciągnął Hucka w ustronne miejsce, aby porozmawiać z nim na ten temat. Miał nadzieję, że dozna pewnej ulgi, jeśli będzie mógł się porządnie wygadać i podzielić swoim niepokojem z drugim towarzyszem niedoli. Przy okazji chciał się upewnić, czy Huck rzeczywiście nie zdradził ich tajemnicy.

— Huck, mówiłeś komuś o tym?

— O czym?

— No... wiesz przecież.

— Aha... jasne, że nikomu nic nie mówiłem.

— Ani słowa?

— Ani słoweczka, słowo daję. A czemu pytasz?

— Trochę się bałem...

— No wiesz co! Przecież gdyby to się wydało, w ciągu dwóch dni byłoby już po nas!

Tomek uspokoił się nieco. Ale po chwili znowu zapytał:

— Czy na pewno nikomu się z tego nie wygadasz?

— Co? Wiesz, jak będę chciał, żeby ten przekłęty mieszaniec mnie załatwił, to wtedy się wygadam. Inaczej nigdy!

— No, to wszystko w porządku. Ja też uważam, że póki trzymamy język za zębami, nic nam nie grozi. Ale wiesz co, przysięgnijmy dla większej pewności jeszcze raz.

— Dobra.

Ponownie złożyli przysięgę z zachowaniem straszliwego i skomplikowanego ceremoniału.

— Co ludzie gadają, Huck? Bo ja słyszałem różne rzeczy.

— Co gadają? Ciągłe tylko Muff Potter i Muff Potter. Ile razy to słyszę, to aż mnie pot oblewa i najchętniej wlaźlbym w myśnię dziurę.

— Ja to samo. Pottera chyba powieszą. Żal ci go?

— Bardzo... bardzo. Może on nie jest wiele wart, ale to chodząca pocziwość. Nigdy nikomu nie zrobił nic złego. Nałowi trochę ryb, weźmie za to parę groszy i idzie pić. Potem włóczy się za miastem. Ale, mój Boże, nikt nie jest święty... no, może pastor... Potter to porządny chłop. Raz dał mi pół ryby, choć sam drugą połówką wcale się nie najadł, i często mi pomagał, gdy byłem w biedzie.

— A mnie naprawiał latawce i przywiązywał haczyki do wędki. Ech! Gdybyśmy mogli wydostać go z więzienia!

— To niemożliwe, Tomku. Zresztą i tak by go zaraz złapali.

— To prawda. Ale nie mogę słuchać, jak ludzie wyklinają go niczym ostatniego diabła, a przecież on tego nie zrobił!

— Ja też nie mogę tego słuchać. Boże, ludzie gadają, że takiego drania jeszcze nie widzieli, i że dawno już powinien wisieć.

— A ja słyszałem, jak się zmawiali, żeby go zlinczować, gdyby mu się teraz upiekło.

— I na pewno to zrobią!

Długo jeszcze tak rozmawiali, ale nie przyniosło im to żadnej ulgi. Gdy zapadł zmrok, nogi same poniosły ich pod stojący na uboczu budynek więzienny. Kręcili się tam w nieokreślonej nadziei, że stanie się coś takiego, co zdejmie im ciężar z serca. Ale nic się nie stało. Widocznie los nieszczęsnego więźnia nie interesował ani aniołów, ani innych dobrych duchów.

Chłopcy zrobili to, co już często robili przedtem: podeszli do okratowanego okna więziennego i podali Potterowi trochę tytoniu i zapalki. Siedział w celi na parterze i nikt go nie pilnował.

Jego bezgraniczna wdzięczność za ich dary już wcześniej raniła im serca — a teraz sprawiała im istną mękę. Poczuli się najpodlejszymi tchórzami i zdrajcami na świecie, gdy Potter powiedział:

— Byliście dla mnie bardzo dobrzy, moi chłopcy, lepsi niż ktokolwiek inny. Nie zapomnę wam tego nigdy! Nieraz mówiłem do siebie: „Naprawiałem chłopcom w mieście latawce i zabawki, pokazywałem im najlepsze miejsca do łowienia ryb i byłem ich przyjacielem, a oni wszyscy zapomnieli o starym Potterze, gdy znalazł się w biedzie, tylko Tomek nie zapomniał i Huck nie zapomniał, i ja o nich również nie zapomnę”.

Tak, chłopcy, popełniłem straszną rzecz. Byłem zupełnie pijany i widocznie szal mnie ogarnął. Tylko tak mogę sobie to wytłumaczyć. A teraz będę za to wisiał, trudno. To mi się należy i może tak będzie najlepiej... Na pewno. Ale nie mówmy o tym. Nie chcę, żebyście byli smutni, bo byliście moimi przyjaciółmi. Ale jedno wam powiem: nigdy nie pijcie wódki, jeśli nie chcecie skończyć tak jak ja. Podejdźcie trochę bliżej, tak. Co to za pociecha widzieć życzliwe twarze, gdy człowiek tak nisko upadł i nikt, prócz was, nie chce mnie znać. Tylko wy ode mnie nie uciekacie! Dobrze, kochane buzie... Niech jeden wejdzie drugiemu na plecy, chciałbym was pogłaskać. Tak. Teraz podajcie mi wasze ręce. Wasze przejdą przez kraty, ale moje są za duże. Małe rączki, słabiutkie, a przecież to one tak pomogły Muffowi Potterowi i zrobiłyby jeszcze więcej, gdyby tylko mogły.

Tomek wrócił do domu kompletnie załamany. W nocy męczyły go koszmarne sny.

Przez następne dwa dni ciągle kręcił się w pobliżu sądu. Jakaś nieodparta moc pchała go do środka i musiał zbierać wszystkie siły, żeby się jej oprzeć. To samo działo się z Huckiem. Obaj unikali się jednak starannie. Co pewien czas oddalali się od budynku, ale ta sama nieprzewyciężona siła przyciągała ich z powrotem. Tomek nadstawiał uszu, gdy publiczność wychodziła z kolejnych rozpraw, ale słyszał same niepokojące wieści. Pętla coraz mocniej zaciskała się wokół szyi biednego Pottera. Pod koniec drugiego dnia opowiadano w mieście, że dowody przeciwko niemu są niezbite, zeznania pół-Indianina Joego pewne, a więc nie ma najmniejszych wątpliwości, jaki będzie wyrok ławy przysięgłych.

Tego dnia Tomek wrócił do domu bardzo późno w nocy. Wszedł przez okno. Był strasznie wzburzony. Zasnął dopiero po upływie kilku godzin.

Nazajutrz rozpoczął się ostatni etap procesu Pottera. Sala była nabita ludźmi do granic wytrzymałości. Po długim czekaniu weszli przysięgli i zajęli swoje miejsca. Zaraz potem wprowadzono zakutego w kajdany Pottera. Był blady, wynędzniały, przerażony i przybity. Wiedział, że znikąd nie może się spodziewać ratunku. Posadzono go tak, by każdy ciekawy mógł go sobie dokładnie obejrzeć. Nie mniejszą uwagę zwracał na siebie pół-Indianin Joe — z twarzą obojętną jak zwykle. W chwilę po przysięgłych wszedł sędzia. Rozpoczęło się posiedzenie. Za stołem sędziowskim nastąpiły zwykłe szepty i zbieranie akt. Te szczegóły i przedłużające się oczekiwanie wytworzyły specyficzny nastrój napięcia.

Wezwano pierwszego świadka, który zeznał, że w dniu wykrycia zbrodni, widział nad ranem Muffa Pottera, jak mył się w potoku, i że ten uciekł na widok nadchodzącego człowieka. Prokurator zadał mu kilka pytań, po czym zwrócił się do obrońcy:

— Czy obrona ma pytania do świadka?

Więzień podniósł na chwilę oczy, ale zaraz je spuścił, gdy jego obrońca oświadczył:

— Nie mam pytań.

Następny świadek zeznał, że przy zamordowanym znalazł nóż. Prokurator zapytał:

— Czy są pytania do świadka?

Obrońca znowu nie miał pytań.

Trzeci świadek zeznał pod przysięgą, że znaleziony przy ofierze nóż często widywał u Pottera.

— Czy są pytania?

— Nie mam pytań — odparł obrońca Pottera.

Na twarzach publiczności poczęło malować się zaniepokojenie. Czy ten adwokat w ogóle nie ma zamiaru bronić swojego klienta?

Dalsi świadkowie opisywali zachowanie Pottera po przyprowadzeniu go na miejsce zbrodni; zachowanie to wyraźnie świadczyło o jego winie. I oni odeszli bez pytań ze strony obrońcy.

Wiarygodni świadkowie potwierdzili każdy obciążający oskarżonego szczegół z owego pamiętnego dla wszystkich poranka. Do żadnego z nich obrońca Pottera nie miał pytań. Zdumienie i niezadowolenie publiczności wyraziło się pomrukami na sali. Sędzia musiał przywołać audytorium do porządku.

Następnie głos zabrał prokurator:

— Złożone pod przysięgą zeznania wiarygodnych osób w sposób nie budzący wątpliwości wykazują winę oskarżonego. Wobec powyższego należy uznać go winnym popełnionej zbrodni. Dochodzenie skończone.

Straszne westchnienie wydarło się z piersi Pottera. Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Na sali panowała głucha cisza. Niejeden mężczyzna był wzruszony i niejednej kobiecie łzy spływały po policzkach. Wówczas obrońca wstał i powiedział:

— Wysoki Sądzie! Na początku rozprawy zapowiedziałem przeprowadzenie dowodu, że mój klient popełnił ten straszny czyn w stanie niepoczytalności wywołanym po spożyciu alkoholu. Obecnie zmieniłem zdanie. Nie będę powoływał się na ten argument.

Tu obrońca zwrócił się do woźnego:

— Proszę wprowadzić Tomasza Sawyera!

Zdumienie i osłupienie odmalowało się na wszystkich twarzach, nie wyłączając Pottera. Wszyscy z najwyższym zaciekawieniem wbili wzrok w Tomka, gdy stanął przed sądem. Widać było, że chłopiec jest zmieszany i wystraszony.

Złożył obowiązkową przysięgę.

— Tomaszu Sawyer, gdzie byłeś siedemnastego czerwca o północy?

Tomek rzucił okiem na kamienną twarz pół-Indianina i język odmówił mu posłuszeństwa. Publiczność słuchała z zapartym oddechem, ale żadne słowo nie mogło wydostać się z ust chłopca. Po chwili jednak zebrał się w sobie i szepnął:

— Na cmentarzu.

— Proszę nieco głośniej. Nie bój się. Byłeś więc...

— Na cmentarzu!

Pogardliwy grymas przemknął po twarzy Indianina.

— Czy byłeś może w pobliżu grobu Hossego Williamsa?

— Tak jest.

— Jeszcze troszkę głośniej. Jak blisko byłeś?

— Tak jak stąd do pana obrońcy.

— Byłeś ukryty czy nie?

— Byłem ukryty.

— Gdzie?

— Za więzami, które rosną tuż nad grobem...

Pół-Indianin drgnął nieznacznie.

— Czy był jeszcze ktoś z tobą?

— Tak, proszę pana. Byłem z...

— Zaraz, zaraz. Nie wymieniaj na razie swojego towarzysza. Wezwiemy go w odpowiednim czasie. Czy miałeś coś ze sobą?

Tomek zawahał się, mocno zakłopotany.

— Mów śmiało, chłopcze. Nic się nie bój. Prawda jest zawsze godna szacunku. A więc co tam miałeś ze sobą?

— Tylko... tylko... zdechłego kota...

Po sali przeleciał lekki śmiech, natychmiast poskromiony przez sąd.

— Złożymy później szkielet tego kota jako dowód. A teraz, chłopcze, opowiedz nam wszystko, co widziałeś. Mów po swojemu, niczego nie opuszczaj i niczego się nie bój.

Tomek zaczął opowiadać — najpierw niepewnie, zająkliwie, ale potem, gdy się rozkręcił, słowa płynęły mu coraz swobodniej. Po chwili na sali zrobiło się cicho jak

makiem zasiał i słyhać było tylko głos Tomka. Wszystkie oczy wpatrywały się w niego z napięciem. Z otwartymi ustami i zapartym tchem łowiono każde jego słowo. Wszystkich porwała niesamowita groza opowiadania Tomka. Napięcie słuchaczy doszło do szczytu, gdy powiedział:

— A kiedy doktor zamachnął się wiekiem trumny, Muff Potter przewrócił się nieprzytomny, wtedy pół-Indianin Joe doskoczył z nożem i...

Brzęk! Mieszaniec z błyskawiczną szybkością rzucił się ku oknu, roztrącił stojących mu na drodze ludzi i — zniknął.

Rozdział XXV

Tomek znowu chodził w aureoli sławy bohatera, był ulubieńcem dorosłych i przedmiotem straszliwej zazdrości młodzieży. Jego nazwisko zostało nawet uwiecznione drukiem, bo miejscowy dziennik szeroko rozpisywał się o jego czynie. Było kilku takich, którzy przepowiadali, że z pewnością zostanie kiedyś prezydentem, jeżeli tylko przedtem go nie powieszą.

Jak to zwykle bywa, zmienny i bezmyślny świat przytulił teraz Muffa Pottera do swych piersi i tak samo obficie obsypywał go pochwałami, jak przedtem obelgami. Ale taki jest już porządek na tym świecie.

Dni Tomka były pełne radości i chwały, lecz noce napełniały go trwogą i przerażeniem. Pół-Indian Joe zatruwał mu wszystkie sny; w jego spojrzeniu zapisana była Tomkowi śmierć. Po zapadnięciu zmroku żadna siła nie wyciągnęłaby chłopca z domu.

Huck znajdował się w takim samym stanie. W nocy, przed ostatnim, decydującym dniem procesu, Tomek opowiedział adwokatowi Pottera całą ich przygodę na cmentarzu i teraz Huck żył w śmiertelnym strachu, że jego udział w tej sprawie również wyjdzie na jaw, chociaż ucieczka Joego ocaliła go przed męką publicznego składania zeznań. Wprawdzie biedak wymógł na obrońcy przyrzeczenie zachowania jego udziału w tajemnicy, ale co z tego? Od czasu, gdy udręczone sumienie zaprowadziło Tomka w nocy do mieszkania adwokata i kazało mu wyznać straszną tajemnicę, którą chroniły przecież najgroźniejsze i najpotężniejsze przysięgi wieczystego milczenia, Huck stracił zaufanie do ludzi.

Wdzięczność Muffa Pottera napełniała Tomka radością, że wszystko powiedział, ale tylko w dzień. W nocy żałował, że jednak nie trzymał języka za zębami. Z jednej strony

bał się, że Indianina nigdy nie złapią, a z drugiej był przerażony, że go w końcu schwytają. Jednego tylko był pewny: nie zaśnie spokojnie dopóki ten straszny człowiek nie stanie się martwy, i dopóki on na własne oczy nie ujrzy jego trupa.

Wyznaczono nagrody za złapanie uciekiniera, przeszukano całą okolicę, ale po pół-Indianinie wszelki ślad zagał. Z miasta St. Louis przyjechał detektyw, jeden z tych fenomenów, co to od razu wszystko wiedzą. Węszył w okolicach miasteczka, mądrze kręcił głową, robił tajemnicze miny i wreszcie osiągnął zdumiewające rezultaty, do których zawsze dochodzą ludzie tego kalibru, mianowicie — wpadł na trop. Ale „tropu” nie można powiesić zamiast mordercy. Toteż, gdy detektyw po tym olśniewającym sukcesie odjechał, niepokój Tomka pozostał taki sam, jak przedtem.

Dni upływały wolno jeden za drugim, a każdy z nich zabierał ze sobą trochę tego ciężaru, który przygniatał serce Tomka.

Rozdział XXVI

Na każdego normalnie rozwijającego się chłopca przychodzi w życiu taki czas, kiedy budzi się w nim gwałtowne pragnienie poszukiwania ukrytych skarbów. To pragnienie pewnego pięknego dnia opanowało również Tomka. Od razu poleciał do Joego Harpera, ale nie zastał go w domu. Potem szukał Bena Rogersa, lecz ten poszedł na ryby. Naraz natknął się na Hucka Finna. Huck doskonale nadawał się do tego przedsięwzięcia. Tomek zaprowadził go w ustronne miejsce i w zaufaniu powiedział mu, o co chodzi. Huck nie miał nic przeciwko temu. Zawsze gotów był na udział w każdej zabawie, która obiecywała rozrywkę, a nie wymagała kapitału, bo rozporządzał wprost kłopotliwym nadmiarem wolnego czasu.

— Gdzie będziemy kopać? — zapytał Huck.

— Och, gdziekolwiek.

— Jak to, czy wszędzie ukryte są skarby?

— Oczywiście, że nie. Są zakopane w różnych osobliwych miejscach, czasem na wyspach, czasem w starych skrzyniach między korzeniami olbrzymich drzew, najczęściej tam, gdzie o północy pada cień księżyca, a czasem pod progiem domów, w których straszy.

— A kto je zakopuje?

— No, zbójcy... A co, myślałeś, że pastor?

— Skąd mam wiedzieć? Ja jakbym miał taki skarb, to na pewno bym go nie zakopał. Wydawałbym pieniądze i żyłbym sobie szczęśliwie.

— Ja tak samo. Ale zbójcy tak nie robią. Zakopują skarb i zostawiają.

— I nie przychodzą, żeby go zabrać?

— Nie. Wprawdzie mają zamiar kiedyś go zabrać, ale albo zapominają, jakie zrobili znaki orientacyjne, albo wcześniej umierają. A skarb leży i leży, tak długo aż ktoś wreszcie znajdzie stary, pożółkły papier, na którym narysowana jest mapa i szyfr. Nad takim papierem trzeba nieraz ślęczeć cały tydzień, zanim się go odcyfruje, bo ten szyfr najczęściej napisany jest hieroglifami.

— Hiero... co?

— Hieroglifami... a może hieroplitami... no, w każdym razie takimi obrazkami i tak dalej, które wyglądają tak, jakby nic nie znaczyły.

— A ty masz taki papier?

— Nie.

— To jak chcesz znaleźć skarb bez mapy?

— A na co mi mapa? Oni zawsze zakopują pod jakimś domem, gdzie straszy, albo na wyspie, albo pod uschniętym drzewem z wystającym korzeniem. Próbowaliśmy już trochę na Wyspie Jacksona, a teraz możemy spróbować tutaj. Mamy przecież w okolicy ten stary nawiedzony dom nad potokiem Cichego Domu, a tam jest cała masa uschniętych drzew.

— Czy skarb jest pod każdym takim drzewem?

— No coś ty! Jasne, że nie!

— To skąd będziesz wiedział, do którego się zabrać?

— Musimy kopać pod wszystkimi.

— Zwariowałaś, Tomek?! Przecież to nam zajmie cały rok!

— No i co z tego? Ale za to wyobraź sobie, że znajdujesz stary zaśniedziałły garnek, a w nim sto błyszczących dolarów, albo skrzynkę z diamentami? Co?

Huckowi zaświeciły się oczy.

— To byłoby super! Wiesz co, daj mi te sto dolarów, a diamenty możesz sobie zabrać!

— W porządku. Ręczę ci, że nie pogardzę diamentami. Czasami jeden taki kamyczek warty jest dwadzieścia dolarów, a nie ma ani jednego, za którego nie dostałbyś przynajmniej pół dolara.

— Serio?!

— Jasne! Każdy ci to może potwierdzić. Czy ty nigdy nie widziałeś diamentu, Huck?

- Raczej nie.
 - To pomyśl sobie, że królowie mają ich na pęczki, dosłownie całe worki.
 - No tak, ale ja nie znam żadnego króla.
 - Ja myślę! Za to jakbyś pojechał do Europy, to byś zobaczył, ilu ich tam gania po ulicach.
 - Poważnie? Ganiają po ulicach?
 - Zwariowałeś? Jasne, że nie ganiają!
 - No to czemu mówisz, że ganiają?
 - O rany! Chciałem tylko powiedzieć, że jest ich tam cała masa, rozumiesz? I że w ogóle mógłbyś ich zobaczyć; na przykład takiego starego garbatego Ryszarda...
 - Ryszarda? A jak on ma na nazwisko?
 - On wcale nie ma nazwiska. Królowie nie mają nazwisk, tylko imiona.
 - E tam! Nie mają nazwisk?
 - Nie mają, a co?
 - Nic. Niech sobie nie mają, jak im się tak podoba. Ale ja nie chciałbym być królem i mieć tylko imię, jak Murzyn. Słuchaj, Tomek, a gdzie ty właściwie chcesz zacząć kopać?
 - Jeszcze nie wiem. Może zabierzemy się do tego starego, uschniętego drzewa na wzgórzu, po drugiej stronie potoku Cichego Domu?
 - Dobra!
- Wytrzasnęli jakąś starą, kulawą motykę oraz pogiętą łopatę i ruszyli za miasto. Mieli przed sobą trzy kilometry drogi. Przyszli na miejsce zgrzani i zziądani. Rzucili się na ziemię w cieniu pobliskiego wiąz, by odpocząć i zapalić fajki.
- Podoba mi się to — oświadczył Tomek.
 - Mnie też.
 - Powiedz, Huck, jeżeli znajdziemy tutaj skarb, to co zrobisz ze swoją częścią?
 - Codziennie będę sobie kupował kawałek tortu i szklankę wody sodowej i będę chodził do każdego cyrku, który do nas przyjedzie. To dopiero będzie życie!
 - I nic nie będziesz odkładał na przyszłość?
 - A po co mam odkładać?
 - No, żebyś miał później z czego żyć.
 - To by się na nic nie zdało, bo kiedy pewnego dnia mój stary wróci do naszego miasta, to zaraz położy łapę na wszystkich pieniądzach, których nie zdążę wydać.

Gwarantuję ci, że on by się szybko uporał z moim skarbem. A ty, Tomek, co zrobisz ze swoją połową?

— Kupię sobie nowy bęben, prawdziwy miecz, czerwony krawat i małego buldoga, a potem się ożenię.

— Ożenisz się?

— Aha!

— Tomek! Czyś ty zwariował?!

— Poczekaj tylko, a sam zobaczysz.

— Człowieku, przecież to jest najgorsze głupstwo, jakie można zrobić! Popatrz na moich starych. Nic, tylko się bili. Tłukli się dosłownie bez przerwy. Dobrze to pamiętam!

— I co z tego? Dziewczyna, z którą ja się ożenię, nie będzie się biła.

— Daj spokój, Tomek! One wszystkie są takie same. Ty się lepiej poważnie zastanów. A jak się nazywa ta twoja dziewczucha?

— To nie dziewczucha, tylko dziewczyna.

— Wszystko jedno. I tak wychodzi na to samo. No więc jak ona się nazywa?

— Powiem ci kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

— Jak chcesz, nie pali się. Tylko, że jak ty się ożenisz, to ja już zostanę zupełnie sam na świecie.

— Coś ty! Będziesz mieszkał razem z nami! No, ale teraz trzeba wstać i zabrać się do kopania.

Przez pół godziny pracowali w pocie czoła. Bez rezultatu. Męczyli się następne pół godziny — znowu nic. Pierwszy nie wytrzymał Huck:

— Czy oni zawsze tak głęboko zakopują? — wysapał.

— Czasami, ale nie zawsze. Na ogół nie. Chyba wybraliśmy złe miejsce.

Wybrali więc inne i zaczęli kopać na nowo. Szło im ciężko, ale praca posuwała się naprzód. Jakiś czas kopali w milczeniu. Wreszcie Huck oparł się na łopacie, otarł rękawem pot z czoła i zapytał:

— Gdzie chcesz kopać potem, gdy tu skończymy?

— Może zabierzemy się do tego starego drzewa na wzgórzu Cardiff, za domem wdowy Douglas?

— Zdaje się, że to będzie dobre miejsce. Ale czy wdowa nie odbierze nam skarbu? Przecież to jest jej ziemia.

— Ha! Niech tylko spróbuje zabrać! Zakopany skarb należy do tego, kto go znalazł. Nieważne, na czym był terenie.

To uspokoiło Hucka. Znowu podjęli pracę. Po pewnym czasie Huck powiedział:

— Do licha! Chyba znowu kopujemy w złym miejscu. Jak myślisz?

— Wiesz, Huck, to jest bardzo podejrzane. Nie rozumiem, dlaczego tym razem nie trafiliśmy na właściwe miejsce. Czasami przeszkadzają czarownice. Zdaje się, że to któraś z nich weszła nam w drogę.

— Bzdura! Przecież w dzień czarownice nie mają żadnej mocy!

— Prawda, nie przyszło mi to do głowy... Już wiem! Wiem, co jest grane! Ale z nas osły! Przecież najpierw trzeba sprawdzić, gdzie pada cień drzewa o północy, a dopiero potem kopać w tym miejscu!

— O kurczę, rzeczywiście! A myśmy się tu pocili jak dwa barany! Niech to diabli! Nie ma co, musimy tu przyjść w nocy. Taki kawał drogi. Będiesz mógł wyjść z domu?

— No pewnie! Musimy tu przyjść jeszcze dzisiaj, bo jak ktoś zobaczy te dziury, to zaraz zorientuje się, co jest grane i sprzątnie nam skarb sprzed nosa.

— W takim razie przyjdę dziś w nocy pod twój dom i będę miauczał.

— Dobrze. A teraz schowajmy te narzędzia w krzakach.

Krótko przed północą chłopcy dotarli do umówionego miejsca. Siedzieli pod drzewem i czekali. Miejsce było odludne, a nocna, tradycyjna godzina duchów — groźna i uroczysta. Słysząc było jakieś tajemnicze szepty wśród drzew; w mrocznych zakątkach czaiły się widma, w oddali głucho wył pies, grobowym głosem sekundował mu puchacz. Na chłopców powiało grozą. Milczeli, trwożnie rozglądając się wokół. Wreszcie uznali, że północ już nadeszła. Zaznaczyli miejsce, gdzie padał cień od księżyca i zaczęli kopać. Nadzieje ich rosły; z zapalem odrzucali kolejne warstwy ziemi. Dół był coraz głębszy, ale ilekroć łopata uderzała o coś twardego, a im serca zamierały z radosnego oczekiwania, spotykało ich nowe, bolesne rozczarowanie — był to tylko kamień albo korzeń. Wreszcie Tomek odezwał się:

— To nie ma sensu, Huck. Znowu kopujemy w złym miejscu.

— To niemożliwe. Przecież dokładnie odmierzyliśmy cień.

— Wiem, ale coś tu jest nie tak.

— Co może być nie tak?

— Nie zgadliśmy, kiedy była północ. Odmierzyliśmy cień za wcześnie albo za późno. Huck upuścił łopatę.

— Racja! — chwycił się za głowę. — Oczywiście! Nie ma co dalej kopać. Nigdy nie będziemy dokładnie wiedzieli, kiedy jest północ. A poza tym tutaj jest tak strasznie w nocy. Na pewno roi się tu od czarownic i duchów. Ciągłe mi się zdaje, że coś stoi za mną, ale boję się odwrócić, bo może przede mną też czai się jakieś lichy, które tylko czeka, żebym się odwrócił... Aż mnie ciarki przechodzą, jak o tym myślę.

— Ja też mam stracha. A w dodatku muszę ci powiedzieć, że jak zbójcy zakopują skarb, to zawsze kładą na nim nieboszczyka, żeby go pilnował...

— Jezus Maria!

— To prawda. Tysiąc razy o tym słyszałem.

— Tomek, ja nie chcę mieć do czynienia z nieboszczykami. Z nimi nie ma żartów. Zawsze sprowadzają jakieś kłopoty.

— Ja też nie chcę z nimi zaczynać. Jeszcze by ten, co tu leży, wystawił nagle czaszkę i zagadał do nas...

— Tomek! Proszę cię, daj spokój! To jest straszne!

— No chyba. Ja też się boję.

— Słuchaj, zostawmy to miejsce w spokoju i spróbujmy gdzie indziej.

— Dobra. Tak będzie najlepiej.

— Tylko gdzie?

Tomek myślał chwilę i powiedział:

— Nawiedzony dom! Tylko tam!

— Dziękuję bardzo! Nie lubię takich domów. Duchy są jeszcze gorsze od nieboszczyków. Taki truposz może wprowadzić coś powiedzieć, ale przynajmniej nie płacze się koło ciebie w całunie, nie wygląda ci nagle przez ramię i nie zgrzyta zębami, jak to robią duchy. Tomek, tego bym nie wytrzymał... tego by nikt nie wytrzymał.

— No tak, ale duchy chodzą tylko w nocy, a jeśli będziemy kopali w dzień, to nic nam nie zrobią.

— Dobra, dobra. Sam wiesz, że do tego domu nikt nie odważa się wejść nawet w biały dzień.

— To tylko dlatego, że w tym domu został ktoś zamordowany. Ale przecież nikomu nie pokazał się tam żaden duch. Najwyżej widziano w oknach jakieś niebieskawe światełka...

— Możesz być pewien, Tomku, że gdzie się pokażą takie niebieskawe światełka, tam i duch jest blisko. Tylko duchy używają takich światełek.

— Wiem, ale w końcu pokazują się w dzień, a nie w nocy, więc czego tu się bać?

— W porządku, niech ci będzie. Zabierzemy się do tego nawiedzonego domu, chociaż to dosyć ryzykowna sprawa.

Tak rozmawiając, powoli schodzili ze wzgórza. Przed nimi, w oświetlonej księżycem dolinie, stał samotnie nawiedzony dom. Płot wokół niego dawno się już zawalił, bujne zielsko porastało próg, komin sypał się w gruzy, otwory okien ziały pustką po szybach i ramach, dach opadł z jednej strony niemal do ziemi. Chłopcy pilnie patrzyli w okna, czy nie błysnie w nich przypadkiem niebieskie światelko. Mówili do siebie szeptem, jak tego wymagała pora i okoliczności. Potem okrążyli dom wielkim łukiem i puścili się do domu przez gęsty las, porastający drugą stronę wzgórza Cardiff.

Rozdział XXVII

Następnego dnia koło południa chłopcy powrócili pod uschnięte drzewo, aby zabrać narzędzia. Tomek aż się palił, żeby jak najprędzej pójść do nawiedzonego domu. Zapał Huka był dużo mniejszy. Nagle zawołał:

— Czekaj no, Tomek! Wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

Tomek przebiegł w myślach dni tygodnia i z przerażeniem spojrzał na Huka.

— O kurczę! Zupełnie mi to wyleciało z głowy!

— Mnie też. Dopiero w tej chwili przypomniałem sobie, że dzisiaj jest piątek!

— Niech to diabli wezmą! Człowiek nigdy nie może być dość ostrożny. Ładnie byśmy się wpakowali, nie ma co mówić!

— Mogliśmy? Powiedz raczej: wpadlibyśmy na całego! Przecież piątek to pechowy dzień!

— Sam o tym wiem. Nie myśl, że ty pierwszy zrobiłeś to odkrycie.

— Wcale tego nie powiedziałem. Mówiłem coś takiego? No właśnie. A zresztą, pomijając piątek, miałem dziś w nocy okropny sen. Śniły mi się szczury.

— Poważnie? To oznacza zmartwienie. Gryzły się?

— Nie.

— Chwała Bogu. Jeżeli się nie gryzą, to znaczy, że zmartwienie dopiero chodzi gdzieś za nami. Trzeba tylko dobrze uważać, a można mu się jeszcze wywinąć. W każdym razie chwilowo dajemy spokój naszej sprawie. Możemy się fajnie zabawić. Znasz Robin Hooda?

— Nie. A kto to jest?

— Ha! To był jeden z największych i najszlachetniejszych mężów, jacy w ogóle żyli w Anglii. Był zbójcą.

— Świetnie! Ja też chciałbym być zbójcą. A kogo on załatwiał?

— Tylko szeryfów, biskupów, bogaczy, królów i innych takich. Ale biedaków nigdy nie zaczepiał. Kochał ich i zawsze uczciwie dzielił się z nimi łupami.

— Klawy gość!

— No jasne! To był wzór cnót rycerskich. Dzisiaj nie ma już takich ludzi na świecie, możesz mi wierzyć. Jak mu jedną rękę zawiązali na plecach, to i tak drugą mógł każdego pokonać. A strzałą ze swojego cisowego łuku trafiał w monetę na kilometr.

— Co to jest cisowy łuk?

— Nie wiem. To po prostu jakiś łuk. A jak zdarzyło się, że przypadkiem nie trafił w sam środek monety, tylko trochę z boku, to siadał i kłął. Więc zabawimy się w Robin Hooda. To kapitalna zabawa. Ja cię nauczę.

Przez całe popołudnie bawili się w Robin Hooda, od czasu do czasu posyłając tęskne spojrzenia w stronę nawiedzonego domu i robiąc krótkie uwagi o planach na następny dzień. Gdy słońce poczęło się już chylić ku zachodowi, ruszyli do domu, przeskakując dla zabawy długie cienie drzew.

W sobotę, zaraz po obiedzie, zjawili się przy starym drzewie. Zapalili fajki, pogadali w cieniu, a potem pogrzebali trochę w wykopanej jamie. Robili to bez przekonania, ale Tomek powiedział, że często ludzie porzucali robotę, gdy zaledwie kilka centymetrów dzieliło ich od skarbu — potem przychodził ktoś inny i jednym pchnięciem łopaty zagarniał wszystko. Jednak i tym razem nie mieli szczęścia. Wzięli więc narzędzia na plecy i odeszli z czystym sumieniem, że uczciwie zrobili wszystko, co należało do obowiązków prawdziwych poszukiwaczy skarbów.

Stanęli przed nawiedzonym domem. W martwej ciszy, jaka tu panowała pod prażącymi promieniami słońca, była jakaś groza i niesamowitość. Samotność i opuszczenie tego straszego miejsca działały tak przygnębiająco, że chłopcy przez chwilę nie mieli odwagi wejść do środka. Potem na kolanach podkradli się do drzwi i z drżeniem serca zajrzeli do wnętrza. Zobaczyli pokój bez podłogi, zarośnięty zielskiem, ściany odarte z tynku, resztki pieca, puste otwory okien, rozwalone schody i wszechobecną pajęczynę. Weszli ostrożnie, na palcach, z zapartym oddechem. Mówili szeptem, łowiąc uszami najlżejsze szmery; napięte mięśnie przygotowane były na pierwszy sygnał do ucieczki.

Szybko jednak oswoili się z sytuacją i pozbyli strachu. Z wielkim zainteresowaniem dokładnie obejrzelik pokój, zachwyceni i zdziwieni swoją własną odwagą. Potem postanowili zajrzeć na górę. Oznaczało to odcięcie sobie drogi odwrotu, ale pokrzepiając się wzajemnie na duchu, rzucili narzędzia w kąt i weszli po rozwalonych schodach na górę. Ujrzelik taką samą ruinę, jak na dole. W rogu odkryli komórkę. Wyglądała bardzo tajemniczo i obiecująco, ale sprawila im zawód, bo była pusta. Odwaga wróciła im w całej pełni. Właśnie postanowili zejść na dół i wziąć się do pracy, gdy nagle...

— Pst! — ostrzegł Tomek.

— Co takiego? — szepnął Huck, poblady ze strachu.

— Słyszysz?

— Tak! Jezu! Uciekajmy!

— Cicho! Nie ruszaj się! Właśnie dochodzą do drzwi.

Chłopcy rzucili się na podłogę, przytknęli oczy do szpar pomiędzy deskami i leżeli w śmiertelnym strachu.

— Stanęli... Nie, idą dalej... Już są! Ani słowa, Huck! Boże! Chciałbym być daleko stąd!

Weszło dwóch mężczyzn. Obaj chłopcy poznali starego, głuchoniemego Hiszpana, który niedawno pojawił się w mieście, ale drugiego nigdy przedtem nie widzieli.

„Drugi” — był to jakiś obszarpany, brudny, rozczochrany drab, o odpychającym wyrazie twarzy. Hiszpan miał na sobie szeroką pelerynę; długie, białe, skudłone włosy przykrywał mu stary rozłożysty kapelusz, oczy osłaniały wielkie zielone okulary, szczeciniasta broda była dawno nie strzyżona. Gdy wchodzili, „drugi” mówił coś ściszoneg głosem. Potem usiedli na ziemi, twarzą do drzwi i oparli się plecami o ścianę. „Drugi” mówił dalej. Stawał się coraz bardziej pewny siebie i nie ściszał już głosu.

— Nie — powiedział — zastanowiłem się dobrze i nie piszę się na to. To niebezpieczna sprawa.

— Niebezpieczna! — warknął „głuchoniemy” Hiszpan, ku ogromnemu zdumieniu chłopców. — Jesteś zwykłym tchórzem!

Na ten głos chłopcy zmartwieli z przerażenia. Poznali go. To był pół-Indianin Joe!

Jakiś czas na dole panowała cisza. Potem odezwał się Joe:

— Nie ma chyba bardziej niebezpiecznej rzeczy, niż to, co teraz zrobiłem w mieście, i nic się nie wydało.

— To było co innego. Nad rzeką i żadnego domu w pobliżu. Zresztą jak się mogło wydać, jeśli nic nam z tego nie wyszło.

— Nie podoba mi się, że przychodzimy tu w biały dzień. Ktoś nas zobaczy i w końcu się połapią.

— Wiem, ale po tamtej robocie nie było lepszego miejsca na kryjówkę, niż ta chałupa. Fakt, że trzeba się wynieść z tej budy. Chciałem to zrobić już wczoraj, ale nie mogłem, bo te cholerne chłopaczyska bawiły się na wzgórzu i ciągle się tutaj gapily.

„Cholerne chłopaczyska” zadrżały przy tych słowach. Pomyśleli, jakie mieli szczęście, że przypomnieli sobie o piątku i postanowili poczekać do następnego dnia. W duchu żalowali, że nie czekali jeszcze cały rok.

Obaj mężczyźni wydobyli przyniesione ze sobą jedzenie i w milczeniu zabrali się do posiłku. Po jakimś czasie odezwał się Indianin:

— Słuchaj, bracie, pójdziesz teraz nad rzekę, tam skąd przyszedłeś, i będziesz czekał, aż dam ci znać. Ja jeszcze raz spróbuję dostać się do miasta i rozejrzę się trochę. Do tej „niebezpiecznej” roboty weźmiemy się później. Najpierw muszę wy badać szanse i poczekać na odpowiedni moment. A potem — do Teksasu! Razem damy sobie radę.

Na tym stanęło. Po chwili zaczęli ziewać i Joe powiedział:

— Spać mi się chce jak diabli! Teraz twoja kolej na czuwanie.

Zaszył się w zielsko i wkrótce zaczął pochrapywać. Towarzysz trącił go kilka razy w ramię i chrapanie ustało. Niebawem wartownik także zaczął się kiwać, głowa opadała mu coraz niżej i niżej — po chwili obaj chrapali w najlepsze.

Chłopcy odetchnęli z ulgą. Tomek szepnął:

— Teraz! Chodźmy!

Huck odparł:

— Nie mogę! Dostałbym zawału serca, gdyby się obudzili!

Tomek parł do przodu, Huck ciągnął w tył. Wreszcie Tomek wolno i ostrożnie podniósł się sam. Ale ledwie zrobił pierwszy krok, przegniła podłoga zaskrzypiała tak przeraźliwie, że padł plackiem na pół żywy ze strachu. Drugi raz już nie próbował. Leżeli, licząc wlokące się minuty, aż wreszcie zaczęło im się zdawać, że czas stanął w miejscu, a nawet wieczność zdążyła posiwieć. Wreszcie z ogromną radością zobaczyli, że słońce jednak zmierza ku zachodowi.

Jedno chrapanie ustało. Joe wstał, potoczył dokoła zaspanym wzrokiem, skrzywił się pogardliwie na widok towarzysza, śpiącego z głową na kolanach, trącił go nogą i powiedział:

— Hej, ty! Dobry z ciebie wartownik! Całe szczęście, że nic się nie stało!

— Do kata! Naprawdę spałem?

— Owszem. Ale teraz pora w drogę. Co robimy z resztą forsy?

— Nie wiem. Najlepiej zostawić ją tutaj, tak jak zawsze. Nie ma sensu włączyć się z tym, dopóki nie wyniesiemy się całkiem na południe. Sześćset pięćdziesiąt sztuk srebra, jest co dźwigać.

— No, dobra. W takim razie trzeba będzie przyjść tutaj jeszcze raz.

— Najlepiej w nocy, tak będzie bezpieczniej.

— Dobrze. Wiesz co? Nie wiadomo, ile czasu upłynie, zanim nadejdzie odpowiednia chwila do wykonania naszego planu, a to nie jest najlepsze miejsce na przechowywanie pieniędzy. Tym razem trzeba je zakopać, i to dosyć głęboko.

— Racja! — odparł kompan Joego.

Podszedł do komina, klęknął, wyjął cegłę z drugiej strony paleniska i wydobyl woreczek, który zabrzęczał dźwięcznie. Wyjął z niego trzydzieści czy czterdzieści dolarów dla siebie, tyle samo dla Indianina i oddał mu woreczek. Joe klęknął w progu i zaczął grzebać w ziemi swoim potężnym nożem.

Chłopcy w jednej chwili zapomnieli o strachu i swoim fatalnym położeniu. Z błyszczącymi oczami śledzili każdy ruch Indianina. Co za nieprawdopodobne szczęście! Jego ogrom przechodził ich najśmielsze marzenia! Sześćset dolarów to była suma, która sześciu chłopców mogła zamienić w prawdziwych bogaczy! Co za piękne widoki dla poszukiwaczy skarbów! Już nie trzeba szukać miejsca do kopania! Raz po raz tręcali się łokciami w niemym porozumieniu: „Czy teraz nie cieszysz się, że jesteś tutaj?”

Nóż Joego uderzył w coś twardego.

— Ejże! — zawołał.

— Co takiego? — zapytał jego kompan.

— Jakaś stara deska... Nie, to chyba skrzynia... Chodź no tutaj, pomożesz mi to wyjąć. Zobaczymy, co tam jest. Zaraz, czekaj... niechący wybiłem dziurę w tej skrzyni...

Sięgnął ręką.

— Chłopie! To pieniądze!

Obaj z uwagą oglądali garść wydobytych monet. Były złote. Chłopcy na górze byli nie mniej przejęci i zachwyceni niż bandyci na dole.

Kompan Joego odezwał się pierwszy:

— Z tym poradzimy sobie szybko. Za piecem leży jakaś stara łopata. Przed chwilą ją tam widziałem.

Skoczył i przyniósł porzucone narzędzia chłopców. Joe wziął łopatę, obejrzał ją uważnie, pokręcił głową, mruknął coś do siebie i zabrał się do roboty.

Wkrótce skrzynia była na wierzchu. Niezbyt wielka, okuta żelazem — musiała być kiedyś bardzo mocna, zanim czas ją nadwątlił. Przez chwilę oglądali skarb w niemym zachwycie.

— Człowieku, tu są grube tysiące! — powiedział pół-Indianin.

— Podobno banda Murrela grasowała tu kiedyś przez jedno lato — zauważył jego kompan.

— Wiem o tym — odparł Joe. — Zdaje się, że to ich robota.

— Teraz nie musisz już zawracać sobie głowy tamtą sprawą.

Mieszaniec zmarszczył brwi.

— Nie znasz mnie. Zresztą nie wiesz, o co tak naprawdę chodzi w tej sprawie. Wcale nie o rabunek. To ma być zemsta. — Oczy błysnęły mu groźnie. — Potrzebuję do tego twojej pomocy. Gdy się z tym załatwimy, wtedy jazda do Teksasu! Wracaj do domu do swojej starej i bachorów. Czekać tylko na mój znak.

— Niech i tak będzie. A co z tym zrobimy? Zakopimy z powrotem?

— Tak — (Zachwyt na górze). — Nie! Do diabła, nie! — (Głębokie rozgoryczenie na górze). — Omal nie zapomniałem. Na tej łopacie była świeża ziemia! — (Chłopcy umierają ze strachu). — A w ogóle co tutaj robi motyka i łopata? Kto to przyniósł? Widziałeś coś, albo słyszałeś? Zakopać, żeby tu wrócili i zobaczyli świeżą ziemię? Nie ma głupich! Zabierzemy to do mojej kryjówki.

— Tak, rzeczywiście! Sam mogłem na to wpaść. Masz na myśli numer pierwszy?

— Nie. Numer drugi. Pod krzyżem. Pierwszy jest niebezpieczny, za dużo ludzi się tam kręci.

— W porządku. Hej, już się ściemnia. Możemy stąd iść.

Pół-Indianin wstał i kolejno obszedł wszystkie okna, wyglądając ostrożnie na zewnątrz i oceniając sytuację. Nagle powiedział:

— Kto mógł przynieść tutaj te narzędzia? Może ktoś jest na górze?

Chłopcy zamarli z przerażenia. Mieszaniec wziął nóż, przez chwilę stał niezdecydowany i... skierował się w stronę schodów. Chłopcom przyszła na myśl komórka, ale ze strachu nogi odmówiły im posłuszeństwa. Joe szedł powoli po skrzypiących schodach. Sytuacja stawała się rozpaczliwa. Pod wpływem grozy położenia chłopcy odzyskali naraz siły i już mieli skoczyć do komórki, gdy nagle —

trach! Rozległ się trzask zbutwiałych desek i Joe znalazł się na ziemi wśród szczątków zawalonych schodów. Pozbierał się, klnąc na czym świat stoi.

— Po kiego diabła się tam pchasz? — powiedział lekceważąco jego kompan. — Jeśli nawet ktoś tam jest, to niech sobie siedzi do samej śmierci. Albo niech teraz skacze i skręci kark. Co nam do tego? Za piętnaście minut będzie już zupełnie ciemno; niech sobie idzie za nami, jeśli ma ochotę. Proszę bardzo. Zresztą jestem przekonany, że ten, kto zostawił te narzędzia, kiedy nas zobaczył, pomyślał, że to duchy albo diabły i wiał stąd, aż się za nim kurzyło.

Joe mruczał jeszcze gniewnie, ale przyznał, że resztki dnia trzeba wykorzystać na przygotowanie się do drogi. W kilka chwil potem wymknęli się z domu i pod osłoną zmroku ponieśli skrzynię ku rzece.

Tomek i Huck podnieśli się, bladzi jeszcze ze strachu, i z ogromną ulgą przez szpary w ścianach patrzyli za odchodzącymi. Nie mieli najmniejszego zamiaru iść za nimi. Byli szczęśliwi, że udało im się cało wyjść z tej przygody. Z niemałym trudem zeszli na dół i popędzili do miasta. Nie mówili wiele. Za to porządnie wściekali się na samych siebie. Mieć takiego pecha! Gdyby nie te przekłete narzędzia, Joe nic by nie podejrzewał. Ukryłby złoto i srebro tam, gdzie były przedtem, zajęłby się załatwianiem swojej zemsty, a przez ten czas skarb dyskretnie by się ulotnił. Co za pech z tymi narzędziami!

Postanowili mieć Hiszpana na oku, gdyby pokazał się w mieście. Przysięgli sobie, że pójdą za nim pod „numer drugi” choćby do samego piekła.

Naraz przerażające podejrzenie przeszło mózg Tomka:

— Zemsta? Huck! Czy on miał na myśli nas?!

— Chyba nie... — pod Huckiem ugięły się kolana.

Zastanawiali się nad tym przez całą drogę. Kiedy wchodzili do miasta, byli już zgodni co do tego, że Indianin prawdopodobnie myślał o kimś innym, zaś w najgorszym razie chodziło mu tylko o Tomka, bo to właśnie on zeznawał w sądzie...

Tomek wcale nie poczuł się pocieszony myślą, że jedynie jemu grozi niebezpieczeństwo. Uważał, że o wiele większą pociechą byłoby mieć w niebezpieczeństwie jakieś towarzystwo.

Rozdział XXVIII

Przygody tego dnia dręczyły Tomka w nocy w postaci koszmarnych snów. Cztery razy miał już skarb w rękach i cztery razy rozpływał mu się on w nicość. Za każdym

razem budził się gwałtownie i przeżywał gorycz rozczarowania. Gdy wczesnym rankiem, leżąc w łóżku, zaczął przypominać sobie szczegóły wyprawy do nawiedzonego domu, nie mógł odtworzyć ich dostatecznie wyraźnie. Wszystkie wydarzenia zasnuły się lekką mgiełką nierealności, jakby działy się w innym świecie lub w zamierzchłej przeszłości. Potem przyszło mu na myśl, że cała ta przygoda po prostu mu się przyśniła. Potwierdzał to jeden bardzo poważny argument: widział wtedy taką ogromną ilość pieniędzy, że to nie mogła być prawda. Do tej pory nigdy w życiu nie widział naraz więcej niż pięćdziesiąt dolarów i jak wszyscy chłopcy w jego wieku i jego sytuacji majątkowej, uważał wszelkie wzmianki o „setkach” i „tysiącach” za piękne wymysły dorosłych. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może naprawdę posiadać olbrzymią sumę stu dolarów. Jego wyobrażenie skarbu sprowadzało się w gruncie rzeczy do wizji garści kilkucentowych monet oraz garnca czegoś wspaniałego, fantastycznego i nieuchwytnego.

Jednak im uporczywiej rozmyślał nad swoją przygodą, tym jaśniej i wyraźniej stawała mu przed oczami. Wreszcie zaczął podejrzewać, że to może nie był sen. Tej niepewności trzeba się było jak najszybciej pozbyć. Tomek w biegu połknął śniadanie i poleciał szukać Hucka.

Znalazł go siedzącego nad rzeką i melancholijnie pluskającego nogami w wodzie. Minę miał niewyraźną. Tomek postanowił zaczekać, aż Huck sam zacznie mówić o wczorajszym dniu. Jeżeli nic nie powie, będzie wiadomo, że to wszystko było tylko snem.

— Cześć, Huck!

— Cześć.

Minuta milczenia.

— Wiesz, Tomek, gdybyśmy te przekłete graty zostawili koło drzewa, pieniądze byłyby już nasze. Wściec się można!

— Więc to nie sen, nie sen! Tak bardzo chciałem, żeby to była prawda! Słowo daję!

— Co nie jest snem?

— No, ta wczorajsza historia. Wydawało mi się, że to sen.

— Ładny mi sen! Gdyby się schody nie zawaliły, to rzeczywiście spalibyśmy już snem wiecznym! Całą noc prześladował mnie ten zielonooki diabeł hiszpański, żeby go pokręciło!

— Ale nie tak od razu. Najpierw musimy go wytropić i znaleźć skarb, a potem może go pokręcić.

— Coś ty, Tomek! Nigdy go nie znajdziemy. Taka okazja trafia się tylko raz w życiu, a myśmy ją zmarnowali. A jeśli znowu spotkam się oko w oko z tym cholernym mieszkańcem, to na pewno padnę trupem.

— Ja pewnie też. Ale pomimo to chciałbym go jeszcze raz zobaczyć i pójść za nim do „numeru drugiego”.

— Właśnie, ten „numer drugi”... Co to może być, jak myślisz?

— Nie mam pojęcia. Ciemna sprawa. Słuchaj, Huck, a może to numer domu?

— Raczej nie... A jeśli nawet, to na pewno nie w naszej dziurze, bo tutaj domy nie mają numerów.

— Prawda! Czekaj, niech pomyślę. Ha! A numer pokoju w gospodzie, co?

— Wiesz!... To jest niezły pomysł! U nas są tylko dwie gospody, więc łatwo to sprawdzimy.

— Poczekaj chwilę, Huck, zaraz wrócę.

Tomek zniknął. Nie bardzo lubił pokazywać się publicznie w towarzystwie Hucka. Nie było go pół godziny. Przez ten czas zdążył sprawdzić, że w lepszej gospodzie numer drugi od dawna zajęty jest przez jakiegoś młodego adwokata, za to w gorszej gospodzie numer drugi okryty był tajemnicą. Syn właściciela powiedział mu, że ten pokój jest stale zamknięty na klucz. Wchodzą tam i wychodzą tylko w nocy, nigdy w ciągu dnia. Nawet sam chciał kiedyś sprawdzić, co się za tym kryje, ale dał sobie spokój. Doszedł do wniosku, że pod numerem drugim straszy. Ostatniej nocy widział tam małe światelko.

— Tyle się dowiedziałem — relacjonował Tomek. — Zdaje mi się, że to jest właśnie ten „numer drugi”, którego szukamy.

— Chyba tak. Co teraz zrobimy?

— Muszę pomyśleć.

Długo myślał, wreszcie powiedział:

— Słuchaj, zrobimy tak: tylne drzwi tego pokoju wychodzą na ślepą uliczkę między gospodą a starą cegielnią. Przyniesiesz wszystkie klucze, jakie tylko zdołasz gdzieś wygrzebać, ja wezmę klucze ciotki, i w pierwszą ciemną noc spróbujemy dostać się pod numer drugi. Tylko uważaj na Indianina, bo pamiętasz, jak mówił, że będzie się kręcił po mieście, żeby szukać okazji do zemsty. Jeśli go zobaczysz, idź za nim. Jeżeli nie pójdzie do gospody, to znaczy, że „numer drugi” jest gdzie indziej...

— Jezus Maria! Ja sam za nim nie pójdę!

— Przecież to będzie w nocy. On cię nie zobaczy, a gdyby nawet, to i tak o nic nie może cię podejrzewać.

— Niech będzie, pójdę za nim... Ale musi być bardzo ciemno. Nie... Nie pójdę... A zresztą — spróbuję!

— Huck, w ciemności i ja bym poszedł za nim! Pomyśl tylko: on może stwierdzić, że z zemsty nici, i od razu pójdzie zabrać pieniądze, co wtedy?

— Hm, to prawda. Dobra! Pójdę za nim, koniec gadania!

— No, teraz mówisz do rzeczy! Tego, Huck, nie wolno nam popuścić. Musimy się trzymać i nie rezygnować!

Rozdział XXIX

Wieczorem Tomek i Huck byli gotowi do wyprawy. Kręcili się pod gospodą prawie do dziewiątej. Jeden z daleka obserwował ślełą uliczkę, drugi pilnował drzwi gospody. Nikt nie pojawił się w uliczce; nikt podobny do Hiszpana nie wszedł do gospody ani z niej nie wyszedł.

Zapowiadała się jasna noc. Tomek poszedł więc do domu. Umówili się, że gdyby się odpowiednio ściemniło, Huck przyjdzie pod dom i zamiauczy; wtedy Tomek wymknie się po cichu i razem spróbują kluczy. Ale noc była jasna. Wobec tego Huck koło północy opuścił posterunek i poszedł do łóżka, czyli położył się spać w beczce po cukrze.

Wtorek nie sprzyjał młodym tropicielom; środa również nie. Za to czwartek zapowiadał się znacznie lepiej. Tomek wcześniej wymknął się z domu. Zabrał ze sobą starą latarkę ciotki i duży ręcznik do osłonięcia światła. Ukrył to wszystko w beczce Hucka i stanął na warcie. Na godzinę przed północą zamknięto gospodę i pogaszono w niej światła — ostatnie w całej okolicy. Hiszpan się nie pokazał, uliczką nikt nie przechodził. Warunki były jak najbardziej sprzyjające. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Głęboką ciszę od czasu do czasu przerywały tylko dalekie pomruki grzmotów.

Tomek wydobyl latarkę, zapalił ją w beczce, osłonił szczelnie ręcznikiem i dwaj poszukiwacze przygód podkradli się pod gospodę. Huck stanął na straży, a Tomek po omacku wszedł w ślełą uliczkę. Nastąpiła długa chwila pełnego trwogi oczekiwania. Huck pragnął zobaczyć już światło latarki, bo chociaż na ten znak do działania dostałby od razu gęsiejszą skórki ze strachu, ale przynajmniej byłby pewny, że Tomek żyje jeszcze.

Zdawało mu się, że całe godziny upłynęły od chwili, gdy rozstał się z Tomkiem. Może zemdlal? Może już nie żyje? Może dostał zawału serca ze strachu i emocji? Pod wpływem wielkiego napięcia nerwów, sam o tym nawet nie wiedząc, Huck przysuwał

się coraz bliżej do ślepej uliczki. Przewidywał najgorsze rzeczy, był pewien, że lada chwila nastąpi jakaś straszliwa katastrofa, w której wyzionie ducha. Co prawda, nie bardzo już miał co wyzionąć, bo duch uciekł mu w pięty, a serce łomotało jak parowóz. Nagle: błysk latarki — obok niego w szalonym pędzie przegalopował Tomek.

— Uciekaj, bo zginiesz! Uciekaj!!

Nie musiał tego powtarzać. Jeden raz najzupełniej Huckowi wystarczył. Zanim Tomek wykrzyknął swoje ostrzeżenie po raz drugi, Huck gnał już z prędkością superekspresu. Zatrzymali się dopiero przy starej szopie koło opuszczonej rzeźni, na drugim końcu miasta. Ledwie jej dopadli, zerwała się burza i lunął deszcz. Dopiero po dłuższej chwili, gdy się nieco uspokoił, Tomek zdał relację z wydarzeń:

— Huck, mówię ci, to było koszmarnie! Próbuję kluczy, raz takiego, raz innego; staram się to robić jak można najciszej, ale one tak zgrzytają, że ze strachu omal nie padłem na miejscu. W dodatku żaden nie pasował. Naraz, niechcący nacisnąłem klamkę, i proszę, drzwi się otwierają! Wcale nie były zamknięte! Wpadam do środka, ściągam ręcznik z latarki i... Matko Boska!

— Co? Co? Co zobaczyłeś?

— Huck, o mały włos wlaźlbym na rękę pół-Indianinowi!

— Żartujesz?!

— Poważnie! Leżał na podłodze z plastrem na oku, z rozłożonymi szeroko rękami i spał jak zabity.

— Jezus Maria! I co? Obudził się?

— Ani drgnął. Pijany jak bela. Porwałem ręcznik i w nogi!

— Ja bym nie pomyślał o ręczniku w takiej chwili.

— Ja musiałem pomyśleć. Dałaby mi ciotka, gdybym go zgubił!

— A widziałeś skrzynię?

— Nie miałem czasu rozglądać się po pokoju. Nie widziałem ani skrzyni, ani krzyża, ani w ogóle nic szczególnego; tylko przy Indianinie stała na podłodze butelka i blaszany kubek. Aha, były tam jeszcze dwie beczki i kupa flaszek. Wiesz już teraz, co tam w tym pokoju straszy?

— No?

— Wódka straszy! Może wszystkie gospody, które ogłaszają, że nie podają alkoholi, mają taki pokój, w którym straszy? Co, Huck, jak myślisz?

— To całkiem możliwe. Kto by to pomyślał? Ale wiesz, teraz, gdy Joe leży pijany, można by spróbować zgarnąć tę skrzynię...

— Tak? No to sam spróbuj.

Huck zatrząsł się dziwnie.

— Ja? Niech mnie Bóg broni!

— Ja też nie. Jedna butelka to dla takiego Indianina za mało. Gdyby ich było trzy, to co innego. Wtedy bym się odważył.

Po dłuższej chwili namysłu Tomek dodał: — Słuchaj, Huck. Spróbujemy jeszcze raz, ale dopiero wtedy, gdy będziemy mieć absolutną pewność, że Indianina tam nie ma. To za wielkie ryzyko. Teraz będziemy czuwać każdej nocy i kiedy na własne oczy zobaczymy, że on wyszedł, wtedy wpadniemy tam i zabierzemy skrzynię.

— Świetnie! Ja mogę czuwać dzisiaj do rana i w ogóle przez wszystkie następne noce, ale za to ty zrobisz resztę.

— Owszem, zrobi się. Ty masz tylko przyjść pod dom ciotki i zamiauczyć. Gdybym spał, rzuć w okno garść żwiru — to mnie obudzi.

— Super!

— No, Huck, burza przeszła, idę do domu. Za trzy godziny będzie dzień. A ty wracasz tam i będziesz pilnował, co?

— Dałem słowo, to dotrzymam. Będę pilnował tej gospody, choćby przez cały rok. W dzień się wyśpię, a w nocy będę czuwać.

— Wspaniale. A gdzie będziesz spał?

— U Bena Rogersa w stodole. On mi pozwala, a wuj Jake — Murzyn jego ojca — nie ma nic przeciwko temu. Noszę czasem wodę za wuja Jake'a, gdy mnie o to poprosi, a czasem, gdy ja go poproszę, daje mi coś do jedzenia. Wiesz, Tomek, to bardzo pocziwy Murzyn. On mnie lubi, bo nie zadzieram nosa, że jestem biały. Nieraz siedzimy razem i jemy z jednej miski. Ale nie mów tego nikomu. Gdy człowiek jest głodny, robi czasem rzeczy, których nie zrobiłby kiedy indziej.

— W porządku, Huck. Więc ustalamy, że w ciągu dnia nie jesteś mi potrzebny i możesz spać, ile chcesz. Nie będę ci przeszkadzał. Ale jeżeli w nocy coś zauważysz, przybiegasz pod mój dom i miauczysz.

Rozdział XXX

W piątek rano Tomek usłyszał radosną nowinę, że do miasteczka powróciła rodzina sędziego Thatchera. Od razu pół-Indianin Joe i jego skarb zeszli na drugi plan, a pierwsze miejsce niepodzielnie zajęła Becky. Spotkali się i spędzili kilka wspaniałych

godzin, bawiąc się z całą gromadą innych dzieci ze szkoły w różne ciekawe gry. Dzień ten został ukoronowany piękną niespodzianką: Becky tak długo nudziła matkę, aż ta zgodziła się, aby od dawna już obiecany i ciągle odkładany piknik odbył się następnego dnia. Szczęście dziewczynki nie miało granic, a i Tomek przyjął tę wiadomość z nie mniejszym zachwytem.

Nim słońce zaszło, rozesłano zaproszenia i od razu zawrzało wśród miasteczkowej dzieciarni. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. Dzieci przeżywały przedsmak czekającej ich radości. Tomek był tak podekscytowany, że długo nie mógł zasnąć w nocy. Liczył na to, że usłyszy miauczenie Hucka, i że następnego dnia olśni Becky i innych wycieczkowiczów swoim zdobytym skarbem. Ale kot nie zamiauczał.

Wreszcie nadszedł ranek. Około godziny dziesiątej w domu sędziego Thatchera zebrała się wesola i hałaśliwa czereda. Wszystko było gotowe do wymarszu. Dorośli nie chcieli psuć dzieciom zabawy swoją obecnością. Stwierdzono, że dzieciaki będą zupełnie bezpieczne pod opiekuńczymi skrzydłami kilku osiemnastoletnich panienek i o parę lat starszych młodzieńców. Niebawem główna ulica miasteczka zaroїła się od roześmianych dzieci, niosących koszycki z prowiantem. Na wycieczkę wynajęto stary statek parowy, więc radość była szalona. Sid leżał chory i musiał zostać w domu. Mary również została w domu, aby dotrzymać mu towarzystwa. Przy pożegnaniu pani Thatcher powiedziała do Becky:

— Na pewno późno wrócicie. Może lepiej będzie, jeżeli zanocujesz u którejś z koleżanek, mieszkającej bliżej przystani?

— Przenocuję u Susy Harper, dobrze, mamusiu?

— Świetnie! Uważaj na siebie i nie spraw państwu Harperom kłopotu.

Gdy już szli ulicą, Tomek powiedział do Becky:

— Wiesz, co? Zamiast iść do Harperów, skoczmy na wzgórze i zostaniemy na noc u wdowy Douglas. Na pewno będzie miała lody. U niej prawie codziennie są lody, całe mnóstwo lodów! Ucieszy się, kiedy nas zobaczy!

— To jest kapitalny pomysł!

Ale zaczęła coś rozważać i wreszcie spytała:

— A co na to powie mama?

— A skąd będzie o tym wiedziała?

Dziewczynka znowu zastanowiła się głęboko.

— Wydaje mi się, że to nie jest w porządku... — rzekła z wahaniem.

— E tam! Głupstwo! Przecież mama o niczym się nie dowie, więc o co chodzi? Twoja mama chce tylko, żeby ci się nic nie stało i żebyś spała w dobrym miejscu, tak? Ręczę ci, że sama kazałaby ci iść do pani Douglas, gdyby jej to przyszło do głowy. Na pewno!

Niezwykła gościnność wdowy Douglas była zbyt kuszącą przynętą. Toteż wsparta namowami Tomka odniosła całkowite zwycięstwo. Postanowili nikomu nic nie mówić o tych planach.

Nagle Tomek przypomniał sobie, że Huck może właśnie tej nocy zamiauczeć pod oknem. Ta myśl zepsuła jego radosny nastrój. Ale nie mógł wyrzec się frajdy, jaką sprawiała mu wycieczka z Becky i planowany nocleg u wdowy Douglas. Zresztą dlaczego miałby się tego wyrzekać? Zeszłej nocy sygnału nie było, więc kto zaręczy, że będzie akurat dzisiaj? Tak rozumował i pewność wspaniałej wycieczki przeważała niepewność skarbu. Zwyczajem wszystkich chłopców postanowił przechylić się na stronę tego, co go bardziej pociągało, i w ogóle przez cały dzień nie myśleć o skrzyni.

Trzy kilometry powyżej miasta statek zatrzymał się w miejscu, gdzie rzeka tworzyła rodzaj otoczonej lasem zatoki. Zarzucono kotwiczkę. Hałastrą wysypała się na brzeg i wkrótce cały okoliczny las rozbrzmiewał okrzykami, piskiem i śmiechem. Wreszcie mali wycieczkowicze, zgrzani, zmęczeni i głodni jak wilki, zaczęli powoli wracać do obozu. Natychmiast przystąpili do niszczenia przywiezionych zapasów. Po uczcie przyszła pora na odpoczynek i pogawędki w cieniu drzew. Nagle ktoś rzucił hasło:

— Hej! Zwiedzamy pieczary! Kto idzie?

Wszyscy mieli ochotę. Rozdzielono kilka paczek świec i towarzystwo zaczęło wspinać się na wzgórze. Wejście do grot było wysoko na zboczu i miało kształt litery A. Olbrzymie dębowe drzwi nie były zamknięte. Prowadziły one do niewielkiej, mrocznej, zimnej i wilgotnej pieczary o wysokich wapiennych ścianach.

Dzieci znalazły się pod urokiem jakiejś tajemniczej siły, która biła z tych potężnych sklepień. Z jednej strony widziały oświetloną słońcem zieloną dolinę, z drugiej posępną czerń korytarzy prowadzących w głąb ziemi. Wkrótce jednak oswoiły się z tym nastrojem i rozpoczęły zwykłe wrzaski i dokazywania. Gdy ktoś zapalił świecę, wszyscy rzucali się na niego gasić; waleczny obrońca świecy bohatersko odpierał atak, dopóki nie zgaszono mu jej lub nie wytrącono z ręki. Wówczas następował nowy wybuch śmiechu i nowa gonitwa. Ale wszystko na świecie ma swój koniec. Pochód ruszył stromym korytarzem dalej w dół. Rój chwiejnych, migotliwych światełek delikatnie rozświetlał wysokie ściany skalne. Korytarz miał około dwóch metrów szerokości. Co parę kroków rozchodziły się od niego inne — mniejsze i większe — korytarze.

Pieczary Mac Dougala były ogromnym labiryntem krętych chodników, które zbiegały się, rozwidlały i nie wiadomo gdzie się kończyły. Mówiono, że całymi dniami i nocami można błądzić wśród tej płataniny rozpadlin, szczelin i podziemnych grot, a jeszcze nie dotrzeć do końca pieczar; że można iść ciągle w dół i w dół, w głąb ziemi i nigdy nie wydostać się na światło dzienne. Nie było takiego człowieka, który by znał całe pieczary. Tak naprawdę nikt ich dobrze nie znał. Dokładne zbadanie obszaru labiryntu graniczyło z niemożliwością. Większość okolicznych mieszkańców знаła tylko niewielką część pieczar, zwykle zwiedzaną przez turystów i nawet najwięksi śmiałkowie nie odważali się zapuszczać na teren nieznany. Tomek Sawyer znał te podziemia tak samo, jak każdy inny.

Wycieczka przeszła górnym korytarzem niecały kilometr, po czym grupki i pary zaczęły się odrywać od głównego orszaku i zagłębiać w mijane odgałęzienia. Przebiegali posępne korytarze i straszili się wzajemnie, wyskakując niespodziewanie w miejscach, gdzie chodniki znowu się spotykały. Można było zniknąć innym z oczu na całe pół godziny, nie wychodząc poza teren, który się znało.

Wreszcie grupki jedna po drugiej zaczęły wracać do wylotu pieczar. Zziąjane, rozbawione, ochlapane świecami i umazane gliną dzieci były zdumione, że w pieczarach tak szybko zleciał im czas — na dworze zapadał już wieczór. Od pół godziny dzwon okrętowy wzywał do powrotu na statek. Gdy wśród śmiechów i nawoływań, odbijali od brzegu w drogę powrotną, nikt nie żałował straconego dnia, prócz jednego może kapitana.

Kiedy światła statku mijały przystań, Huck był już na posterunku. Nie słyszał głosów na pokładzie, bo śmiertelnie zmęczona dzieciarnia zachowywała się cicho i potulnie. Dziwił się, co to za statek i dlaczego nie zatrzymuje się w przystani, ale szybko przestał o nim myśleć i zajął się własnymi sprawami.

Noc była chmurna i ciemna. Minęła dziesiąta. Umilkły turkoty wozów, rzadkie światła poczęły gasnąć, ostatni przechodnie zniknęli, miasteczko poszło spać, zostawiając małego wartownika sam na sam z milczeniem i duchami. Minęła jedenasta i pogasły światła gospody. Zrobiło się zupełnie ciemno.

Huck czekał. Czas dłużył mu się niczym wieczność, a ciągle nic się nie działo. Zaczęło go ogarniać zwątpienie. Na co tu czekać? Komu się to przyda? Może lepiej dać temu spokój i iść spać?

Naraz doleciał go jakiś dźwięk. W jednej chwili cały zamienił się w słuch. Cichutko otworzyły się drzwi wychodzące na ślepą uliczkę. Huck uskoczył za róg cegielni i

przywarł do ściany. Dwóch mężczyzn przeszło tuż koło niego. Jeden wyglądał tak, jakby coś dźwigał pod pachą. To pewnie skrzynia! Wynoszą skarb!! Jak w takiej sytuacji zawiadomić Tomka?! Nim dobiegnie pod jego okno, mężczyźni ulotnią się ze skrzynką. A wtedy szukaj wiatru w polu! Nie, on musi ich pilnować. Pójdzie za nimi pod osłoną nocy i wyśledzi, dokąd zanoszą skarb. Po tej krótkiej naradzie z samym sobą, Huck wyszedł zza cegielni i, zachowując bezpieczną odległość, na bosaka, cicho jak kot, podążył za dwójką mężczyzn.

Poszli ulicą nad rzeką, minęli ostatnie miejskie zabudowania, a potem skręcili na ścieżkę, wiodącą na wzgórze Cardiff. Okrążyli dom starego Walińczyka, stojący w połowie drogi na szczycie wzgórza. Wspinali się coraz wyżej.

„Dobrze — pomyślał Huck — chcą go zakopać w starym kamieniołomie”.

Ale nie zatrzymali się przy kamieniołomie. Minęli go i dalej szli w górę. Potem skręcili na wąską ścieżkę, prowadzącą wśród wysokich zarośli i nagle zniknęli w ciemności. Huck przyspieszył kroku. Wkrótce przystanął i zaczął nasłuchiwać. Nie usłyszał nic, oprócz bicia własnego serca. Ze wzgórza doleciało go dalekie pohukiwanie sowy — zła wróżba! Ale kroków mężczyzn nie było słychać. Boże, więc wszystko na nic? Właśnie miał ruszyć dalej, gdy wtem, w odległości zaledwie kilku kroków od niego, ktoś chrząknął. Huckowi serce podskoczyło do gardła, lecz mężnie zepchnął je na właściwe miejsce. Stał w miejscu i trząsł się niczym w ataku febry, przy okazji zrobiło mu się dziwnie słabo. Tylko czekał, kiedy upadnie. Na szczęście wiedział, gdzie jest. Stał o pięć kroków od ogrodzenia domu wdowy Douglas.

„Bardzo dobrze — pomyślał — niech tu zakopią, będzie łatwo znaleźć”.

Nagle pół-Indianin odezwał się cichym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Niech ją szlag trafi! Zdaje się, że ma gości. Jest już późno, a jeszcze pali się światło.

— Nic nie widzę.

To był głos „drugiego” włóczęgi z nawiedzonego domu. Hucka poraził śmiertelny strach. A więc to miała być „zemsta” Joego! Pierwszą jego myślą było uciec z tego miejsca jak najprędzej. Ale zaraz przypomniał sobie, że wdowa Douglas zawsze była dobra dla niego. A oni może przyszli ją zamordować! Gdyby chociaż miał na tyle odwagi, żeby ją ostrzec! Wiedział jednak, że się nie odważy, bo oni mogliby go zobaczyć i dorwać w swe łapy. Wszystkie te myśli lotem błyskawicy przebiegły głowę Hucka. Usłyszał odpowiedź Indianina:

— Bo krzaki ci zasłaniają widok. Chodź tu... no, widzisz już?

— Tak. Najwyraźniej ma gości. Lepiej dajmy temu spokój!

— Dać spokój! Teraz, kiedy odchodzę stąd na zawsze! Dać spokój i już nigdy nie mieć okazji? Mówię ci jeszcze raz: gwizdź na jej pieniądze. Możesz je sobie wziąć. Ale jej mąż potraktował mnie jak ostatniego psa. Był sędzią pokoju i to on ciągle pakował mnie za kraty za włóczęgostwo. Ale to jeszcze nie wszystko! Kazał mnie wychłostać!! Wychłostać przed więzieniem jak Murzyna!... Publicznie, na oczach całego miasta!... Wychłostać! — Rozumiesz? Jego szczęście, że umarł, nim wyszedłem z więzienia. Ale ona mi za to zapłaci!

— Chyba jej nie zabijesz?! Nie zrobisz tego!

— Zabić? A kto mówi o zabiciu? Zabiłbym jego, gdyby żył, ale nie ją. Jeśli się mścisz na kobiecie, to jej nie zabijasz, durniu! Trzeba ją oszpecić. Obciąć nos i ponacinać uszy — jak świni!

— O Boże, to przecież...

— Nikt cię nie pyta o zdanie! Zachowaj je dla siebie, tak będzie dla ciebie najbezpieczniej. Przywiążę ją do łóżka... Jeżeli wykrwawi się na śmierć, to już nie moja wina... Płakał po niej nie będę. Jesteś moim przyjacielem i musisz mi pomóc. Sam nie dałbym sobie rady. Zresztą po to cię tu wziąłem... Zrobisz to dla mnie... I nie próbuj uciekać — zabiję cię, nim zdążysz się odwrócić. Rozumiesz? A jeżeli zabiję ciebie, to wdowę też załatwię, i nikt nie będzie wiedział, kto to zrobił.

— No cóż, jeśli już tak musi być, to bierzmy się do roboty. Im prędzej, tym lepiej. Zimno mi się robi na samą myśl...

— Zaraz! A goście? Ty lepiej uważaj, bo coś ci nie wierzę... Zaczekamy, aż światła pogasną. Nie ma pośpiechu.

Huck wiedział, że teraz zapadnie cisza sto razy straszniejsza, niż rozmowa morderców. Wstrzymał więc oddech i począł się ostrożnie cofać. Powoli podniósł jedną nogę i balansując na drugiej, jak najciszej zrobił krok w tył. Omal się przy tym nie przewrócił. Z taką samą precyzją zrobił drugi i trzeci krok. Potem czwarty i piąty. Wtem gałąź trzasnęła mu pod nogami! Zapało mu oddech. Nasłuchiwał z napięciem, ale wokoło panowała głęboka cisza. Poczuł bezgraniczną wdzięczność do losu. Kiedy znalazł się na ścieżce pomiędzy zaroślami, obrócił się z zachowaniem wszelkich środków ostrożności i nieco przyśpieszył kroku. W pobliżu kamieniołomu poczuł się już bezpieczny i ruszył całym pędem. Biegł co sił w nogach, aż dotarł do domu starego Walińczyka. Zaczął dobijać się do drzwi. W oknach ukazały się trzy głowy: ojca i dwóch synów, wielkich jak dęby.

— Co to za hałasy? Kto tam tak tłucze w drzwi? O co chodzi?

— Proszę mnie wpuścić, prędko! Muszę panu coś powiedzieć!

— Kim jesteś?

— Huckleberry Finn... Prędko, proszę mnie wpuścić!

— Huckleberry Finn? Coś takiego! Nie jest to nazwisko, przed którym chętnie otwiera się drzwi... Ale wpuście go chłopcy. Zobaczymy, o co chodzi.

— Tylko proszę nikomu nie mówić, że to ja wam powiedziałem o wszystkim — to były pierwsze słowa Hucka, gdy go wpuszczono do domu. — Proszę nic nie mówić, bo wtedy on mnie zabije! Ale wdowa tyle razy była dobra dla mnie, że muszę to powiedzieć... Zaraz powiem, tylko przyrzeknijcie, że mnie nie wydacie!

— Święty Sebastianie! On naprawdę ma coś ważnego do powiedzenia! To widać! — zawołał stary. — Mów śmiało, chłopcze, nikt z nas cię nie zdradzi.

W trzy minuty później ojciec i synowie, dobrze uzbrojeni, szli już w stronę domu wdowy. Kiedy dotarli do zarośniętej zielskiem ścieżki, wyciągnęli pistolety i zaczęli skradać się po cichu.

Huck nie poszedł z nimi dalej. Ukrył się za wielkim kamieniem i nasłuchiwał. Długą chwilę panowała obezwładniająca, groźna cisza. Nagle huknęły strzały, ktoś krzyknął.

Huck nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Rzucił się do ucieczki i gnał na dół, ile sił w nogach.

Rozdział XXXI

Nazajutrz, w niedzielę, ledwie zaczęło świtać, Huck wdrapał się na wzgórze i cichutko zapukał do drzwi starego Walijczyka. Mieszkańcy domu spali wprawdzie, ale z powodu nocnych zająć był to sen czujny i niespokojny. Z okna padło pytanie:

— Kto tam?

Zalękniony głos Hucka odpowiedział cichuteńko:

— Proszę mnie wpuścić, to tylko Huck Finn!

— To jest nazwisko, przed którym drzwi mojego domu otwierają się we dnie i w nocy. Witaj, chłopcze!

Dla uszu małego włóczęgi były to słowa niezwykle i zarazem najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek słyszał w swoim życiu. Nie mógł sobie przypomnieć, aby choć jedna osoba tak serdecznie witała go u siebie w domu.

Szybko otworzono drzwi i Huck wszedł do środka. Podano mu krzesło. Starzec i obaj jego krzepcy synowie zaczęli się szybko ubierać.

— No, bracie, pewnie jesteś porządnie głodny. Śniadanie będzie gotowe za parę chwil. Prosto z ognia, zaraz sam zobaczysz. Myśleliśmy, że wrócisz w nocy i zanocujesz u nas.

— Okropnie się bałem — wyznał Huck — i uciekłem. Jak tylko usłyszałem strzały, puściłem się pędem i biegłem chyba ze trzy kilometry. Teraz przyszedłem, bo chciałem się dowiedzieć, jak to było. A przyszedłem tak wcześnie dlatego, że bałem się natknąć na tych diabłów, nawet gdyby byli już trupami.

— Biedaku, widać po tobie, że miałeś nie najlepszą noc. Ale przygotowaliśmy łóżko dla ciebie. Zaraz po śniadaniu położysz się spać. A co do tamtych, niestety, żyją jeszcze i bardzo mnie to martwi. Dzięki tobie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie ich szukać. Skradaliśmy się po ciemku i już byliśmy niedaleko nich, gdy zaczęło mnie kręcić w nosie. A szedłem pierwszy, z pistoletem już gotowym do strzału. No i pech! Myślałem, że wytrzymam, ale nie dałem rady. Kichnąłem! Spłoszeni bandyci rzucili się w zarośla. Zawołałem do moich chłopców: „Ognia!” i sam wypaliłem z pistoletu tam, skąd dochodził szelest krzaków. Chłopcy również wystrzelili w krzaki. Ale tamci zwiali błyskawicznie. Goniliśmy ich potem przez las. Odpowiedzieli nam strzałami, na szczęście nikomu z nas nic się nie stało. Zdaje się, że ci dranie też nic nie oberwali. W końcu straciliśmy ich ślad i zaprzestaliśmy pogoni. Popędziliśmy na dół i zawiadomiliśmy policję. Cały oddział wyruszył zaraz nad rzekę, żeby obstawić oba brzegi. Kiedy zrobi się jasno, szeryf ze swoimi ludźmi przeszukają las. Moi chłopcy też pójdą z szeryfem. Dobrze by było mieć jakiś rysopis tych drani, to by bardzo ułatwiło poszukiwania. Ale ty ich pewnie nie widziałeś, bo było ciemno, co?

— Widziałem ich, szedłem za nimi przez całe miasto.

— Doskonale! Opisz ich, chłopcze!

— Jeden to stary głuchoniemy Hiszpan, który ostatnio kręcił się po miasteczku, a drugi to taki obdartus o zbójckim wyglądzie...

— Wystarczy, znamy tych ptaszków! Raz nadziałem się na nich w lesie, za domem wdowy. Zwiali, gdy tylko mnie zobaczyli. No, chłopcy, w drogę! Opowiedzcie wszystko szeryfowi. Śniadanie zjecie jutro rano.

Synowie Walijczyka wyszli przed dom. Huck zerwał się z krzesła i zawołał:

— Proszę was, tylko nie mówcie nikomu, że to ja ich wydałem!

— Oczywiście, Huck, jak chcesz. Ale to, co zrobiłeś, to powód do dumy, nie musisz tego ukrywać.

— Nie, nie! Proszę nic nikomu nie mówić!

Po wyjściu synów stary Walijczyk zapytał:

— Oni na pewno nie powiedzą i ja też nie powiem. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie chcesz, żeby ludzie o tym wiedzieli.

Huck wolał nie tłumaczyć się jaśniej. Powiedział tylko, że o jednym z bandytów wie bardzo dużo i za nic w świecie nie chce, żeby ten człowiek wiedział, że on cokolwiek o nim wie, bo wtedy ten bandyta na pewno by go zabił.

Stary jeszcze raz przyrzekł zachować wszystko w tajemnicy i zapytał:

— Skąd ci przyszło do głowy iść za tymi łotrami? Czy wyglądali podejrzanie?

Huck milczał chwilę, obmyślając ostrożną odpowiedź, wreszcie rzekł:

— Widzi pan, ja jestem takie ladaco... Przynajmniej tak każdy mówi, i wcale się o to nie gniewam. Nieraz jednak nie mogę usnąć, bo martwię się tym i myślę, jak tu wejść na dobrą drogę... Tak było tej nocy. Nie mogłem spać, wyszedłem więc przed północą na ulicę i pogrążony w myślach doszedłem aż do starej cegielni obok gospody. Zamyślony, oparłem się o mur. No i właśnie wtedy ci dwaj minęli mnie dosłownie o krok. Jeden z nich niósł coś pod pachą. Byłem pewny, że to coś ukradzionego. Któryś z nich palił, a drugi poprosił go o ogień. Zatrzymali się niedaleko mnie. Kiedy cygara oświetliły im twarze, zobaczyłem, że wyższy to głuchoniemy Hiszpan z białą brodą i plastrem na oku, a ten drugi to jakiś obszarpany obdartus...

— Jak to? Przy świetle cygara zauważyłeś, że jest obdarty?

Huck zmieszał się na chwilę, ale zaraz powiedział:

— Eee... tak mi się zdaje... że był obdarty...

— Dobrze, więc oni poszli dalej, a ty...

— Poszedłem za nimi. Tak. Chciałem wiedzieć, co się dzieje... dlaczego oni tak się skradają... Śledziłem ich cały czas, aż do ogrodzenia wdowy. Tam się ukryłem i słyszałem jak ten obdartus wstawiał się za wdową, a Hiszpan zapowiadał, że ją oszpeci... Mówiłem już o tym panu i pana synom...

— Jak to? Głuchoniemy mówił to wszystko?!

Huck popełnił drugi straszny błąd! Robił, co mógł, żeby wykręcić się z tej pułapki, i nie zdradzić, kim jest Hiszpan, ale ze zdenerwowania zaplątał się jeszcze bardziej. Stary nie spuszczał z niego oczu i pod tym wzrokiem Huck zgubił się na dobre. Nagle Walijczyk powiedział:

— Dlaczego ty się mnie boisz? Za nic w świecie nie pozwolę, żeby choć jeden włos spadł ci z głowy. Będę cię bronił, możesz być tego pewny. Więc Hiszpan nie jest

głuchoniemy! Wygadałeś się i teraz nie ma już co kręcić. Ty coś wiesz o tym Hiszpanie, ale starasz się to ukryć przed wszystkimi. Proszę cię, zaufaj mi... nie wydam cię.

Huck patrzył chwilę w pocziwe, szczere oczy starego, potem pochylił się i szepnął mu do ucha:

— To nie jest żaden Hiszpan. To pół-Indianin Joe!

Walijczyk omal nie spadł z krzesła. Po chwili powiedział:

— Teraz wszystko rozumiem! Kiedy opowiadałeś mi o obcięciu nosa i naderżnięciu uszu, myślałem, że trochę przesadzasz, bo biali nie mszczą się w ten sposób. Ale Indianin! To całkiem co innego!

Podczas śniadania rozmowa trwała dalej. Walijczyk opowiedział, że zanim poszli spać, wzięli jeszcze latarkę i przeszukali teren pod ogrodzeniem wdowy, czy nie ma gdzieś śladów krwi. Niczego takiego nie zobaczyli, znaleźli za to sporą skrzynkę z...

— Z CZYM?!?!

To pytanie jak błyskawica wystrzeliło z pobladyh ust Hucka. Zerwał się z krzesła i z rozszerzonymi źrenicami, bez tchu w piersiach oczekiwał odpowiedzi starego. Walijczyk urwał i wpatrywał się w chłopca. Trzy sekundy — pięć — siedem sekund — wreszcie powiedział:

— Z narzędziami służącymi do włamywania się do domu. Hm, co ci się stało?

Huck opadł bezwładnie na krzesło, dysząc ciężko, ale z uczuciem niewysłowionej ulgi. Walijczyk patrzył na niego uważnie, a potem powtórzył:

— Tak, to były złodziejskie narzędzia. Zdaje się, że bardzo ci ulżyło. Ale dlaczego tak skoczyłeś? Co miało być w tej skrzynce?

Huck znowu był w opałach. Ciągłe czuł na sobie przenikliwe spojrzenie Walijczyka. Wiele dałby za to, żeby szybko znaleźć jakąś rozsądną odpowiedź.

Ale nic nie mógł wymyślić. Wtem przyszło mu coś do głowy, było to niezbyt mądre, lecz czas naglił; wykrztusił więc słabym głosem:

— Myślałem, że to może książki szkolne...

Biedny Huck był zbyt zgnębiony, aby się bodaj uśmiechnąć, ale stary ryknął takim gromkim śmiechem, że aż się trząsł cały. Na koniec oświadczył, że taki śmiech to pieniądze w kieszeni, bo leczy lepiej niż wszystkie lekarstwa zapisane przez doktorów.

Potem dodał:

— Ech, głuptasie! Wyglądasz jak własny cień. Nie ma się co dziwić, że gadasz od rzeczy. Ale to przejdzie. Odpoczniesz, wyśpisz się porządnie i wrócisz do normy.

Huck był wściekły na siebie, że przez swój brak opanowania zdradził się ze swoim zainteresowaniem skrzynką i mógł obudzić jakieś podejrzenia. Od chwili, gdy podsłuchał rozmowę bandytów przy ogrodzeniu wdowy, zaczął powątpiewać, czy przyniesiona przez nich skrzynka rzeczywiście zawiera skarb. Była to jednak tylko wątpliwość, nie pewność. Toteż, kiedy Walijczyk wspomniał o znalezisku, nie mógł nad sobą zapanować. To było ponad jego siły. Jednak w gruncie rzeczy cieszył się z takiego obrotu sprawy, bo przynajmniej dowiedział się, że owa skrzynka nie była tą, na którą obaj z Tomkiem polowali. Czyli skarb w dalszym ciągu znajduje się pod numerem drugim. Zbiegli dranie zostaną jeszcze dziś schwytani i zamknięci w więzieniu, a wtedy on i Tomek najspokojniej zabiorą sobie w nocy złoto.

Ledwo zjedli śniadanie, ktoś zapukał do drzwi. Huck zerwał się, aby się ukryć, bo nie chciał mieć nic wspólnego z nocnymi wydarzeniami. Walijczyk wpuścił sporą gromadkę pań i panów, wśród których była także wdowa Douglas. Na ścieżce, prowadzącej na szczyt wzgórza, ujrzał całą procesję mieszkańców miasta, którzy szli obejrzeć miejsce nocnych wypadków. Najwidoczniej sprawa stała się już głośna.

Walijczyk musiał szczegółowo opowiedzieć gościom całe zajście. Wdowa zaczęła mu dziękować za ratunek i ocalenie jej życia.

— Nie ma o czy mówić, łaskawa pani. Jest ktoś inny, komu zawdzięcza pani znacznie więcej niż mnie i moim chłopcom, ale nie pozwolił mi ujawnić swojego nazwiska. Gdyby nie on, nic byśmy nie wiedzieli i wcale by nas tam nie było.

Wywołało to oczywiście tak wielkie zaciekawienie, że sam wypadek odsunięty został na bok. Chociaż goście łamali sobie głowy nad tą zagadką i ciekawość dosłownie ich pożerała, Walijczyk stanowczo odmówił zdradzenia sekretu. Milczał również wtedy, gdy wiadomość o udziale jakiegoś tajemniczego osobnika obiegła już całe miasteczko. Poza tym wszystkim udzielał wyczerpujących informacji.

Po wysłuchaniu jego relacji, wdowa powiedziała:

— Usnęłam w łóżku nad książką i w ogóle nic nie słyszałam. Czemu pan nie przyszedł mnie obudzić?

— Uznałem, że nie ma takiej potrzeby. Z całą pewnością wiadomo było, że bandyci nie wrócą. Zwłaszcza, że porzucili swoje narzędzia zbrodni. Po co więc miałem panią budzić i straszyć. Zresztą trzech moich Murzynów pilnowało pani domu aż do rana. Dopiero co wrócili.

Nadchodzili coraz to nowi goście i Walijczyk przez kilka godzin musiał opowiadać wszystkim tę samą historię.

Chociaż podczas wakacji szkółka niedzielna była nieczynna, całe miasto przybyło do kościoła na dobrą godzinę przed nabożeństwem. Omawiano nocny wypadek i roztrząsano go na wszystkie strony. Nadeszła wiadomość, że bandytów jeszcze nie złapano.

Po kazaniu pani Thatcher podeszła do wychodzącej pani Harper, która właśnie wraz z całym tłumem przeciskała się ku drzwiom i zapytała:

— Czy moja Becky ma zamiar spać przez cały dzień? Chyba nie jest aż tak zmęczona?

— Becky?

— No tak, moja córka — potwierdziła pani Thatcher z lękiem w oczach. — Czy nie spała dziś w nocy u pani?

— Ależ nie!

Pani Thatcher zbladła i opadła na ławkę, właśnie w chwili, gdy przechodziła obok niej ciotka Polly, prowadząc ożywioną rozmowę z przyjaciółką.

— Dzień dobry, pani Thatcher! Dzień dobry, pani Harper! Mojego Tomka znowu nie ma. Pewnie nocował u którejś z pań i teraz boi się przyjść do kościoła. Wytargam go za uszy, jak go dorwę!

Pani Thatcher zaprzeczyła słabym ruchem głowy i zbladła jeszcze bardziej.

— U mnie nie spał — powiedziała pani Harper wyraźnie już zaniepokojona.

Ciotka Polly przeraziła się.

— Joe, widziałeś Tomka dziś rano?

— Nie.

— A kiedy go widziałeś ostatni raz?

Joe usiłował sobie przypomnieć, ale nie umiał powiedzieć nic pewnego. Ludzie wychodzący z kościoła zaczęli przystawać. Utworzył się zator. Twarze poważniały, niespokojne szepty wyrażały niepokój i złe przecucia. Gorączkowo wypytywano dzieci i młodych nauczycieli. Wszyscy mówili, że nie zauważyli, czy w drodze powrotnej Tomek i Becky byli na pokładzie parowca. Było ciemno i nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy kogoś nie brakuje. Naraz pewien młodzieniec wyrwał się z okropnym domysłem, że Tomek i Becky są jeszcze w pieczarach!

Pani Thatcher zemdląła, ciotka Polly wybuchnęła płaczem.

Straszna wieść biegła z ust do ust, od jednej gromadki ludzi do drugiej, z ulicy na ulicę. Pięć minut później wszystkie dzwony były na trwogę i całe miasto postawiono w stan gotowości. Nocne wypadki na wzgórzu Cardiff zbladły i zmalowały do rozmiarów nic nie znaczącego drobiazgu; zapomniano o bandytach. Mężczyźni siodłali konie, kobiety

szykowały prowiant i świece; przygotowywano łodzie, zamówiono prom. Nim minęło pół godziny od ogłoszenia alarmu, gdy rzeka zaroila się od łodzi, a droga od jeźdźców — ponad stu mężczyzn z pośpiechem zdążyło do pieczar.

Przez całe długie popołudnie w mieście było pusto i głucho. Panie tłumnie odwiedzały ciotkę Polly i panią Thatcher i starały się je pocieszyć. Płakały też razem z nimi, a to było jeszcze lepsze niż wszystkie słowa.

Nadeszła straszna noc. Nikt nie spał, lada chwila spodziewano się wieści z pieczar. Wreszcie, kiedy już zaczynało świtać ekspedycja ratunkowa przysłała oczekiwaną wiadomość. Była krótka: „Dostarczyć więcej świec i żywności” — o dzieciach ani słowa.

Pani Thatcher była bliska obłędu, ciotka Polly w ogóle nie wiedziała, co się do niej mówi. Od sędziego Thatchera nadchodziły z pieczar uspokajające, pełne otuchy wiadomości, ale nic konkretnego nie zawierały.

Nad ranem powrócił do domu stary Walijczyk, okapany woskiem świec, wysmarowany gliną i śmiertelnie znużony. Zastał Hucka leżącego w łóżku i bredzącego w gorączce. Wszyscy lekarze byli w pieczarach, przyszła więc wdowa Douglas i zaopiekowała się chorym. Powiedziała, że zrobi dla niego, co tylko będzie mogła, bo nieważne czy jest złym, czy dobrym chłopakiem — jest stworzeniem boskim i trzeba mu pomóc w biedzie. Walijczyk odparł, że Huck wcale nie jest taki zły, jak myśli większość ludzi, na co pani Douglas odpowiedziała:

— Wiem o tym. W nim także jest iskra boża, a Bóg nigdy nie odwraca się od żadnego stworzenia, które wyszło spod Jego ręki.

Wczesnym przedpołudniem zaczęły wracać do miasteczka pierwsze grupki śmiertelnie zmęczonych mężczyzn. Najsilniejsi szukali dalej. Wiadomości były nader skąpe: przeszukano najdalsze, nikomu dotąd nie znane zakątki pieczar; zbadano każde zagłębienie i każdą szczelinę; spenetrowano olbrzymią ilość korytarzy labiryntu. Wszędzie widać migocące płomyki świec poszukujących, słysząc nawoływania i strzały z pistoletu. W miejscu, do którego nigdy nie dotarła noga żadnego turysty, znaleziono słowa „Becky” i „Tomek”, wypisane dymem świecy na ścianie skalnej, a tuż obok kawałek wstążki okapanej woskiem. Pani Thatcher poznała wstążkę. Płacząc nad nią mówiła, że to jest jej pamiątka po dziecku, najdroższa ze wszystkich pamiątek, bo córeczka miała ją na sobie do ostatnich chwil przed straszną śmiercią. Opowiadano, że czasem pokazywało się gdzieś daleko w grocie jakieś mdłe światelko — wtedy rzucano się w tamtą stronę z okrzykami radości, lecz za każdym razem następował gorzki zawód; były to tylko światła innych szukających.

Przeszły trzy straszne dni oczekiwania i trzy noce pełne długich godzin udręki. Miasteczko zaczęło tracić nadzieję i zapadło w odrętwienie. Nic już ludzi nie interesowało. Właśnie wtedy odkryto przypadkiem, że właściciel gospody dla abstynentów sprzedawał gościom wódkę, ale chociaż była to rzecz bulwersująca, nie wywołała prawie żadnego wrażenia.

W chwili przytomności Huck słabym głosem skierował rozmowę ogólnie na temat gospód. W końcu, przygotowany na najgorsze, ostrożnie zadał pytanie, czy przypadkiem w czasie jego choroby nie odkryto czegoś w gospodzie dla abstynentów.

— Tak — powiedziała wdowa.

Huck zerwał się z pościeli i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Co odkryto?! — zapytał bez tchu.

— Wódkę! Lokal zamknięto. Leż spokojnie, moje dziecko. Ależ mnie przestraszyłeś!

— Proszę mi tylko jedno jeszcze powiedzieć... tylko jedno, błagam! Czy to odkrył Tomek Sawyer?

Wdowa wybuchnęła płaczem.

— Cicho, dziecko, cicho! Wiesz przecież, że nie wolno ci mówić. Jesteś bardzo chory i nie możesz się tak przemęczać. Cicho...

„A więc znaleźli tylko wódkę — myślał Huck, z trudem usiłując przezwyciężyć słabość. — Gdyby znaleźli złoto, całe miasto by o tym gadało. To znaczy, że skarb przepadł już na zawsze, na zawsze! Ale czemu ona płacze? Nie rozumiem...” — Huck usnął zmęczony.

— Biedak, zasnął nareszcie. Czy Tomek Sawyer znalazł wódkę... Boże, gdyby tylko ktoś mógł znaleźć Tomka! Prawie nikt nie ma już nadziei ani sił, żeby go szukać dalej...

Rozdział XXXII

Powróćmy do Tomka i Becky oraz do ich przygód na wycieczce.

Z początku wraz z resztą towarzystwa zwiedzali mroczne korytarze pieczar, oglądali znane im już wcześniej groty o szumnych nazwach; „Salon”, „Katedra”, „Pałac Aladyna” itd. Gdy rozpoczęła się wesoła zabawa w chowanego, z zapalem przyłączyli się do innych i bawili się, póki im się nie znudziło. Potem powędrowali krętym tunelem skalnym. Podnosząc świece wysoko w górę, zabawiali się odczytywaniem wypisanych przez turystów nazwisk, dat, adresów i aforyzmów, które pokrywały ściany grot. Idąc wciąż przed siebie, zajęci rozmową, nie zauważyli, że weszli w rejony, gdzie malowideł

ściennych zupełnie już nie było. Uwiecznili swoje imiona, wypisując je dymem świecy na występie skalnym i poszli dalej. W jednym miejscu odkryli podziemny strumyk, który ściekając po kamiennej ścianie przez wiele setek lat, wypłukał część wapnia i wyłobił w skale piękne zakole, spływając z niej niczym prawdziwy wodospad. Tomek wcisnął swoją małą figurkę pomiędzy ścianą a wodospad i oświetlił go od tyłu, co Becky przyjęła okrzykami zachwytu. Spostrzegł, że za tą zasłoną wodną ukryte są naturalne schody, stromo schodzące w dół. Natychmiast poczuł ambicję odkrywcy. Zawołał Becky. Z ochotą zgodziła się iść razem z nim. Zrobili na ścianie znak świecą, aby nie zabłądzić w powrotnej drodze i ruszyli na wyprawę odkrywczą. Skręcali raz w prawo, raz w lewo, zapuszczając się coraz dalej w tajemnicze głębie pieczar. Od czasu do czasu zostawiali jakiś znak na ścianie i szli dalej. W poszukiwaniu wspaniałych odkryć, które chcieli potem obwieścić całemu światu, zagłębiali się w coraz to nowe korytarze. Natknęli się na olbrzymią komorę, ze stropu której zwisało mnóstwo lśniących stalaktytów, wielkości ramienia dorosłego mężczyzny. Obeszli grootę wkoło, pełni zdumienia i zachwytu, po czym puścili się dalej jednym z wielu korytarzy, które rozchodziły się z komory. Dotarli do uroczego źródelka, którego dno pokryte było warstwą błyszczących kryształów, przypominających lód. Grootę ze źródelkiem podpierały fantastyczne filary zrosniętych ze sobą stalaktytów i stalagmitów — dzieło tysiącletniej nieustannej pracy kapiącej wody. Pod stropem wisiały setki nietoperzy. Światła świec obudziły je. Sfrunęły całą chmarą i z piskiem zaatakowały świece.

Tomek znał zwyczaje nietoperzy i wiedział, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Chwycił Becky za rękę i pociągnął ją gwałtownie w pierwszy z brzegu korytarz. Zrobił to w samą porę, bo gdy byli już niemal poza grocią, nietoperz skrzydłem zgasił jej świecę. Rozzłoszczone zwierzęta ściagały ich jeszcze kawał drogi, ale dzieci tak kluczyły korytarzami, że wreszcie uwolniły się od natrętów. Zaraz potem Tomek odkrył podziemne jezioro, którego mgliste kontury gubiły się gdzieś daleko w mroku. Miał ochotę zbadać jego brzegi, ale zdecydował, że najpierw trzeba usiąść i trochę odpocząć. Przeróżliwa, głucha cisza po raz pierwszy ścisnęła ich za serce swą zimną ręką.

— Nie zwracałam na to uwagi, ale zdaje mi się, że już bardzo długo nie słyszeliśmy głosu innych dzieci — powiedziała Becky niepewnie.

— Pomyśl sama, przecież jesteśmy głęboko pod nimi, nie wiadomo jak daleko na północ, wschód i w ogóle. To po prostu niemożliwe, żebyśmy ich słyszeli.

Dziewczynkę ogarnął lęk.

— Chciałabym wiedzieć, jak długo już tu jesteśmy? Może lepiej wróćmy, Tomku?

— Trzeba wracać. Tak będzie najlepiej.

— A potrafisz odnaleźć drogę z powrotem? Bo mnie się pomieszało.

— Na pewno trafiłbym z powrotem, ale te przekłete nietoperze! Gdyby zgasiły nam obie świece, to byłby koniec, bo nie mamy ich czym zapalić. Musimy poszukać innej drogi, żeby ominąć nietoperze.

— Dobrze, ale chyba nie zabłądzimy? To by było okropne! — dziewczynka wzdrygnęła się na samą myśl o takiej możliwości.

Weszli w jakiś korytarz i długo szli w milczeniu, zaglądając w każdą odnogę, z nadzieją, że ją rozpoznają. Ale wszystko było tu nowe i obce. Za każdym razem, gdy Tomek rozglądał się w nowym odgałęzieniu, Becky patrzyła mu w oczy, szukając w jego twarzy otuchy, a on powtarzał z wesołą miną:

— Tak, wszystko w porządku. To jeszcze nie tu, ale zaraz wyjdziemy na dobrą drogę.

Każdy kolejny zawód sprawiał jednak, że ogarniało go coraz większe zwątpienie. Zaczął wchodzić na oślep to w jedno rozwidlenie, to w drugie, w rozpaczliwej nadziei trafienia w końcu na znaną sobie drogę. Ciągłe powtarzał: „Wszystko w porządku”, ale strach przygniatał mu serce ołowianym ciężarem, a głos jego brzmiał głucho i bezdźwięcznie, jakby mówił: „Jesteśmy zgubieni”. Przerażona Becky przytuliła się do niego i na próżno walczyła ze łzami. Wreszcie powiedziała:

— Tomku, co tam nietoperze! Wracajmy starą drogą! Cały czas mi się zdaje, że coraz bardziej się oddalamy.

Tomek przystanął:

— Słuchaj!

Wokół panowała głęboka i głucha cisza. Tomek krzyknął. Odpowiedziało mu echo, które przebiegło przez puste korytarze jak szyderczy śmiech i zamarło gdzieś w oddali.

— Przestań, Tomek! To takie straszne!

— Straszne, Becky, to prawda, ale trzeba wołać. Może nas usłyszą — i krzyknął po raz drugi.

To „może” wywołało jeszcze większą grozę niż upiorny śmiech echa, bo świadczyło o prawdziwym zwątpieniu. Dzieci stały i nasłuchiwały — ale odpowiedzi nie było.

Nagle Tomek zawrócił i przyspieszył kroku. Lecz niedługo to trwało. W chwilę potem jego niepewne zachowanie odkryło Becky drugą przerażającą prawdę: Tomek nie mógł odnaleźć drogi, którą tu przyszli!

— Och, Tomku, dlaczego nie robiłeś znaków?

— Becky, Becky! Co za bałwan ze mnie! Nie myślałem, że będziemy wracać tą samą drogą. Nie, nie mogę się zorientować. Wszystko się tu jakoś poplątało!

— Tomek! Zgubiliśmy się!! Już nigdy nie wydostaniemy się z tych pieczar! Dlaczego oddzieliliśmy się od innych dzieci!

Becky osunęła się na ziemię i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Tomek z przerażeniem pomyślał, że Becky umiera albo dostała pomieszania zmysłów. Usiadł przy niej i objął ją ramionami. Przytuliła się do niego, ukryła buzię na jego piersi i płakała nad beznadziejnością ich położenia. Echo zamieniało jej płacz w szyderczy śmiech. Na próżno Tomek błagał ją, by nabrała otuchy, bo jeszcze nie wszystko stracone — odpowiedziała, że nie ma już sił. Zaczął głośno robić sobie gorzkie wyrzuty, że to wszystko jego wina. To poskutkowało. Becky uspokoiła się nieco i powiedziała, że postara się być dzielna i pójdzie wszędzie, dokądkolwiek ją Tomek zaprowadzi, byle tylko przestał mówić takie rzeczy, bo ona jest tak samo winna jak i on.

Ruszyli więc dalej — bez celu — na los szczęścia. Nie pozostawało im nic innego, jak ciągle iść przed siebie. Chwilami, ni stąd ni zowąd, odżywała w nich nadzieja, że jeszcze odnajdą inne dzieci.

Tomek wziął świecę Becky i zgasił ją. Ta oszczędność powiedziała dziewczynce więcej, niż jakiegokolwiek słowa. Zrozumiała i straciła resztę nadziei. Wiedziała, że Tomek ma jeszcze w kieszeni jedną całą świecę i trzy lub cztery ogarki — a mimo to musiał oszczędzać.

Z wolna zaczęło ich ogarniać znużenie, ale nie zważali na to, bo strach gnał ich naprzód. Zresztą idąc w jakimkolwiek kierunku, skracali sobie czas i w końcu mogli trafić na jakieś znajome miejsce. Gdyby zaś usiedli, oznaczałoby to jedynie bierne oczekiwanie na śmierć.

Wreszcie małe nóżki Becky odmówiły posłuszeństwa. Musiała usiąść i odpocząć. Tomek usiadł koło niej. Rozmawiali o domu, o drogich im osobach, wygodnych łóżkach, a przede wszystkim — o świetle! Becky płakała, a Tomek łamał sobie głowę, jak ją pocieszyć, lecz wszystkie argumenty dawno już straciły swoją siłę przekonywania. Becky była tak wyczerpana, że zasnęła. Tomek bardzo się z tego ucieszył. Patrzył na jej pobladłe policzki — pod wpływem jakichś szczęśliwych snów zarumieniły się, a na buzi pojawił się uśmiech. Część jej ukojenia spłynęła także na Tomka. Powędrował myślami w przeszłość, w dalekie mgliste wspomnienia. Był zatopiony w marzeniach, gdy Becky przebudziła się z radosnym śmiechem, który w jednej chwili zamarł jej na ustach. Westchnęła ciężko.

— Jak mogłam tak spać! Lepiej by było, gdybym się już nigdy nie obudziła! Nie, nie, Tomku, to nieprawda! Nie patrz tak na mnie! Więcej tak nie powiem!

— Dobrze, że się trochę przespałaś. Odpoczęłaś i teraz na pewno znajdziemy drogę do wyjścia.

— Spróbujemy, Tomku. Ale wiesz, taką cudowną krainę widziałam we śnie... Może tam właśnie teraz pójdziemy...

— Jeszcze nie. Na to zawsze mamy czas. No, Becky, głowa do góry! Idziemy!

Wstali, wzięli się za ręce i szli, ale nie mieli zbyt wielkiej nadziei. Próbowali obliczyć, jak długo już są w pieczarach. Zdawało im się, że całe tygodnie, choć wiedzieli że to nieprawda, bo świece ciągle się jeszcze nie wypaliły.

Po upływie długiego, trudnego do określenia czasu, Tomek powiedział, że trzeba znaleźć jakieś źródło, więc muszą iść bardzo cicho, żeby usłyszeć plusk wody. Znaleźli je i Tomek zarządził chwilę odpoczynku. Oboje byli śmiertelnie znużeni, ale Becky oświadczyła, że mogłaby iść jeszcze trochę dalej. Zdziwiła się, że Tomek nie zgodził się na to. Nic nie rozumiała. Usiedli. Tomek gliną przylepił świecę do ściany. Milczeli zamyśleni. Wreszcie odezwała się Becky:

— Jestem strasznie głodna!

Tomek wydobył coś z kieszeni.

— Pamiętasz? — zapytał.

Becky prawie się uśmiechnęła.

— To nasz placek weselny, Tomku.

— Tak, chciałbym, żeby był wielki jak koło młyńskie. Nie mamy nic więcej.

— Specjalnie schowałam go dla nas na wycieczce, żebyśmy mogli podzielić się nim tak jak dorośli dzielą się prawdziwym tortem weselnym. Tymczasem będzie to dla nas...

Urwała w połowie. Tomek podzielił placek. Becky z wielkim apetytem zjadła swoją część, podczas gdy Tomek swoją właściwie tylko obwąchał. Wody ze źródła było pod dostatkiem, więc mogli pić ile chcieli. Nareszcie Becky zaproponowała, by ruszyć w dalszą drogę. Tomek milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

— Becky, czy masz dość siły, żeby wysłuchać tego, co ci powiem?

Becky zbladła, ale odrzekła, że chyba wytrzyma.

— Widzisz, Becky, musimy zostać tu, gdzie mamy wodę. Ten ogarek to ostatnia resztką światła.

Dziewczynka rozplakała się żałośnie. Tomek robił, co mógł, aby ją pocieszyć, ale niewiele zdziałał. Wreszcie Becky odezwała się:

— Tomku!
— Co, Becky?
— Oni przecież zauważą, że nas nie ma i będą nas szukać.
— Oczywiście, że tak! Na pewno!
— Może już szukają?
— Chyba tak. Bardzo możliwe.
— A kiedy mogli zauważyć, że nas nie ma?
— Pewnie jak wrócili na statek...
— Wtedy było ciemno... Wiesz, Tomek, mogli nic nie zauważyć...
— Nie wiem. W każdym razie twoja mama zaraz się zorientuje, jak tylko wycieczka wróci do domu.

Przerażone spojrzenie Becky uprzytomniło mu, co powiedział. Przecież Becky miała nie wracać na noc do domu!

Umilkli i pogrążyli się w milczącej zadumie. Nowy wybuch rozpaczyny Becky uświadomił Tomkowi, że myśleli o tym samym: pani Thatcher dopiero w niedzielę około południa mogła dowiedzieć się, że Becky nie nocowała u pani Harper.

Dzieci utkwili wzrok w resztkę świecy i śledziły jak gasła powoli i bezlitośnie. Widziały, jak pozostał już tylko sam knot, małeńki koniuszek; widziały, jak słaby płomyk podnosił się i opadał, aż puścił w górę ostatnią cieniutką stróżkę dymu — i wkoło zaległa straszliwa, nieprzenikniona ciemność.

W jakiś czas potem dotarło do Becky, że leży w ramionach Tomka i płacze, ale żadne z nich nie umiało powiedzieć, jak długo to trwało. Zdawali sobie sprawę tylko z tego, że ocknęli się z jakiegoś bardzo długiego śmiertelnego odrętwienia, i że ich sytuacja jest beznadziejna. Tomek powiedział, że to już niedziela, a może nawet poniedziałek. Usiłował wciągnąć Becky do rozmowy, ale rozpacz przygniotła ją zupełnie. Tomek dowodził, że w mieście na pewno od dawna wiedzą, co się stało i już ich szukają. Postanowił wołać, bo może ktoś usłyszy i przyjdzie tu po nich. Krzyknął raz, ale dalekie echa odpowiedziały mu w ciemności tak upiornym głosem, że przestał próbować.

Godziny upływały jedna za drugą i małych więźniów poczęła dręczyć głód. Tomek nie zjadł jeszcze swojego kawałka placka. Podzielili się nim i zjedli co do okruszynki. Ale teraz jeszcze bardziej zachciało im się jeść. Ta odrobina ciasta dodatkowo zaostrzyła ich głód.

Nagle Tomek szepnął:

— Psst! Słyszysz?!

Oboje wstrzymali oddech i nasłuchiwali. Doleciały ich jakieś odgłosy, jakby bardzo dalekie strzały. Tomek natychmiast odpowiedział okrzykiem. Wziął Becky za rękę i po omacku pobiegli w kierunku głosów. Znowu nasłuchiwali i ponownie usłyszeli te same odgłosy, lecz już znacznie bliżej.

— To oni! — zawołał Tomek. — Idą! Chodź, Becky! Teraz już wszystko będzie dobrze!

Mali więźniowie omal nie oszaleli z radości. Posuwali się jednak bardzo wolno, gdyż co krok trafiali na rozpadliny i trzeba było niezwykle uważać. Właśnie jedna taka rozpadlina stanęła im na drodze i musieli się zatrzymać. Mogła mieć metr głębokości, ale mogła mieć i sto. Tomek położył się na brzuchu i sięgnął ręką, jak mógł najgłębiej. Nie ma dna. Trzeba było się zatrzymać i czekać, aż szukający przyjdą tutaj po nich. Nasłuchiwali pełni napięcia. Najwyraźniej dalekie głosy oddalały się teraz od nich; jeszcze chwila i zamilkły zupełnie. Ogarnęła ich straszliwa, rozdzierająca serce rozpacz. Tomek wołał, krzyczał, aż ochrypl, ale na niewiele się to zdało. Przemawiał potem do Becky słowami pełnymi nadziei; minęła kolejna długa chwila oczekiwania — nic więcej nie słyszeli. Otaczała ich głucha cisza.

Po omacku wrócili do źródła. Godziny wlokły się w nieskończoność. Zasnęli. Obudzili się głodni i zmarznięci.

Tomek sądził, że jest już poniedziałek, a może nawet wtorek.

Przyszła mu nowa myśl do głowy. Z korytarza, w którym utknęli, biegło kilka odnóg. Lepiej iść je zbadać niż siedzieć beczynnie i rozpaczać. Wyjął z kieszeni sznurek od latawca, przywiązał jeden jego koniec do występu skalnego i ruszyli. Tomek szedł pierwszy i w miarę, jak się posuwali, powoli rozwijał sznurek. Po dwudziestu krokach natknęli się na urwisko. Tomek przyklęknął na brzegu. Macał ręką w głąb, próbując sięgnąć dna. Właśnie usiłował przesunąć się trochę w prawo, gdy wtem w odległości najwyżej piętnastu metrów, spoza skały wysunęła się ręka ludzka, trzymająca świecę. Tomek wydał gwałtowny okrzyk radości. W tej chwili za ręką wysunęła się reszta postaci — był to... pół-Indianin Joe! Tomek skamieniał na miejscu. Indianin rzucił się do ucieczki. Tomek poczuł ogromną ulgę. Zdziwił się, że Joe nie poznał jego głosu i nie zabił go za złożenie zeznań w sądzie. Najwidoczniej echo zmieniło jego głos, a ciemność skryła twarz. Niewątpliwie tak właśnie było. O ile mu tylko sił starczy, wróci do źródła; będzie tam tkwił bez ruchu i żadna siła nie zmusi go do ponownego spotkania z pół-Indianinem. Był na tyle ostrożny, że zataił przed Becky, kogo widział. Powiedział jej, że wołał tak na wszelki wypadek.

Ale po upływie kolejnych godzin głód i determinacja okazały się silniejsze od strachu. Długi niespokojny sen, nowy atak głodu i męka biernego oczekiwania przy źródle zmieniły zamiary Tomka. Był przekonany, że jest środa lub czwartek, a może nawet piątek — i że przestano ich już szukać. Postanowił zbadać inny korytarz. Gotów był teraz na spotkanie z Indianinem i każdą inną okropnością. Ale Becky była bardzo osłabiona. Popadła w otępiałą apatię, z której nic nie mogło jej wyciągnąć. Mówiła, że tutaj będzie czekała, aż przyjdzie śmierć — to już nie potrwa długo. Niech Tomek idzie ze sznurkiem i szuka, jeśli ma ochotę. Błagała go tylko by od czasu do czasu wrócił i powiedział coś do niej. Kazała mu przyrzec, że gdy nadejdzie straszna chwila śmierci, będzie stał przy niej i trzymał ją za rękę, póki się wszystko nie skończy.

Tomek pocałował ją, czując, że coś go dławi w gardle. Z udawaną pewnością oświadczył, że znajdzie ludzi, którzy ich szukają, lub sam w jakiś sposób wydostanie się z pieczar. Potem wziął sznurek i na czworakach, po omacku szukając drogi, dręczony głodem i wizją okropnej śmierci, wpełzł w boczny korytarz.

Rozdział XXXIII

Nadszedł wtorek. Minęło popołudnie i zapadł zmrok. Miasteczko St. Petersburg pogrążone było w ciężkiej żałobie. Dzieci nie odnaleziono. W kościele odprawiano publiczne modły za zaginionych, a w domach wkładano całe serce w żarliwe pacierze i prośby o ratunek. Z pieczar nie nadeszła jednak żadna pocieszająca wiadomość. Większość członków ekspedycji zaniechała poszukiwań i powróciła do codziennych zajęć. Nie wierzyli, aby można było jeszcze odnaleźć dzieci.

Pani Thatcher była ciężko chora i rzucała się w gorączce. Mówiono, że serce pęka z żalu, gdy się słyszy, jak ciągle woła swoje dziecko, podnosi głowę, nasłuchuje, a potem z jękiem opada na poduszki. Ciotka Polly pogrążyła się w ciężkiej melancholii, a jej siwiejące włosy stały się teraz białe jak mleko. Miasteczko szykowało się do ciężkiego snu.

Nagle, w środku nocy, rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście. W jednej chwili ulice zapęłniły się tłumem na pół ubranych ludzi, którzy biegali nieprzytomnie i wołali gorączkowo:

— Wychodzić! Wychodzić! Odnaleźli się!!!

Gwar i zamęt powiększyły się jeszcze, gdy ludzie zaczęli walić w patelnie i gwizdać. Tłum rósł i pędził w stronę rzeki. Na wozie, który ciągnęli wrzeszczący wniebogłosy

obywatele miasteczka, siedziały zmizerowane, ale uśmiechnięte dzieci. W mgnieniu oka otoczyła je cizba ludzka i wspaniały triumfalny pochód przemaszerował główną ulicą wśród ogłuszających krzyków i wiwatów.

Zapalono wszystkie światła — nikt już nie wracał do łóżka. To była najbardziej pamiętna noc w historii miasteczka. W ciągu pół godziny przez dom sędziego Thatchera przewinęli się chyba wszyscy mieszkańcy osady. Ocalone dzieci brano w objęcia i całowano. Ludzie ściskali rękę pani Thatcher, usiłowali mówić, ale, z braku słów, zalewali cały dom potokami łez i wychodzili na ulicę.

Szczęście ciotki Polly nie miało granic. Szczęście pani Thatcher stało się bez granic, gdy upewniła się, że wysłano gońca, który miał dotrzeć do przebywającego w pieczarach sędziego Thatchera i przekazać mu szczęśliwą nowinę.

Tomek leżał na kanapie otoczony licznym gronem słuchaczy, którzy z zapartym tchem słuchali jego relacji z pobytu w podziemiach. Opowiadał o ich wstrząsających przygodach, często upiększając fakty jeszcze bardziej wstrząsającymi szczegółami. Skończył opisem, jak to zostawił Becky i poszedł sam szukać wyjścia; jak zapuszczał się po kolei w dwa korytarze tak daleko, dopóki starczyło mu sznurka; jak następnie wszedł w trzeci korytarz, znów do samego końca sznurka i już miał zawrócić, gdy nagle zauważył w oddali jakiś jasny punkcik; jak rzucił sznurek, popełnił w tamtą stronę, precyzyjnie głowę i ramiona przez wąski otwór i — zobaczył spokojne wody Missisipi. Gdyby to była noc, nigdy nie dostrzegłby tego światełka! Opowiadał dalej, jak wrócił do Becky, przynosząc jej radosną nowinę, ale ona prosiła go, aby jej tak nie dręczył, bo nie ma już siły; wie, że umiera i chce umrzeć. Opisywał też, ile się musiał nabiedzić, zanim ją wreszcie przekonał, i jak radośćomal jej nie zabiła, gdy doczłógali się do miejsca, z którego mogła zobaczyć ów niebieski punkcik światła dziennego; jak przedostał się przez rozpadlinę, a potem wyciągnął Becky; jak usiedli i płakali ze szczęścia; jak jacyś ludzie nadpłynęli łodzią, a Tomek zawołał na nich i powiedział im, co się stało i że są strasznie głodni; jak oni najpierw nie chcieli uwierzyć w tę nieprawdopodobną historię, mówiąc: „Przecież wy jesteście w odległości pięciu kilometrów od wejścia do pieczar”, ale potem zabrali ich ze sobą, zawieźli do jakiegoś domu, nakarmili, dali im odpocząć parę godzin i w nocy odwieźli do miasta.

Jeszcze przed świtem, idąc za sznurkiem, którym sędzia Thatcher i jego pomocnicy znaczyli swą drogę, odnaleziono ich w pieczarach i przekazano im radosną nowinę.

Jednak trzy doby udręki psychicznej i męki głodu nie mogły przejść bez śladu, o czym Tomek i Becky przekonali się na własnej skórze. Całą środę i czwartek musieli

przeleżeć w łózkach, a ich znużenie i wycieńczenie nie zmniejszyło się ani o włos. Ale w czwartek Tomek już troszeczkę chodził, w piątek był w mieście, a w sobotę czuł się zdrow jak ryba. Becky musiała zostać w domu aż do niedzieli i wyglądała tak, jakby przeszła długą obłożną chorobę.

Tomek dowiedział się o chorobie Hucka i w już piątek poszedł go odwiedzić, ale nie dopuszczono go do łóżka. Tak samo było w sobotę i w niedzielę. Potem pozwolono mu przychodzić codziennie, lecz zabroniono opowiadać o swojej przygodzie, gdyż mogło to zbyt zduenerwować Hucka. Wdowa Douglas siedziała w pokoju i pilnowała, żeby Tomek nie przekroczył zakazu. W domu dowiedział się o wypadku na wzgórzu Cardiff i o tym, że w rzece niedaleko przystani znaleziono zwłoki „obdartusa”. Widocznie utonął w czasie ucieczki.

Mniej więcej w dwa tygodnie po wydostaniu się z pieczar Tomek wybrał się w odwiedziny do Hucka, który już dostatecznie powrócił do sił i mógł wysłuchać niesamowitej historii. Zwłaszcza, że Tomek miał mu do opowiedzenia parę szczegółów, o których nie wątpił, że bardzo zainteresują przyjaciela. Droga prowadziła obok domu sędziego Thatchera, wstąpił więc, aby zobaczyć Becky. Sędzia i kilku jego gości wdali się w rozmowę z Tomkiem. Ktoś zapytał go żartem, czy miałby ochotę jeszcze raz iść do pieczar. Tomek odpowiedział, że tak — wcale by się nie bał. Na to odezwał się sędzia Thatcher:

— Nie wątpię, Tomku, że takich jak ty, znalazłoby się więcej. Ale nic z tego. Pomyśleliśmy o tym i nikt już nie zbłądzi w pieczarach.

— Jak to?

— Bo jeszcze przed dwoma tygodniami kazałem porządnie okuć drzwi żelazem i zamknąć je na trzy zamki. Klucze są u mnie.

Tomek zbladł jak płótno.

— Co ci jest, chłopcze? Prędko, niech ktoś przyniesie szklankę wody!

Ktoś przyniósł wody i skropiono nią twarz Tomka.

— No, już ci lepiej? Co się stało?

— Boże, panie sędzio, w pieczarach jest pół-Indianin Joe!

Rozdział XXXIV

Wieść rozeszła się po miasteczku lotem błyskawicy i w parę minut później kilkanaście łodzi wypełnionych mężczyznami płynęło już w stronę pieczar Mac Dougala. Za nimi wyruszył statek szczelnie nabity ciekawskimi pasażerami. Tomek Sawyer siedział w łodzi sędziego Thatchera.

Gdy otworzono drzwi, prowadzące do pieczar, w półmroku korytarza ukazał się straszny widok. Indianin Joe leżał rozciągnięty na ziemi, martwy, z twarzą tuż przy szczelinie pod drzwiami, jakby do ostatniej chwili jego oczy wpatrywały się tęsknie w światło, radość i wolność życia po drugiej stronie drzwi. Tomek był wzruszony, bo z własnego doświadczenia wiedział, jakie męki przeszedł Joe przed śmiercią. Zbudziła się w nim litość, ale niezależnie od niej doznał uczucia nieopisanego ulgi; dopiero teraz poczuł się naprawdę bezpieczny. Uświadomiło mu to, jakim ciężarem przygniatał go strach od dnia, kiedy złożył przed sądem zeznania przeciw temu bezwzględnemu mordercy.

Duży myśliwski nóż Indianina leżał przy nim ze złamaną klingą. Masywny próg drzwi był niemal cały zestrugany. Cała praca poszła na darmo, gdyż na zewnątrz próg stanowiła żywa skała, której nóż nie mógł naruszyć i musiał się złamać. Ale nawet gdyby nie było tej skały, wysiłek Joego na nic by się nie przydał, bo choćby zestrugał cały próg, i tak nie zdołałby się przecisnąć pod drzwiami. Indianin musiał o tym wiedzieć. Strugał i dłubał, byle się tylko czymś zająć; byle skrócić sobie długi czas męki, by jakimkolwiek zajęciem zagłuszyć straszne myśli. Zwykle u wejścia do pieczar można było znaleźć ogarki świec porzucone przez turystów — teraz nie było ani jednego. Więzień pozbierał je i zjadł. Musiał także chwycić nietoperze i zjadać je żywcem, o czym świadczyły leżące na ziemi ich pazury. Nieszczęsny Joe umarł z głodu i pragnienia. Niedaleko niego w ciągu długich wieków wyrósł z ziemi stalagmit. Utworzyły go krople wody, kapiące ze stalaktytu, wiszącego u stropu. Więzień ułamał stalagmit i położył na nim kamień, w którym wydrążył małe zagłębienie. W ten sposób chwycił bezcenne krople wody, spadające co dwadzieścia minut z dokładnością zegara wahadłowego. Dawało to łyżeczkę wody na dobę...

Krople te spadały, gdy budowano piramidy, gdy zdobywano Troję, gdy powstawało Imperium Rzymskie, gdy ukrzyżowano Chrystusa, gdy Wilhelm Zdobywca tworzył państwo angielskie, gdy Kolumb żeglował po oceanie, gdy wojna o niepodległość Ameryki była najnowszym wydarzeniem. I ciągle jeszcze spadają i będą spadać być

może do końca świata. Wiele lat upłynęło już od chwili, kiedy nieszczęsny Joe wydrążył kamień, by chwycić bezcenne krople, ale po dziś dzień, zwiedzający pieczary turysta, długo i ze wzruszeniem patrzy na ten kamień i ściekającą wodę. Na liście cudów labiryntu pieczar Mac Dougla „Czarka Indianina Joego” zajmuje pierwsze miejsce. Nawet „Pałac Aladyna” nie może z nią konkurować.

Zwłoki pół-Indianina Joego pochowano tuż u wejścia do jaskini. Z miasteczka, z okolicznych farm i wiosek ściągnęły tłumy ludzi na jego pogrzeb. Przybyli wozami i łodziami, z dziećmi i prowiantem. Wszyscy orzekli, że pogrzeb Indianina był nie mniejszą atrakcją niż byłaby jego publiczna egzekucja.

Pogrzeb Joego położył kres sprawie petycji do rządu o jego ułaskawienie. Wprawdzie według opinii publicznej mieszaniec miał na sumieniu pięć morderstw, ale i tak znaleźli się ludzie, którzy chcieli go uchronić od stryczka. Śmierć Indianina w naturalny sposób zakończyła te starania.

Nazajutrz po pogrzebie Tomek wyciągnął Hucka w ustronne miejsce, aby odbyć z nim ważną rozmowę. O przygodzie Tomka Huck wiedział już wszystko od starego Walijczyka i pani Douglas, ale Tomek szepnął mu, że jest jeszcze coś, o czym na sto procent nie mógł słyszeć. I właśnie na ten temat chce teraz z nim pomówić. Huck posmutniał:

— Wiem, o co chodzi — powiedział. — Poszedłeś pod numer drugi i nic nie znalazłeś, oprócz wódki. Wprawdzie nikt mi nie powiedział, że to byłeś ty, ale od razu zrozumiałem, że ta heca z wódką to twoje odkrycie. I domyśliłem się, że nie znalazłeś tam skarbu, bo inaczej na pewno dałbyś mi jakoś znać. Wiesz, Tomek, coś mi mówi, że te pieniądze przepadły na zawsze.

— Co ty mówisz, Huck! Ja nie miałem nic wspólnego z tą gospodą! Przecież w sobotę, kiedy pojechałem na wycieczkę, gospoda była jeszcze otwarta; wiesz o tym, bo sam miałeś stać pod nią na warcie.

— Co? Rzeczywiście! Boże, zdaje mi się, że już cały rok upłynął od tego czasu. Ale masz rację, to było tej samej nocy, kiedy szedłem za pół-Indianinem do domu wdowy...

— To ty szedłeś za nim?

— Tak, ale o tym nikomu ani słowa! Joe na pewno miał jakichś przyjaciół, a ja nie mam najmniejszej ochoty, żeby przyszli tutaj mścić się na mnie. Przecież gdyby nie ja, facet siedziałby sobie teraz w Teksasie i gwizdał na wszystkich.

I Huck w zaufaniu opowiedział Tomkowi całą swoją przygodę.

— W każdym razie — powiedział Huck, wracając do głównej sprawy — ten, kto świsnął spod numeru drugiego wódkę, zgarnął i pieniądze. Teraz możemy zapomnieć o skarbie.

— Coś ci powiem, Huck. Tych pieniędzy nigdy nie było pod numerem drugim...

— Co takiego? — Huck wpatrywał się badawczo w twarz Tomka. — Wpadłeś na jakiś ślad?!

— Huck, one są w pieczarach!!

Huckowi zaświeciły się oczy.

— Powtórz to jeszcze raz, Tomku!

— Pieniądze są w pieczarach!

— Tomek, daj słowo honoru, że mówisz poważnie.

— Słowo honoru, że mówię poważnie. Pójdiesz ze mną, żeby pomóc mi je wyciągnąć?

— No jasne!! To znaczy... jeśli będziemy mogli oświecić sobie tam drogę i w ogóle... mieć pewność, że nie zabłądzimy.

— Spokojna głowa! Zrobimy to bez najmniejszego ryzyka.

— Niech ja skisnę! Ale skąd wiesz, że pieniądze...

— Nic się nie martw, Huck. Wszystko sam zobaczysz i zrozumiesz, jak już tam będziemy. Jeśli nie znajdziemy skarbu, oddam ci mój bęben i w ogóle wszystko, co mam. Słowo pirata!

— W porządku. Więc kiedy?

— Zaraz!! Oczywiście, jeśli masz na tyle sił po chorobie.

— A czy to daleko od wejścia? Dopiero trzy, cztery dni chodzę po podwórku i dalej niż kilometr nie dam rady iść. Nogi by mi wysiadły.

— Zwykłą drogą to jest ponad pięć kilometrów, ale ja znam inną... znacznie krótszą. Nikt inny nie ma o niej nawet zielonego pojęcia. Popłyniemy tam łódką. W dół popłynie sama z prądem, a z powrotem ja będę wiosłował. Huck, nie będziesz musiał nawet palcem kiwnąć!

— No to chodźmy! Szybko!

— Dobra. Ale najpierw musimy zabrać parę rzeczy: chleb, mięso, nasze fajki, jeden lub dwa woreczki, parę sznurków od latawców i trochę zapalek. Żebyś wiedział, jak bardzo wtedy żałowałem, że nie miałem ich ze sobą...

Zaraz po południu chłopcy „pożyczyli” sobie małą łódkę od pewnego pana, którego akurat nie było nigdzie w pobliżu, i ruszyli w drogę. Gdy byli już bardzo daleko od

wejścia do pieczar, Tomek powiedział: — Cały ten stromy brzeg, od wejścia do pieczar aż do tego miejsca, na oko jest wszędzie jednakowy. Ani domów, ani ściętych drzew, nic tylko same zarośla. Ale widzisz tam w górze jaśniejszy pasek ziemi? Wygląda tak, jakby ziemia sama się obsunęła, prawda? To właśnie jest mój znak. Wsiadamy.

Wyszli na brzeg.

— Słuchaj, Huck, z miejsca, gdzie teraz stoimy, masz tylko kilkanaście kroków do dziury, przez którą wyszedłem na świat. Ciekawy jestem, czy ją znajdziesz?

Huck szukał wszędzie, ale nic nie znalazł. Wtedy Tomek z dumną miną podszedł ku zbitej gęstwinie krzaków i rzekł:

— To tu! Patrz! Chyba na całym świecie nie ma drugiej tak świetnie schowanej dziury. Tylko trzymaj język za zębami. Od dawna chciałem zostać zbójcą, ale cały czas brakowało mi odpowiedniej kryjówki, której by nikt nie mógł odnaleźć. To jest właśnie takie miejsce. Nikomu nic o tym nie powiemy. Do tajemnicy dopuścimy tylko Joego Harpera i Bena Rogersa, bo musimy mieć całą bandę, inaczej wszystko byłoby do kitu. „Banda Tomka Sawyera”! To brzmi wspaniale, co, Huck?

— Aha! A kogo będziemy łupić?

— Mój Boże, przeważnie każdego. Będziemy czatować na przejezdnych — tak się to robi.

— I będziemy ich zabijać?

— Nie... nie zawsze. Będziemy ich trzymać w pieczarach, dopóki nie dostaniemy okupu.

— Co to jest okup?

— Pieniądze. Przyjaciele jeńców muszą zapłacić za nich tyle pieniędzy, ile tylko mogą zebrać. A jeśli minie rok, a okupu nie będzie, wtedy jeńców się zabija. Taka jest zasada. Tylko kobiet się nie zabija. Zamyka się, ale nie zabija. One są zawsze piękne, bogate i okropnie się boją. Zabiera się im zegarki i inne takie, ale zdejmuje się przed nimi kapelusz i rozmawia z wyszukaną grzecznością. Nikt nie jest tak dobrze wychowany jak zbójca — możesz się o tym dowiedzieć z każdej książki. Potem kobiety zakochują się w nas; po upływie jednego lub dwóch tygodni przestają płakać, no i wtedy w ogóle już nie można się ich pozbyć z jaskini. Wygonisz je, a one i tak zaraz wracają. Tak jest w każdej fachowej książce.

— To całkiem niezłe. Chyba nawet lepsze niż życie pirata.

— Pewno, że lepsze. Zwłaszcza, że przez cały czas masz pod ręką dom, cyrk, i tak dalej.

Tymczasem skończyli przygotowania do zejścia w głąb pieczar. Wczołgali się do dziury. Tomek prowadził. Z trudem dobrnęli do końca korytarza, przywiązali sznurek i ruszyli dalej. Po kilku krokach znaleźli się przy źródle. Tomka obleciał zimny dreszcz. Pokazał Huckowi koniuszek knota, przylepiony bryłką gliny do skały, i opowiedział jak razem z Becky patrzyli na ostatnie podrygi gasnącego płomyka.

Mimo woli zaczęli mówić szeptem. Cisza i mrok, jakie panowały w tym miejscu, działały na nich przygnębiająco. Poszli dalej i skręcili w drugi korytarz, którym dotarli aż do rzekomej „przepaści”. Przy świetle świec okazało się, że nie była to przepaść, tylko strome zbocze gliniastego wzgórza, mającego sześć do dziesięciu metrów wysokości. Tomek szepnął:

— Teraz coś ci pokażę.

Podniósł wysoko świecę i powiedział:

— Zajrzyj za ten róg, jak daleko możesz. Widzisz coś? Tam, na tej wielkiej skale — znak zrobiony kopciem świecy.

— Tomku, to przecież krzyż!

— Więc gdzie jest „numer drugi”? „Pod krzyżem”, co? Właśnie tam widziałem Indianina, jak trzymał świecę w ręce!

Huck przez chwilę nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w tajemniczy znak, po czym szepnął drżącym głosem:

— Tomku, uciekajmy stąd!

— Co? I zostawić skarb?!

— Tak, zostawić. Nie rozumiesz? Na pewno pilnuje go duch Indianina!

— Coś ty, Huck! Niemożliwe! On straszy tam, gdzie umarł — u wejścia do pieczar. A to jest dobre pięć kilometrów stąd.

— Nie wierzę w to. On się kręci koło miejsca, gdzie leżą pieniądze. Znam zwyczaje duchów, ty zresztą też je znasz...

Tomek zaczął się obawiać, że Huck ma rację. Ogarnął go niepokój. Naraz błysnęła mu zbawienna myśl:

— Słuchaj, Huck, ale z nas osły! Przecież duch Indianina nie może przyjść tam, gdzie jest krzyż!

Argument trafił w dziesiątkę i poskutkował w całej pełni.

— O kurczę, to prawda! Jasne, że tak! Całe szczęście, że tu jest krzyż. No to zjeżdżajmy na dół po skrzynkę!

Tomek ruszył przodem. Schodząc w dół, wybijał w glinie prymitywne schodki. Huck szedł za nim. Obok wielkiej wystającej skały była mała komora, z której rozchodziły się cztery korytarze. Przeszukali trzy, ale bez rezultatu. U stóp skały odkryli małą niszę, a w niej legowisko z kilku koców, stare szelki, skórę ze słoniny i dokładnie obgryzione kości paru kurcząt. Skrzyni z pieniędzmi ani śladu. Chłopcy szukali wzdłuż i wszerz — na próżno. Wreszcie Tomek powiedział:

— Mówił, że pod krzyżem. A tutaj jest najbliżej krzyża. To nie może być pod samą skałą, bo ona siedzi głęboko w ziemi.

Przetrząsnęli wszystko jeszcze raz. W końcu usiedli zniechęceni. Huckowi nic nie przychodziło do głowy. Po chwili milczenia Tomek odezwał się:

— Patrz, Huck, tu w glinie są ślady nóg i plamy od świecy, ale tylko z tej strony skały; z innych stron nic nie ma — to już sprawdziliśmy. Wiesz, co? Jestem pewny, że pieniądze są jednak pod skałą... Trzeba odkopać glinę.

— To może i niezły pomysł — powiedział Huck, w którego znowu wstąpiła otucha.

Tomek wydobył swój „prawdziwy” scyzoryk „Barlow” i zaczął nim rozkopywać glinę. Na głębokości kilku centymetrów trafił na drzewo.

— Huck, słyszałeś?!

Huck zaczął rozgrzebywać glinę rękami. Odsłonili kilka desek i wyciągnęli je na wierzch. Zakrywały one naturalny korytarz, który schodził pod skałę. Tomek wsunął się do środka i próbował oświetlić wnętrze, ale końca korytarza nie było widać. Zaproponował, żeby to dokładnie zbadać. Schylił się i cały wszedł pod skałę. Wąski tunel pochylał się nieco w dół. Tomek skręcił najpierw w prawo, potem w lewo, a Huck niemal deptał mu po piętach. Nagle, po jeszcze jednym ostrym zakręcie, Tomek zawołał:

— Święty Boże! Huck, patrz!

To była bez wątpienia skrzynia ze skarbem. Stała w małym zagłębieniu; obok niej leżała pusta beczka po prochu, a nieco dalej kila strzelb w skórzanych futerałach, kilka par starych mokasynów, skórzany pas z nabojami i inne rupiecie zupełnie przemoknięte od ściekającej wody.

— Nareszcie! — zawołał Huck, grzebiąc ręką w zaśniedziałych monetach. — Ale teraz jesteśmy bogaci!

— Zawsze wiedziałem, Huck, że znajdziemy ten skarb. Ale to takie cudowne, że aż trudno w to uwierzyć!... Słuchaj, nie ma na co czekać, trzeba zabrać stąd te pieniądze. Czekaj, zobaczę czy dam radę sam podnieść skrzynkę.

Była bardzo ciężka. Tomek wprawdzie ruszył ją z miejsca, ale nie było mowy, aby doniósł ją do łódki.

— Tak właśnie myślałem — wysapał. — Kiedy zobaczyłem, jak wynoszą tę skrzynkę z nawiedzonego domu, od razu wiedziałem, że musi być dość ciężka. Dobrze zrobiliśmy, że zabraliśmy worki.

Pieniądze szybko znalazły się w workach i chłopcy zanieśli je do skały zaznaczonej krzyżem.

— Weźmy jeszcze strzelby i inne rzeczy — doradzał Huck.

— Nie, lepiej zostawmy je tutaj. Przydadzą się nam, kiedy będziemy zbójcami. Teraz niech sobie tu leżą. W tym miejscu będziemy też urządzać orgie. Widzę, że ta komora świetnie nadaje się na orgie.

— Co to są orgie?

— Nie wiem. Ale zbójcy zawsze wyprawiają orgie, więc my też musimy. No, chodź Huck, sporo czasu tu straciliśmy. Chyba jest już bardzo późno. Jestem strasznie głodny. W łodzi pojemy sobie i zapalimy.

Po niedługiej chwili wyszli spod ziemi w gęstwinę krzaków. Rozejrzeli się ostrożnie, sprawdzili, czy wszystko jest w porządku i pobiegli w stronę łódki. Wyprawili sobie małą ucztę i w błogim nastroju zapalili fajki. Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, odbili od brzegu i popłynęli w górę rzeki. Tomek wiosłował, wesoło gawędząc z Huckiem. Do miasteczka dotarli o zmroku.

— Wiesz co, Huck, schowamy skarb w drwalni pani Douglas. Przyjdziemy tam wcześniej rano, przeliczymy pieniądze i podzielimy się nimi po połowie. Potem wyszukamy sobie w lesie jakiś bezpieczny schowek i zakopimy je tam. Teraz posiedź tu chwilę i popilnuj tego wszystkiego, a ja skoczę po wózek Bena Taylora. Wrócę za minutę.

Zniknął i po chwili wrócił z małym ręcznym wózkiem. Załadował worki, przykrył je starymi szmatami i ruszył, ciągnąc za sobą swój bagaż. Obok domu Walińczyka przystanęli, aby odpocząć. Właśnie wybierali się w dalszą drogę, gdy wyszedł stary i zawołał:

— Hej, kto tam?

— Huck i Tomek Sawyer!

— Wspaniale! Chodźcie no ze mną, chłopcy, bo tam wszyscy na was czekają! No chodźcie, nie bójcie się. Dajcie ten wózek, to go wam pociągnę. O, do licha, lekki to on nie jest! Co tam macie, cegły czy stare żelastwo?

— Hm, stare żelastwo... — odpowiedział Tomek.

— Tak myślałem. Wszyscy chłopcy wolą się namęczyć i stracić kupę czasu na zbieranie złomu, za który dostaną parę groszy, niż nająć się do jakiejś pracy u uczciwych ludzi. Ale taki już jest ten świat. No, chłopaki, jazda!

Chłopcy chcieli się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Nic wam teraz nie powiem. Dowiedcie się u pani Douglas.

Huck zaniepokoił się trochę, bo zawsze go o coś niesłusznie posądzano, toteż powiedział nieśmiało:

— Ale myśmy nie zrobili nic złego, panie Jones.

Walijczyk roześmiał się.

— Mój kochany, ja nic nie wiem i niczego się nie domyślam. A może pokłóciłeś się z panią Douglas?

— Ależ skąd! Ona zawsze była dla mnie taka dobra!

— No więc wszystko w porządku. Czego się boisz?

Zanim wolno myśląca głowa Hucka zdołała sobie odpowiedzieć na to pytanie, obaj z Tomkiem zostali wepchnięci do salonu pani Douglas. Pan Jones zostawił wózek za drzwiami i wszedł za nimi.

Pokój był wspaniale oświetlony. Zebrali się tu wszyscy ludzie, którzy mieli jakiegokolwiek znaczenie w miasteczku. Byli więc państwo Thatcherowie, Harperowie, Rogersowie, ciotka Polly, Sid, Mary, pastor, redaktor i wielu, wielu innych — a wszyscy odświętnie ubrani.

Wdowa przywitała chłopców z możliwie największą serdecznością, na jaką można się było w ogóle zdobyć wobec gości, którzy wyglądali tak jak oni. Byli od stóp do głów ubabrani gliną i pochlapani woskiem ze świec. Ciotka Polly zaczerwieniła się ze wstydu jak piwonia, zmarszczyła brwi i groźnie trzęsła głową. Ale najgorzej ze wszystkich czuli się sami chłopcy; nikt nie był tak zakłopotany jak oni dwaj. Pan Jones zdał relację:

— Tomka ciągle nie było w domu. Już myślałem, że nic z tego nie będzie i chciałem dać za wygraną, gdy dosłownie nadziałem się na nich przed moim własnym domem. No i tak, jak stali, przyprowadziłem ich tutaj.

— I bardzo dobrze pan zrobił — powiedziała wdowa. — Chodźcie za mną, chłopcy.

Wciągnęła ich do sypialni i powiedziała:

— Teraz umyjcie się i przebierzcie. Tu leżą dwa nowe ubrania; koszule, skarpetki, wszystko w komplecie. To dla Hucka — daj spokój, chłopcze, nie dziękuj — jedno ubranie jest od pana Jonesa, drugie ode mnie. Będą chyba dobre na was obu. No,

ubierajcie się. Poczekamy na was. Jak już będziecie podobni do ludzi, to zejdźcie do salonu.

Po tych słowach wyszła.

Rozdział XXXV

— Słuchaj, Tomek — powiedział Huck — gdybyśmy znaleźli linę, moglibyśmy zwać stąd. Okno nie jest wysoko.

— Bez sensu! Dlaczego chcesz zwiewać?

— Eee, nie lubię tłoku... nie jestem do tego przyzwyczajony. Ja tego nie wytrzymam. Nie zejdę do nich!

— Gadanie! To nic nadzwyczajnego. Zresztą wszystko mi jedno. Nie bój się, będę stał obok i uważał na ciebie.

Zjawił się Sid.

— Wiesz, Tomek — powiedział — ciocia czekała na ciebie całe popołudnie. Mary przygotowała twoje odświętne ubranie i wszyscy o ciebie pytali. Czy to coś na twoim ubraniu, to glina i świeca?

— Sid, bądź łaskawy nie wtykać nosa w cudze sprawy. Co to za heca tam na dole?

— To taki wieczorek, jakie wdowa często urządza. Dziś jest to przyjęcie na cześć Walijczyka i jego synów, za to, że ją wtedy w nocy uratowali. Słuchaj, jak chcesz, to mogę ci powiedzieć nawet coś więcej...

— No? Mów.

— Bo widzisz, stary Jones przygotował dla zebranych pewną niespodziankę, ale ja podsłuchałem, jak mówił dziś o tym z ciocią. He, he, teraz to już nie jest żadna tajemnica. Wszyscy już wiedzą — wdowa też, ale udaje, że się niczego nie domyśla. Panu Jonesowi bardzo zależało na tym, żeby Huck był tu dzisiaj, bo bez niego nie mógłby tak efektownie wystrzelić przed gośćmi z tą tajemnicą.

— Tajemnicą? Jaką?

— No, że Huck śledził tych bandytów aż do domu wdowy. Stary Jones chciał swoją niespodzianką narobić tutaj dużego hałasu, ale zdaje się, że nic z tego nie będzie...

Sid zachichotał, bardzo z siebie zadowolony.

— Sid, czy to ty rozgadałeś?

— Wszystko jedno kto. Ktoś rozgadał — to wystarczy.

— Sid, w całym mieście znam tylko jednego takiego łajdaka, który jest zdolny do czegoś podobnego. Tym łajdakiem jesteś ty. Gdybyś znalazł się przypadkiem na miejscu Hucka, zwiewałbyś stamtąd, aż by się za tobą kurzyło i ze strachu nikomu nie pisnąłbyś ani słowa o bandytach i ratunku dla pani Douglas. Umiesz tylko robić świństwa i nie możesz znieść, gdy kogoś chwala za coś dobrego. No, no, nie dziękuj, jak mówi wdowa.

Tomek chwycił Sida za uszy, wytarł go porządnie i kilkoma kopniakami pomógł mu wydostać się za drzwi.

— Idź, poskarż się ciotce, jeśli masz ochotę, a jutro nastąpi ciąg dalszy!

W kilka minut później goście wdowy zasiedli do uroczystej kolacji. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem wszystkie obecne dzieci — a było ich kilkoro — posadzono przy małych stoliczkach pod ścianą, stojących w tym samym pokoju. Gdy nadeszła odpowiednia chwila, pan Jones wygłosił mowę, w której podziękował wdowie za zaszczyt, jaki spotkał jego i jego synów, ale — ciągnął dalej — jest tu jeszcze ktoś inny, którego skromność...

I tak dalej, i tak dalej. Mistrzowsko wyjechał ze swoją dramatyczną rewelacją o roli Hucka w tej przygodzie, lecz zdumienie gości było mocno udawane i nie objawiło się w sposób tak głośny i żywiołowy, jak by to miało miejsce w innych okolicznościach. Pani domu jednak bardzo zręcznie udała zdziwienie i zasypała Hucka taką ilością komplementów i objawów wdzięczności, że biedak zapomniał nawet o tym, jak okropnie czuje się w swoim nowym ubraniu. Wydawało mu się, że jest tarczą, w którą mierzy uwaga wszystkich gości, ich życzliwe spojrzenia i chóralne pochwały.

Wdowa oświadczyła, że zamierza przyjąć Hucka do swego domu i wziąć go na wychowanie, a później, o ile jej środki na to pozwolą, pomóc mu skromnie, ale przyzwolicie urządzić się w życiu.

— Huckowi tego nie potrzeba — wszedł jej w słowo Tomek. — Huck jest bogaty.

Tylko dzięki dobremu wychowaniu goście nie zareagowali gromkim śmiechem na ten świetny dowcip towarzyski. Kłopotliwe milczenie przerwał Tomek:

— Huck ma pieniądze. Może państwo temu nie wierzycie, ale to prawda. Ma ich całą masę. Proszę się nie uśmiechać. Zaraz mogę państwa przekonać. Jedną chwileczkę!

Wypadł z pokoju. Wszyscy spoglądali na siebie, nie wiedząc, co o tym myśleć. Na Hucku spoczęły pytające spojrzenia gości, ale ten milczał jak zakłęty.

— Sid, o co chodzi Tomkowi? — zapytała ciotka Polly. — On... Nie rozumiem... Z nim nigdy nic nie wiadomo... Ja nie wiem...

Wszedł Tomek, uginając się pod ciężarem worków, i nie dał ciotce dokończyć zdania. Wysypał na stół całą górę złotych monet i powiedział po prostu:

— Połowa jest Hucka, a połowa moja.

Widok takiej masy pieniędzy zaparł wszystkim dech w piersiach. Wytrzeszczyli oczy i siedzieli jak skamieniali. Po chwili jednak odzyskali mowę i wszyscy naraz zaczęli domagać się wyjaśnień. Tomek oświadczył, że może udzielić wyjaśnień, i tak też zrobił.

Opowiadanie było długie, ale słuchało się go niczym sensacyjnej historii. Nikt ani słowem nie zmącił uroku, jaki miała opowieść Tomka. Gdy skończył, pan Jones powiedział:

— Myślałem, że dziś wieczór zadziwię państwa moją niespodzianką, ale wobec tego, co tu widzę, przyznaję, że była ona bardzo mizerna...

Przeliczono pieniądze. Było tego ponad dwanaście tysięcy dolarów. Nikt z obecnych w salonie gości nigdy nie widział tylu pieniędzy naraz, chociaż byli wśród nich i tacy, których majątek przedstawiał większą wartość.

Rozdział XXXVI

Czytelnik łatwo może sobie wyobrazić, jakiego wstrząsu doznała mała, uboga miejscina St. Petersburg. Wartość skarbu, który odkryli Tomek i Huck, była wprost fantastyczna. I to wszystko w brzęczącej monecie! Nie mówiono o niczym innym. Oglądano skarb, zachwycano się samym jego widokiem i entuzjazmowano się nim tak długo, że w końcu nawet stateczni obywatele miasteczka ulegli pewnemu zachwianiu równowagi psychicznej. Każdy dom w St. Petersburgu i okolicznych wioskach, o którym tylko chodziła wieść, że jest „nawiedzony”, był rozbierany na kawałki, cegła po cegle i deska po desce. Rozkopywano nawet fundamenty. I robili to nie mali chłopcy, lecz dorośli mężczyźni — poważni ludzie — którzy bynajmniej nie zaliczali się do romantycznych marzycieli. Gdziekolwiek pojawili się Tomek i Huck, przyjmowano ich z największymi honorami. Patrzono na nich z podziwem i zabiegano o ich względy. Chłopcy nie mogli sobie przypomnieć, żeby dawniej przywiązywano jakąś wagę do tego, co mówili. Teraz każde ich słowo czy uwaga były drogocennymi skarbami i wędrowały z ust do ust niczym objawienie. Cokolwiek zrobili, wszystko uważane było za coś nadzwyczajnego. Widocznie w ogóle zatarli zdolność robienia i mówienia rzeczy przeciętnych. Ba, nawet ich przeszłość stała się przedmiotem wnikliwych dociekań

historycznych i odkryto tam znamiona wybitnej oryginalności. Miejscowy dziennik zamieścił szkice biograficzne obu chłopców.

Pani Douglas ulokowała kapitał Hucka na sześć procent, a sędzia Thatcher — na prośbę ciotki Polly — uczynił to samo z pieniędzmi Tomka. Obaj chłopcy mieli teraz bajeczne dochody: dolara na każdy powszedni dzień, a pół dolara w niedzielę. To było tyle, ile miał pastor, a raczej, tyle ile powinien mieć według obietnicy gminy, bo nigdy nie udało mu się zebrać takiej kwoty. A w owych dawnych, niedrogich czasach za jednego i ćwierć dolara tygodniowo można było dać chłopcu utrzymanie, mieszkanie, opłacić szkołę, ubrać go i umyć.

Sędzia Thatcher nabrał o Tomku bardzo wysokiego mniemania. Twierdził, że przeciętny chłopiec nigdy nie zdołałby wyprowadzić jego córki z pieczar. Gdy Becky opowiedziała mu w zaufaniu, jak Tomek w szkole wziął na siebie bicie, które należało się jej, sędzia był tym wyraźnie wzruszony. A kiedy go poprosiła, aby darował Tomkowi to straszne kłamstwo, jakiego dopuścił się, chcąc uchronić ją przed biciem, sędzia odparł z powagą, że było to szlachetne i wspaniałomyślne kłamstwo, które może śmiało kroczyć ramię w ramię z osławioną miłością prawdy Jerzego Waszyngtona. Nigdy ojciec nie wydał się jej tak wspaniałym i majestatycznym, jak właśnie wtedy, gdy chodząc po pokoju, dla podkreślenia swych słów, raz po raz przytupywał nogą. Natychmiast pobiegła do Tomka i wszystko mu powtórzyła.

Sędzia Thatcher spodziewał się, że kiedyś ujrzy w Tomku wielkiego prawnika albo wielkiego żołnierza. Obiecał, że dołoży starań, aby przyjęto go do Akademii Wojskowej, a potem na wydział prawa najlepszej uczelni w kraju — w ten sposób będzie przygotowany do jednej i drugiej kariery, albo do obu równocześnie.

Bogactwo Hucka i opieka pani Douglas wprowadziły go w kulturalne towarzystwo, a raczej wepchnęły go tam przemocą. Chłopak męczył się ponad miarę ludzkiej wytrzymałości. Służące wdowy czuwały nad jego czystością, myły go i czesały, a na noc pakowały do pościeli, której nie cierpiał, bo nie było na niej ani jednej plamki, którą mógłby przycisnąć do serca i uznać za przyjaciela. Musiał jeść nożem i widelcem, używać serwetki, filiżanki, talerza; musiał się uczyć, chodzić do kościoła i wyrażać tak poprawnie, że poczuł szczyry wstręt do mówienia. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie krępowały go więzy i pęta cywilizacji, wiążąc mu ręce, nogi i język.

Przez trzy tygodnie mężnie znosił tę niedolę, aż pewnego dnia przepadł bez wieści. Zrozpaczona wdowa szukała go wszędzie przez dwie doby. Całe miasteczko, przejęte sytuacją, brało żywy udział w tych poszukiwaniach. Wszystko przewrócono do góry

nogami, nawet zarzucono sieci, aby wyłowić z wody jego zwłoki. Trzeciego dnia wczesnym rankiem Tomek zabrał się przemyślnie do badania starych, pustych beczek, które leżały za rzeźnią i w jednej z nich odkrył zbiega. Huck spał tam w nocy, a teraz, po zjedzeniu śniadania, które składało się z jakichś ukradzionych resztek jedzenia, wylegiwał się rozkosznie i palił fajkę. Był nieumyty, nieuczesany i przystrojony w te same łachy, które w dniach wolności i szczęścia nadawały mu taki malowniczy wygląd. Tomek wywindował go z beczki, opowiedział mu ile narobił zamieszania, jak bardzo zmartwił wdowę i nalegał, żeby wrócił do domu. Twarz Hucka straciła wyraz błęgiego zadowolenia i powlekła się melancholijnym smutkiem.

— Nawet nie mów o tym, Tomku — powiedział. — Próbowałem, ale się nie udało. Nie dałem rady. To nie dla mnie. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Wdowa jest dobra dla mnie, nawet bardzo dobra, ale ja nie mogę znieść takiego życia. Codziennie każe mi wstawać o tej samej porze, myć się i czesać, że aż mi włosy wychodzą. Nie pozwala, żebym spał w drwalni. Muszę nosić to przekłete ubranie, w którym się duszę, bo nie przepuszcza powietrza, a przy tym jest tak obrzydliwie piękne i delikatne, że boję się w nim usiąść i położyć, nie mówiąc już o tarzaniu się po ziemi. A po poręczy nie zjeżdżałem już chyba ze sto lat. Muszę chodzić do kościoła i pocić się tam niepotrzebnie, bo nie cierpię tego nudnego gadania! Nawet muchy mi złapać nie wolno, nie mogę żuć tytoniu, a całą niedzielę muszę chodzić w butach. Wdowa je według zegarka, idzie spać według zegarka, wstaje według zegarka. Wszystko tam jest tak koszmarnie uregulowane, że pies z kulawą nogą by tego nie wytrzymał.

— Ależ Huck, tak robią wszyscy!

— Mało mnie to obchodzi. Zresztą ja nie jestem „wszyscy” i nie mogę tego znieść. To straszne być tak uwięzonym. A żarcie samo pcha się do gęby — nie ma żadnej frajdy, żeby go zdobyć. Muszę się ciągle pytać, czy mogę iść na ryby, czy mogę iść się kąpać — do licha ciężkiego! O wszystko się trzeba pytać! A myślisz, że to przyjemnie tak ciągle gadać jak grzeczny chłopczyk i nie móc po swojemu ust otworzyć? Mówię ci, zwariować można! Wdowa nie pozwala mi palić, nie pozwala wrzeszczeć, ziewać, przeciągać się i drapać przy ludziach.

Tu Huck oburzył się na dobre i z gniewem wołał dalej:

— I niech to wszyscy diabli wezmą, ona wiecznie się modli! Nigdy w życiu nie widziałem takiej kobiety! Musiałem uciekać, Tomku, musiałem! A poza tym niedługo rozpoczyna się szkoła i musiałbym tam chodzić, a to byłoby już ponad moje siły! Wiesz, bycie bogatym to wcale nie jest takie przyjemne, jak się ludziom wydaje. To same

kłopoty i zmartwienia — żyć się odechciewa! A mnie się podobają te lachmany, które teraz mam na sobie, i ta beczka. Nie mam najmniejszego zamiaru się z nimi rozstać. Nigdy bym się tak nie wkopał, gdyby nie te przekłête pieniądze. Bądź tak dobry, Tomku, i weź sobie moją część. Dasz mi czasem parę centów, ale nie za często, bo gwizdzę na wszystko, co mi łatwo przychodzi i czego nie muszę z trudem zdobywać. Idź teraz do wdowy i poproś ją, żeby mi dała spokój.

— Nie, Huck, nie mogę tego zrobić. To byłoby nieładnie. A zresztą, gdybyś jeszcze trochę popróbował takiego życia, to byś je na pewno polubił.

— Polubił?! To tak, jakbym miał polubić rozżarzony piec, na którym kazano by mi siedzieć! Nie, Tomku, nie chcę być bogaty i nie chcę mieszkać w tych cholernych, dusznych domach. Kocham lasy, rzekę, beczki i tu pozostanę. Do diabła! Właśnie kiedy zdobyliśmy strzelby, jaskinię i kiedy mamy wszystko, czego potrzebuje prawdziwy zbójca, musiała się zdarzyć ta przekłéta historia z pieniędzmi i wszystko popsuć!

Tomek uznał, że teraz nadeszła jego chwila.

— Ja wcale nie zamierzam rezygnować ze zbójstwa tylko dlatego, że jestem bogaty.

— Nie? To chwała Bogu! Ale mówisz to całkiem serio?

— Na mur-beton. Tylko... wiesz, chyba nie będziemy mogli cię przyjąć do bandy... tak bez dobrego wychowania...

Huckowi twarz się wyciągnęła.

— Nie przyjmiecie mnie? No, ale przecież przyjęliście mnie na pirata...

— Tak, ale to co innego. Zbójca to zwykle coś znacznie lepszego niż pirat. W wielu krajach zbójcy pochodzą z najlepszej arystokracji, wiesz, książęta, hrabiowie i tak dalej.

— Tomku, przecież zawsze byłeś moim przyjacielem, co? Chyba mnie nie odrzucisz? Nie zrobisz tego, prawda, Tomku?

— Huck, ja nie chcę tego zrobić i nigdy bym tego nie zrobił, gdyby to tylko ode mnie zależało! Ale pomyśl, co ludzie by o tym powiedzieli? Powiedzieliby: „Phi! Banda Tomka Sawyera! Same łobuzy i nic więcej!” To ciebie mieliby na myśli, Huck. Naprawdę chciałbyś tego? No właśnie, i tobie, i mnie byłoby bardzo przykro.

Huck milczał jakiś czas. Widać było, że stacza ze sobą ciężką wewnętrzną walkę. Wreszcie powiedział:

— Dobrze, wrócę do wdowy na miesiąc i spróbuję jeszcze raz — postaram się wytrzymać. Ale obiecaj mi, że przyjmiesz mnie do bandy.

— Masz moje słowo, Huck! A teraz chodźmy do wdowy. Poproszę ją, żeby na początku dała ci trochę więcej swobody, zanim się nie przyzwyczaisz.

— Naprawdę?! Zrobisz to, Tomku? O rany, jak to dobrze! Żeby tylko trochę ustąpiła w tym, co najtrudniej jest mi wytrzymać, to już palić i kłąć będę na osobności. A wtedy — albo wytrzymam, albo zdechnę! Kiedy chcesz zebrać bandę i zacząć zbójckie życie?

— Od razu! Nawet dzisiaj w nocy możemy zebrać chłopaków i dokonać wtajemniczenia.

— Czego?

— Wtajemniczenia.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że trzeba złożyć uroczystą przysięgę, że wszyscy będziemy sobie pomagać wzajemnie i nigdy żaden z nas nie wyda tajemnic bandy, choćby go siekano na kawałki, a każdego, kto by skrzywdził któregośkolwiek z nas, zabijemy razem z całą jego rodziną.

— Rany, ale super!!

— No jasne. A zaprzysiężenie musi odbyć się o północy, w najbardziej odludnym i najstraszniejszym miejscu, jakie tylko znajdziemy. Najlepszy byłby jakiś dom, w którym straszy, ale teraz wszystkie te domy poburzyli przy szukaniu skarbów.

— To nic, najważniejsze, żeby zrobić to o północy.

— Oczywiście. I trzeba przysiąc na trumnę i wszystko podpisać własną krwią!

— Idę na to! To milion razy lepsze niż korsarstwo! Będę siedział u wdowy, choćbym miał nogi wyciągnąć. A gdy zostanę kiedyś prawdziwym zbójcą i moje imię stanie się sławne, wtedy i ona będzie dumna, że wyciągnęła mnie z błota.

Posłowie

Tu kończy się powieść. Ponieważ są to przygody chłopca, trzeba skończyć w tym miejscu, inaczej byłyby to już przygody mężczyzny. Kiedy pisze się o ludziach dorosłych, to całkiem dokładnie wie się, na czym skończyć — na małżeństwie i weselu. Ale pisząc o dzieciach, trzeba skończyć w momencie, który sam autor uzna za stosowny.

Większość osób występujących w tej książce jeszcze żyje. Dobrze im się powodzi i są szczęśliwi. Może kiedyś opiszemy historię ich dorastania i zobaczymy, jacy mężczyźni i jakie kobiety wyrosły z naszych bohaterów. Na razie nie ma potrzeby odsłaniać ich dalszych losów.

Przeczytaj także:

Przygody Tomka Sawyera - Streszczenie szczegółowe

Przygody Tomka Sawyera - Streszczenie krótkie

Przygody Tomka Sawyera - Plan wydarzeń

Przygody Tomka Sawyera - Charakterystyka bohaterów

Przygody Tomka Sawyera - Czas i miejsce akcji

Przygody Tomka Sawyera - Geneza utworu i gatunek

Przygody Tomka Sawyera - Problematyka

Przygody Tomka Sawyera - Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Mark Twain, Przygody Tomka Sawyera, Beskidzka Oficyna Wydawnicza, Bielsko-Biała 1999